

SEAN STEWART



WSKRZESICIEL

STEWART SEAN

Wskrziesiciel

SEAN STEWART

Resurrection Man

Przełożył

Michał Jakuszewski



Dla pająka, którego kiedyś zabiłem w

Teksasie.

I wszystkich połkniętych przeze mnie

duchów.

**ŁATWE JEST ZEJŚCIE DO AWERNU: NOCĄ I DNIEM, NA OŚCIEŻ JEST OTWARTA
BRAMA MROCNego DISA, LECZ ZAWRÓCIĆ KROKI STAMTĄD I ZNÓW SIĘ
WYMKNAĆ DO PRZESTWORZA POD SŁOŃCEM – TO JEST TRUD, TO JEST
ZADANIE.**

WERGIUUSZ

Przełożył Zygmunt Kubiak

*Umrzeć wystarczy jeden raz***Wergiliusz**

Dante nie przestawał się gapić na trupa, lecz jego oczy poraziła ślepotą. Było to całkiem tak, jakby nie był w stanie ujrzeć ciała, pojąć jego obecności ani tego, co ono oznacza.

Nigdy jeszcze nie był tak przerażony, nawet w najgorszych chwilach życia. Wezbrało w nim anielskie szaleństwo, a wraz z nim zjawił się nieunikniony strach, metaliczny dotyk grozy, ześlizgujący się w dół jego gardła, niczym miecz. Skóra mu cierpła. Gęsia skórka pokryła miejscami jego ramiona i szyję, przemknęła niepowstrzymanie po twarzy, jak gdyby chciała rzucić się do ucieczki. Oczy miał otwarte, ale nie widział. W ustach czuł smak nafty.

Co to mogło znaczyć?

Chryste.

Co to mogło znaczyć?

–O Jezu – wyszeptał. – A może byśmy tak udali, że to tylko zły sen? Zostawmy to cholerstwo tutaj i wróćmy do łóżek w nadziei, że do rana zniknie.

Jego przybrany brat, Jet, uśmiechnął się tak, jak Kain musiał się uśmiechać do Abła.

–Po twoim trupie – powiedział.

Nie były to zwłoki kogoś podobnego, lecz samego Dantego. Zauważył maleńką bliznę nad prawym okiem, która powstała, gdy pewnej Wielkanocy spadł ze schodów podczas łowów na czekoladowe jajka. Tuż pod lewym łokciem znajdowała się długa, biała szrama pozostawiona przez ostrze piły, które rozcięło mu ramię, kiedy razem z Jetem budowali fort na drzewie. (Ojciec pojechał odebrać poród, raną więc zajęła się matka, która przetarla ją merbrominą i założyła wszystkie pięćdziesiąt trzy szwy. Żartowała, że powinna zaoszczędzić sobie kłopotu i przejechać po ręce maszyną do szycia. Niemniej, była dyplomowaną pielęgniarką i palce miała wprawne).

Chociaż było zimno, budynek przystani cuchnął pleśnią, olejem silnikowym i patroszonymi rybami. Jet i Sarah zmontowali podręczny stół operacyjny, układając deski o rozmiarach dwa na cztery cale na poprzecznych ławkach płaskodennej łodzi. Ułożyli zwłoki Dantego głową w stronę rufy, tak że lekko dotykały małego,

dwusuwowego silnika firmy Evinrude.

Jezu. Co to mogło znaczyć? Że umrzesz, powiedział sobie gniewnie. A cóż twoim zdaniem ma to przepowiadać? Kryzys gospodarczy? Układ niżowy, niosący ulewy i sporadyczne wichury? Umierasz, umierasz, praktycznie jesteś już martwy i wiesz o tym, wiesz, w jakiś sposób to wyczuwasz, w jakiś sposób anioł ci to pokazuje. Jezu Chryste...

Opanował się.

Źle. To nienaukowe podejście, tworzyć teorie, nim zgromadzi się wszystkie dane. Ojciec byłby rozczarowany (jak zwykle). Zbadaj fakty. Nie wyciągaj przedwczesnych wniosków. Symbole śmierci oznaczają mnóstwo rzeczy. Odrodzenie. Nagłą zmianę. Regenerację.

Ponownie spojrzął na swe nagie zwłoki. Wydawały się żałośnie bezbronne. Ich stopy zwisały z dziobu łodzi. Odrodzenie. No jasne.

Po śmierci, jego blada skóra stała się biała jak śnieg. Długie palce sprawiały dziwne, złowieszcze wrażenie. Wyobraził sobie, jak odpelzają na boki, każda dłoń przeobrażona w niezdarnego, białego pająka, przełazącego przez górną krawędź nadburcia i spadającego na ziemię, by czmychnąć w niewidoczne miejsce, ukryć się za starymi wiosłami i kubłami z farbą, aluminiowymi wiadrami na przynęty, wędziskami oraz zdemontowanym podczepianym silnikiem firmy Mercury.

Wysokie, białe czoło Dantego okalały włosy, tworząc rudozłotą grzywkę. Po dziadku odziedziczył ryże brwi, których zewnętrzne końce wznosiły się ostro ku górze niczym u szatana. Oczy były wąskie i niebieskie. Wpatrywały się nieruchomo w nieosłoniętą żarówkę, wiszącą pod sufitem przystani.

Dante wyciągnął drżącą dłoń i zamknął swe martwe powieki.

Jet pokrywał zimną, betonową podłogę starymi egzemplarzami „New York Timesa”, na wypadek, gdyby narobili bałaganu.

–Jest z ciebie śliczny trup – zauważył. – Tego właśnie się spodziewałem.

–Szkoda, że stary nie ma okazji go podziwiać – mruknął Dante. (Pod koniec jego najokropniejszych koszmarów sennych zjawiał się on, doktor Ratkay, by otworzyć mu ciało skalpelem. Zawsze pamiętał to jeszcze przez pewien czas po przebudzeniu: długie cięcie, przenikające narządy. Jego pulsujące serce trzymane uważnie przez ojca w złożonych dłoniach).

Ściśle mówiąc, to Jet znalazł zwłoki. Dante nie chciał mieć nic wspólnego z całą tą sprawą.

Gdy jednak ciało spoczęło już na komodzie w jego sypialni, nawet on przyznał, że muszą się dowiedzieć, skąd się wzięło i co to, u licha, znaczy. Jeśli – jak sądził Jet – był to omen, powinni sprawdzić, co było przyczyną śmierci, by móc uchronić przed nią prawdziwego Dantego. Rzecz jasna, nie mogli jednak zrobić sekcji na górze, nawet w łazience. Matka spała lekko, a ojciec wstawał dwa razy w nocy, żeby się odlać. Przystań, choć zimna i wilgotna, była jedynym bezpiecznym miejscem. Mogli tam znaleźć spokój, mnóstwo wody i wiader oraz dobre oświetlenie.

Było już po północy. Gdy ukradkiem wynosili trupa, Dantego zalał przyływ wspomnień z dzieciństwa. Przypomniawszy sobie liczne przypadki, gdy wspólnie z Jetem i małą Sarah wymykali się nocą po schodach. Szeptali wówczas i uciszali się nawzajem, objijając się po ciemku o poręcz, wystraszeni, że obudzą rodziców.

Siostra Dantego, Sarah, weszła cicho przez skrzypiące drzwi budynku przystani. W prawej ręce trzymała plastikowe wiaderko na lody, a w nim gąbkę, parę gumowych rękawiczek i jeden z rzeźniczych noży ciotki Sophie, upchnięty obok małej książki w twardej oprawie, zabranej z gabinetu ojca.

Dante pomyślał, że siostra wygląda na więcej niż swe dwadzieścia osiem lat. Zrobiła się ponura i zaczynała tyć. Były czasy, gdy bawił się z nią w chowanego, łaskotał ją, aż jej mała, okrągła buzia robiła się czerwona ze śmiechu, a nogi uginały się pod nią; czasy, gdy nosił ją po domu, udając, że lata samolotem, nękał ciotkę Sophie i bombardował przerażone koty.

–Nie zajęło ci to długo – stwierdził.

–Fajnie ci się czekało?

Jet zauważył kiedyś, że jeśli już Sarah wzięła cię na język, to zwykle czułeś się tak, jakbyś oberwał w twarz formą do wafli.

Popatrzyła na brata oczami czerwonymi od łez, które wylała wcześniej, nim udało się jej nad sobą zapanować.

–Nadal chcesz to zrobić?

Nie! – miał ochotę odpowiedzieć Dante, lecz Jet nie dał mu dojść do słowa.

–Musimy się dowiedzieć, skąd wzięło się ciało. Dowiedzieć się, co ono oznacza, a D. jest jedyną osobą, która może nam to wyjaśnić. Jest aniołem. Człowiekiem z talentem do rzeczy niemożliwych.

–No więc, chyba sprawa rozstrzygnięta – rzucił lekkim tonem Dante. Zdumiał go spokój we własnym głosie. Czuł się dziwnie, tkwiąc wewnątrz własnego ciała, widząc, jak porusza się ono zwykłym, swobodnym krokiem, słysząc, jak odzywa się z typową

dla niego niewymuszoną nonszalancją, zbyt ślepe, by zobaczyć, że jego życie rozpadło się przed chwilą na kawałki. Zbyt odrętwiałe, by czuć przebudzającego się wewnątrz anioła.

Dante jednak go czuł. Czuł, że serce mu wysycha.

Wewnątrz jego piersi pękają łańcuchy.

Rozpościerają się straszliwe skrzydła.

Jet wyjął z przyniesionego przez Sarah wiaderka stary podręcznik i przerzucił jego pierwsze strony.

–Miller: *Patologia praktyczna wraz z anatomią patologiczną i metodami sekcji*.
Znakomicie.

Przemawiał wyjaśniającym tonem ojca, używanym przez niego podczas oglądania próbek pod mikroskopem lub tłumaczenia przyczyn straszliwych chorób.

–Stojąc po prawej stronie ciała, patolog ujmuje mocno skalpel w prawą dłoń, rycina pierwsza.

Chwycił aluminiowe wiadro na przynęty, odwrócił je i ustawił obok łodzi, by móc usiąść przy trupie. Popatrzył na Dantego z obsydianowym błyskiem w ciemnych oczach.

–Trzymaj nóż mocno! – rozkazał. – Nie chcesz chyba schrzanić roboty? Nie na tym ciele.

Dante spojrzał na niego wilkiem.

–Zamknij się.

–Tak, panie! Twe życzenie będzie wykonane – wycharczał z najsilniejszym węgierskim akcentem ciotki Sophie. Zgarbił chude barki i zaczął się krzątać nad leżącymi w łodzi zwłokami. Wygładził rudozłote włosy trupa i przycisnął ramiona do zapadniętych białych boków. Przechylił głowę i popatrzył na Dantego. – Pański sługa, baronie.

Przez jego twarz przemknął figlarny uśmiech. Na prawym policzku uniosły się i opadły koronkowe skrzydełka.

Minęły lata, odkąd Dante po raz pierwszy zauważył znamię w kształcie motyla na twarzy Jeta, teraz jednak przemknęło ono przed jego anielskimi oczyma niczym zły omen.

–Pan skopie Igorowi dupę, jeśli Igor się nie zamknie.

(Z tym cholernym Jetem zawsze tak było. „Całkiem jak dwa węże wokół laski Hipokratesa” – zauważył kiedyś z chichotem ojciec. „Nic, tylko syczą i plują”. Łatwo mu było mówić. To nie w jego oczy Jet mierzył jadem).

Dante przełknął ślinę. Miał wrażenie, że rękojeść największego rzeźnickiego noża ciotki Sophie wierci mu się w dłoni niczym osa.

–Dobra – powiedział, oblizując wargi. – Dobra.

–Cholera, musiałeś się nieźle wystraszyć. – W głosie Sarah brzmiało coś przypominającego zachwyty. – Przecież możesz sobie poplamieć marynarkę!

Dante zamrugał powiekami, po czym opuścił wzrok. Wciąż miał na sobie ulubioną chińską bonżurkę z czystego jedwabiu. Miała szerokie klapy i była pokryta haftem, przedstawiającym motyw wijących się smoków i obłoków pary.

–Och. Masz rację.

Ściągnął marynarkę, rozglądając się w poszukiwaniu miejsca, gdzie by się nie poplamiała olejem czy starymi rybimi wnętrznościami.

Być może najlepiej by się było wymknąć do domu, żeby powiesić ją na wieszaku. Mógłby wtedy nalać sobie dla uspokojenia glenlivet na trzy palce...

Sarah rozwiła jego marzenie.

–Daj mi ją. Dziewczyna czeka i prezerwatywa założona, Casanovo. Pora brać się do roboty.

Dante podał jej bonżurkę. Następnie metodycznie zdjął złote spinki ozdobione granatami i schował je do kieszeni czarnych, workowatych spodni. Podwinął rękawy soczystobrazowej wyjściowej koszuli i włożył gumowe rękawiczki, które Sarah podwędziła z kuchni.

Jet podsunął mu pod nos *Patologię praktyczną* Millera.

–Należy zachować ostrożność i podczas nacinania brzucha nie wbić skalpela zbyt głęboko, aby uniknąć naruszenia wątroby lub jelita – wyrecytował.

–Czy to cię ekscytuje? – zapytała Sarah, zwracając się ku niemu. – Postawiłeś trochę kasy na śmierć Dantego, czy po prostu jesteś dupkiem? Chciałabym to wiedzieć.

Siedzący na wiadrze przy łodzi Jet całkowicie znieruchomiał. Zapadnięte oczy były

pozbawione wyrazu, a twarz równie blada, jak u leżącego obok trupa.

–Nie chciałem się tak zachować.

Sarah uniosła brwi.

–Naprawdę? A mnie się zdawało, że to cię zachwyca, Jet. Przecież po prostu uwielbiasz nas straszyć.

Dante wydobył z siebie głos dopiero przy drugiej próbie.

–To nie jego wina, Sarah.

Czy nie rozumiała, że Jet zadręcza się z powodu roli, jaką w tym odegrał? Że kocha Dantego jak źrenicę własnego oka?

Oczywiście, że nie rozumiała. Jet z niewiadomych powodów pozostał obcy dla wszystkich oprócz niego. Czuł się tu jak w domu jedynie wówczas, gdy przebywał tutaj także jego brat.

Dante przełknął ślinę. Boże, chciałby wykazać więcej odwagi. Dlaczego nie może być taki, jak Sarah, matka albo ciotka Sophie? Nawet Jet nie byłby takim tchórzem.

–On tylko mi je pokazał. To ciało to jakiś anielski interes. Wyrosło na mojej komodzie i ma moją twarz. To jakiś cholerny anielski interes. Na pewno ja je przywołałem. Muszę wziąć za nie odpowiedzialność.

Ponownie ujął w rękę nóż ciotki Sophie.

–Muszę wziąć za nie odpowiedzialność.

Drżącą dłonią zrobił nacięcie na własnym martwym gardle, czując, jak rozstępuje się pod ostrzem.

Ze szczeliny wylazł pająk, który przebiegł po szyi i zniknął mu z oczu.

Dante zemdlął.

Padając, miał w głowie tylko jedną myśl: to wszystko jego wina. Był zły, gdyż zrobił użytek ze swego szaleństwa. Przed laty pozwolił mu wyrwać się na swobodę, a ono teraz wracało, by go pożreć.

Magia Dantego po raz pierwszy ujawniła się na szkolnym boisku, kiedy miał sześć lat. Dwóch chłopaków trzymało leżącego Jeta, podczas gdy ten zabijaka Duane kopał go w bok. Ofiara wymachiwała kończynami i wzywała wrzaskiem przybranego brata na pomoc. Dante płakał z bezradności i wielkiego strachu. Duane i jego kumple byli w

trzeciej klasie. Nie mógł nic zrobić.

–Wy... wydrapmy mu oczy – zaproponował Duane, rozglądając się za patykiem.

W Danem coś pękło.

Było to niezwykle uczucie, zupełnie jakby ktoś wyrwał kołek namiotowy, tyle że głęboko w jego wnętrzu. Coś wydostało się na wolność, niesione wzbierającą falą. Spoglądając na napastnika, poczuł obrzydliwą woń – gorącą, mroczną i bliską. Usłyszał, że coś zgrzytnęło niczym sprężyna łożka. Zobaczył Duane'a, leżącego w ciemności z szeroko otwartymi oczyma.

Wizje przemknęły przez jego umysł jak gorąca woda. Zadrżał. Po ciele przebiegły mu ciarki. Poczuł mdłości.

–Wszystko powiem – zawołał.

–T... tak? A co powiesz? – zadrwił Duane, odgarniając z puciołowatej twarzy jasne włosy.

Skrzyp, skrzyp. Skrzyp, skrzyp. Wentylator pracujący w sąsiednim pokoju. Upał.

–Powiem... powiem wujkowi, że na niego naskarżyłeś – zawołał, nie wiedząc dokładnie, co ma na myśli.

Świat się zatrzymał.

Jego słowa przeszyły Duane'a niczym kule.

–Ja n... nie... – wyszeptał.

Skrzyp, skrzyp. Dante czuł woń jego strachu, tak jakby coś się gotowało. Ogarnął go triumf, fala czystej mocy. Nienawidził Duane'a, a teraz go dorwał. Mógł go nadziąć na haczyk jak robaka.

–Duane jest niedobry – zanucił. – Duaney jest niedobry.

Coś tam było, coś w ciemnym pokoju, w mocnym zapachu.

–N... n... nie – odezwał się Duane. – Ni... N...

Znowu zaczął się jąkać, do tego stopnia, że nie był w stanie nic powiedzieć. Na jego spodniach pojawiła się mokra plama. *I wujek usiadł obok niego, a on zamknął oczy, zamknął je bardzo mocno.* I nagle Dante nie chciał już wiedzieć nic więcej, nie mógł jednak nic poradzić na to, że widzi wewnątrz Duane'a, tak jakby otworzył je którymś ze skalpeli ojca. Kumple napastnika gapili się na niego, na plamę na jego portkach, lecz

Duane kołysał się tylko w przód i w tył, i jękał się sparaliżowany paniką.

Przerażony Dante pokręcił głową. Roili się w niej pająki. Obłąd przenikał go, żądlił od wewnątrz. Całe jego ciało ścięło się pod wpływem trucizny. Gorączkowo usiłował odtworzyć skórę starszego chłopaka.

Duane'a przygniół wielki ciężar – Dantego też – *i ciemne powietrze wypełniły gorąco i smród i coś pogłaskało go po nodze i krzyknął głośno.*

Duane odwrócił się i pobiegł na oślep do szkoły. Jego kumple wymienili spojrzenia i odsunęli się od Dantego.

Jet przestał płakać. Ciemne oczy wciąż miał wilgotne, a skrzydła motyla były usmarowane błotem. Uśmiechnął się powoli do Dantego, wycierając rękawem koszuli twarz brudną od łez.

–Hej – powiedział. – Coś się nie śpieszyłeś.

Tej nocy Dante wiele godzin stał przed lustrem w swym pokoju, wytrzeszczając wzrok. Od czasu do czasu spomiędzy warg wyłaził mu, poruszający nóżkami pająk, który następnie przechodził po twarzy.

Nie mógł krzyczeć. Nie mógł się poruszyć.

Skąd miał wiedzieć, że w jego wnętrzu czai się potwór?

Krył się w nim anioł. Tego przynajmniej się domyślił. Był straszny i nie sposób było nad nim zapanować. Już jako sześciolatek wiedział, że jeśli pozwoli mu się wyrwać, rozbije ojcu czaszkę i zje jego mózg. Urwie matce ręce i wychłopcze krew. Nie mógł dopuścić, by kiedykolwiek się wydostał.

Nie był w stanie ignorować swych uzdolnień, lecz z łatwością mógł je ukryć. Co dwa albo trzy lata wszystkie dzieci w szkole maszerowały do gabinetu higienistki, w którym urzędowała jego matka. Poddawano je tam szczepieniom oraz różnym testom: na rozróżnianie kolorów, zasób słownictwa, zdolności manipulacji przestrzennej oraz jeszcze jednemu. Dzieciaki nazywały go testem na anielstwo. Nie było to jednak nic ponad zwykle badanie zdolności psychometrycznych: oto przedmiot – która z pielęgniarek trzymała go jako ostatnia? Schowamy go za jedną z tych pięciu zasłon – za którą jest? Nie było nic łatwiejszego do oblania. Zresztą psychometria nie należała do silnych stron Dantego.

Jak można było ułożyć test, który wykrywałby zdolność zakradania się do czyjejs duszy i uwalniania kryjących się tam dzikich bestii?

Istnieli aniołowie, którzy potrafili przepowiadać śmierć. Która higienistka chciałaby

usłyszeć zapowiedź własnego zgonu?

Nie matka Dantego. Gdy poddawała syna testowi na anielstwo, raz czy drugi obrzuciła go ostrym spojrzeniem. Być może udzielał zbyt wielu nieprawidłowych odpowiedzi. Domyślał się, że fałszowała jego wyniki. Wiedział też, że odwracała wzrok, gdy do jej uszu docierała opowieść o Duanie lub inne do niej podobne. Nie chciała utracić dziecka na rzecz świata duchów i wizji, w którym żyli aniołowie. Było to dla niego pocieszeniem.

Ojciec zachowywał się inaczej. Naciskał na Dantego, by wykorzystał swój dar – ale racjonalnie, dla dobra ogółu. Uważał, że magia jest jedynie narzędziem, nową, potencjalnie interesującą metodą terapii, która wymaga doskonalenia. Nie rozumiał, że wiąże się z nią obłąd.

A powinien. To on opowiedział Dantemu o Bogu.

–Jeśli istnieje boska istota, jedyną jej cechą, jaką znamy, jest bestialstwo – zwykły mawiać.

Dante mu wierzył.

–Śruba zaciskowa warta dwa dolary zrywa się i trzystu ludzi ginie w katastrofie lotniczej. Czy naprawdę mamy uwierzyć w tak monstrualne bóstwo?

Tak! Tak! – pomyślałby Dante. Tak to właśnie wygląda, kiedy jest się aniołem. Zabijaka włada boiskiem, a anioł nabija go na haczyk jak robaka.

Ale ojciec nie potrafił tego zrozumieć.

Doktor Ratkay był człowiekiem o wyraźnie określonych upodobaniach. Czytał jedynie klasycznych filozofów, pił tylko francuskie wina i słuchał wyłącznie niemieckich kompozytorów, pomijając chwile szczególnie frywolnego nastroju, gdy zniżał się do utworów Węgrów – Liszta lub Kodalya.

Wychował swe dzieci na ateistów, z powodów moralnych.

–Wiecie, jak nazywano rabusiów grobów, którzy sprzedawali kawałki zwłok do celów badawczych? – pytał. – Wskresicielami. Oto, kim jest wasz Chrystus, moje dzieci. Wskresicielem zbijającym fortunę na worku starych kości. „Nie bój się dnia swej śmierci ani go nie wyczekuj”, jak mówi Marcjalis. Jeśli Bóg istnieje, nie sprawiajcie mu satysfakcji. Jeśli Bóg istnieje, jest czymś więcej niż harfy, łaska i blask świec.

–Bóg wylatywał z sykiem z przewodów w Oświęcimiu – mawiał ojciec Dantego.

Bóg łązi na ośmiu cienkich nóżkach.

Toś oporny, to chętny, to szorstki, to miły.

Bez ciebie żyć nie mogę, z tobą – nie mam siły.

Marcjalis

Przełożył Stanisław Kołodziejski

Zawsze było ich dwóch. Dante – bystry i roześmiany, wodzirej szkolnych zabaw, Dante i dziewczyny, Dante, Dante o promiennym uśmiechu i magicznym dotyku... i Jet – zawsze za jego plecami, chudy i ciemny jak cień. Obserwator. Jest prawie nierzeczywisty – szeptali do siebie sąsiedzi, spoglądając na motyla na jego policzku. Już teraz naznaczony, z myślą o jakimś niezwykłym przeznaczeniu.

Tylko Dante był mu wystarczająco bliski, by móc go terroryzować, irytować, wymieniać się z nim na komiksy, czy przyłapać na tym, jak płakał pod koniec *Charlotte's Web*. Dorastali razem niczym bliźniaki. Pozostałym członkom ich małej, mieszkającej na przedmieściu społeczności, Jet wydawał się nieuchwytny, lecz dla Dantego zawsze był wystarczająco realny, by móc nawiązać z nim kontakt. Czuł siłę jego żylastych mięśni, kiedy mocowali się na trawie; smak jego krwi, gdy zaprzysięgli sobie braterstwo. Jet uratował mu życie.

Oczywiście, sprawiedliwość wymagała, by wyrównał rachunek za ów dzień na szkolnym boisku, gdy Dante poświęcił własną duszę, by ocalić jego oczy.

Pierwszy raz uratował mu życie w roku 1969.

Minotaury grasowały po Watts i Harlemie w biały dzień. Z drugiej strony, jasnowidząca, która próbowała uratować życie JFK, tym razem potraktowano na tyle poważnie, by udaremnić zamach na Roberta Kennedy'ego. Stany Zjednoczone i Chiny, przejawiając rzadką u supermocarstw odpowiedzialność, wynegocjowały pokojowe porozumienie kończące konflikt w Wietnamie, choć w Gruzji i Turkmenii wciąż trwały paskudne wojny. W Perfect City osiedliło się pięć tysięcy wybranych drogą loterii rodzin, lecz dane o ich zdrowiu i produktywności nadal nie mogły się równać z tymi, jakie regularnie napływały z chińskiego Dozwolonego Miasta, i rząd podobno rozglądał się za innym projektem, który przywróciłby prestiż Stanom Zjednoczonym. Krążyły niezliczone pogłoski. Zwolennicy aktywnych działań w sferze społecznej głośno się domagali przeznaczenia funduszy, pochodzących z programu Wielkiego Społeczeństwa, na przebudowę filadelfijskich slumsów lub integrację kultur Indian i białych na Wielkich Równinach.

Podobno jednak prezydent Kennedy preferował powrót do starej, dobrej jankeskiej

technologii. Chciał zbudować jednoszynową kolej, wystrzelić orbitalnego satelitę lub może stworzyć rządowy program badań nad wykorzystaniem nowych nadprzewodzących wyrobów ceramicznych, wynalezionych na wydziale inżynierii materiałowej MIT.

W listopadzie monety ciotki Sophie przepowiedziały surową zimę.

W piątej klasie Dante miał lekkie życie. Minęły już niemal dwa lata, odkąd po raz ostatni poczuł ruchy skrzydeł ukrytego w nim anioła. Gdy myślał o magii, przychodził mu do głowy *Doktor Strange*, Towarzystwo Pomocy Urowadzonym Dzieciom i / *Dream of Jeannie*.

Rzeka, nad którą leżał ogród, rzadko zamarzała przed Bożym Narodzeniem, lecz zgodnie z przepowiednią ciotki Sophie listopad zakończył się dwoma tygodniami dotkliwego zimna. Pierwszego grudnia lód sięgał już niemal środka koryta.

Jet zawsze twierdził, że to Dante go napuścił. Faktycznie to on zostawił Sarah w salonie, gdzie oglądała *Gilligan's Island*, surowo zakazując jej wychodzić. Następnie chłopcy wymknęli się nad rzekę i to Jet pierwszy oddali się siedem kroków od brzegu, z typową dla siebie zdumiewającą pewnością, po czym wrócił na miejsce.

Przyszła kolej na Dantego.

Było dopiero wpół do piątej, lecz słońce skryło się już za stokiem. Powietrze w ciemności stało się nieprzejryste niczym szkło ołowiowe ciotki Sophie. Oddech Dantego zamieniał się w parę. Oddech Jeta nie.

Dante zrobił pierwszy krok. Przy brzegu lód był biały jak szron, dalej jednak ciemnoniebieski, tak jak niebo. Przeszedł jeszcze kawałek, starając się stawiać stopy na śladach Jeta. Ufał jego instynktowi bardziej niż swojemu.

Przy piątym kroku lód zaskrzypiał jak drewniany parkiet, lecz ostrzej. Dante zatrzymał się. Z ust buchała mu para. (Wyobraził sobie zimowy pałac oświetlony lodowymi świecami, od których biło zimne, niebieskie światło oraz białe opary).

Przy szóstym kroku poczuł, że lód zadrżał mu pod stopami. Skrzypnięcie było głośniejsze. (Światło pochodziłoby od dusz małych chłopców, uwięzionych w każdym z sopli. Gdy świeca wypalała się do końca, chłopiec w jej środku zniknął na wieki).

Brzeg opadał w tym miejscu stromo i koryto było głębokie. Jeśli poczuje, że powierzchnia pod jego stopami zaczyna pękać, będzie musiał się rzucić w stronę łądu. Jeśli wpadnie pod lód, może mu się poszczęści i zdoła dotknąć dna.

Skorupa lodowa zatrzeszczała i zadrżała.

Chłopak obejrzał się ostrożnie.

–Możesz zawrócić – rzucił Jet. Motyl przylgnął do jego bladej twarzy. Wyglądało to tak, jakby przysiadł na chudym bałwanie o czarnych jak węgle oczach.

Jet wiedział, że Dante się nie cofnie. Nagle stało się to zupełnie jasne dla nich obu. Zaprowadził brata w miejsce, w którym wpadnie pod lód i zginie. Gdy się utopi, wszystko będzie należało do niego: dom Dantego, jego rodzice, jego pokój i komiksy, a także zestaw do doświadczeń chemicznych i tobogan. Było to tak oczywiste, że Dante zastanowił się, dlaczego nie dostrzegł wcześniej tego, że Jet pragnie jego śmierci.

Gdy spróbował się odwrócić, lód pękł pod jego lewą stopą. Rzucił się w tył. Pod naciskiem uda oddzieliła się kolejna tafla. Z wrzaskiem przekręcił się na brzuch. Lód nie przestawał pękać. Dante wpadł do wody po pas, leżąc na piersi z rozłożonymi rękami, którymi próbował dosięgnąć brzegu.

Jet odwrócił się i uciekł.

Tonący krzyczał i czepiał się lodu, próbując podciągnąć się w górę, lecz nie miał się czego złapać, a nogi ciążyły mu niczym ołów. Z powodu niesamowitego zimna chwyciły go kurcze mięśni. Jego dolne kończyny przerodziły się w dwa, przytroczone do pasa, żelazne słupy, które ścigały go w dół, do ciemnej wody. Zawsze wyobrażał sobie, że pokryta lodem rzeka nieruchomieje, lecz szarpiący jego bezużytecznymi nogami prąd był morderczo silny.

Utopi się. Wyciągną jego białe ciało z rzeki. Ojciec rozplacze się, gdy będzie go kroił.

Nagle z nasypu na łeb, na szyję zbiegł Jet. Ciągnął za sobą wiosło, które z pewnością znalazł na przystani. Tonący złapał szerokie, płaskie pióro, ratownik zaś położył się płasko na lodzie, ciągnął ze wszystkich sił. Dante trzepotał niczym ryba, aż wreszcie podrzutem wsunął na lód biodra, a potem uda i dowlókł się do brzegu.

Drżał i płakał, nie mogąc się opanować. Bezwolnie dał się Jetowi zaprowadzić do domu. Matka, gdy tylko ujrzała jego pociąganie nosem i przemoczone ubranie, natychmiast odesłała go do łazienki, zaciskając wargi z wściekłości. Gdy leżał w wannie, cały czas słyszał, jak wymyśla Jetowi. Ten jednak ani słowem nie zdradził, czym pomysłem była wyprawa nad rzekę.

–Ze wszystkich zwierząt, chłopiec jest najbardziej krnąbrny – powiedział ojciec przy kolacji. Popatrzył z aprobatą na Jeta. – To był dobry pomysł z tym wiosłem. Gdybyś podał mojemu głupiemu synowi rękę, sam wpadłbyś do wody. Sześć czy siedem lat temu doszło do takiego wypadku w Millerton. Pięciu ludzi się utopiło, bo każdy z nich usiłował wyciągnąć poprzedniego. Wydaje się jednak, że bez względu na słowa

Katona, choć raz głupi skorzystał na pomocy mądrego. Jestem zaskoczony, że pomyślałeś na czas o tym wiośle.

–To było łatwe – wtrącił Jet, obrzucając Dantego na wpół drwiącym, a na wpół wesołym spojrzeniem. – Wiedziałem, że wpadnie.

Od tej chwili Dante miał pewność, że głód, który dostrzegł w oczach Jeta, gdy zapadał się pod lód, nie był złudzeniem. To fakt, że uratował mu życie, lecz w miarę upływu lat narastało w nim przekonanie, że jakaś część jaźni brata nieustannie go obserwuje, czekając na jego śmierć.

Często prowokowali się nawzajem do rozmaitych wyczynów.

Dante namówił Jeta na skok do rzeki z wielkiej wierzby na Three Hawk Island. Do podwędzenia najnowszego numeru *X-Men* ze sklepu Percy'ego. Do zjedzenia sznycla ciotki Sophie po polaniu go sosem czekoladowym (co zrobił). Podpuścił go też, by zakradł się na dół, gdy dorośli już zasnęli, zabrał z barku wysoką butelkę glenlivet i wypił w niecałe pięć minut pełną koniakówkę, co również zrobił, choć oczy zaszły mu łzami z bólu, a jego chudym ciałem wstrząsał tłumiony kaszel.

Jet natomiast namówił Dantego do kradzieży jednej z monet ciotki Sophie, obejścia w kółko, w kierunku przeciwnym ruchowi wskazówek zegara, stojącego blisko szkoły kościoła zielonoświątkowców i – w rewanżu za epizod z glenlivet – zapalenia fajki ojca.

Tylko duma powstrzymała Dantego przed rejteradą w tym ostatnim przypadku. Ojciec trzymał fajki w kubku stojącym na biurku. Z brzegu tego naczynia zwisała, niczym wylażący z jego głębi owad, stara przynęta wędkarska. Tylko Dante wiedział, że jest to jeden z trzech magicznych przedmiotów w domu. (Dwoma pozostałymi były Dziadek Zegar i lustro, stojące na komodzie Dantego, w miejscu, gdzie wiele lat później Jet miał go zmusić do spojrzenia na własnego trupa).

Biurko, nawet bez przynęty wzbudzało lęk, choćby dlatego, że doktor Ratkay trzymał na nim czaszkę. Mówił, że to ma go uczyć pokory. Jet podpuścił kiedyś Dantego, by ten włożył palce w jej oczodoły.

Obok czaszki leżał stary skórzany futerał na skalpele, przypominający wykładane aksamitem pudełko, w którym ciotka Sophie trzymała rodzinne srebra. Jego zawartość stanowiły cztery noże i cztery pary chirurgicznych nożyczek, lśniących na tle czerwonego materiału, którym było obite wnętrze. Jeden ze skalpeli, drugi pod względem wielkości, wzbudzał w Dantem szczególną grozę. Gdy ojciec zjawiał się w jego snach, zawsze trzymał w ręku właśnie ten.

Na pewnym poziomie świadomości wiedział jednak, że czaszka to tylko wygładzona kość, a skalpele to zaostrzona stal, wszystko to osnute zwojami jego strachu. Był

tęgo świadomy. Nawet przerażająca *Anatomia Graya* nie może mu zrobić krzywdy, jeśli jej nie otworzy ani nie spojrzy w puste oczy Obdartego Ze Skóry Człowieka na okładce.

Z przynętą było inaczej. Składała się z trzech części niczym stalowa osa: mała, okrągła głowa, tułów w kształcie kropli i zakrzywiony ogon. Z nóg zwisały cienkie, wyposażone w zadziory haki. Ona również miała swój obłęd, swe jadowite żądło.

Dante, poirytowany dogadywaniem Jeta, porwał wreszcie fajkę z kubka, trzymając dłoń z dala od przynęty. Następnie zapalił ją drżącymi palcami, wciągnął powietrze i zaczął rozpaczliwie kasłać przez dłoń, którą Jet zasłonił mu usta, by go uciszyć. Nic to nie dało. Alarm już wszczęto i nie mieli szans na wywietrzenie pokoju, nim ojciec zszedł na dół i sprawił Dantemu lanie, które okazało się ostatnim w jego życiu.

Nigdy już nie dotknął fajki, lecz nie powstrzymywał go przed tym strach przed biciem, czy wspomnienie dławiącego dymu, lecz straszliwa obecność przynęty wynurzającej się, niczym osa, z kubka między cybuchami.

W okresie poprzedzającym wizytę w domu z okazji Dnia Dziękczynienia, podczas której natknął się na swego trupa, nie był w stanie zapomnieć o przynęcie. Całymi tygodniami widywał ją co noc, gdy nadciągał sen i jego myśli ogarniał mętlik. Migotała i połyskiwała przed nim blado, jak gdyby mknęła przez mroczne wody. Podążał za nią w otchłań snu...

I, jak dureń, nie przypuszczając, że w niespełna dwadzieścia cztery godziny doprowadzi go to do odkrycia własnych zwłok, wreszcie wziął ją w rękę. Wiedział, że to szaleństwo, lecz zmęczył go już strach, codzienne spotkania z jej błyskiem we śnie. Uznał, że jeśli pójdzie z nią na ryby za dnia, to będzie tak, jakby włączył światło w sypialni, by udowodnić, że pod łóżkiem nie ma żadnych potworów.

Złapał się na nią bardzo łatwo.

Opuścił laboratorium dzień wcześniej i pojechał do domu w poprzedzającą święto środę. Następnego dnia, w szarym mroku tuż przed świtem, wyjął przynętę z kubka stojącego na biurku ojca i wymknął się na zewnątrz, w zimno poranka.

Powinien był pójść po rozum do głowy wtedy, gdy wbiła mu się w dłoń już przy pierwszym rzucie. Postąpił bardzo głupio, ssąc skaleczony palec i, z przekleństwem na ustach, wrzucając splamioną własną krwią przynętę do rzeki.

Zalśniła i zamigotała w wodzie ciemnej jak sen. Zamigotała i zalśniła niczym świeca z zimnej stali.

Capnął ją skazany na śmierć szczupak.

Po ciężkiej walce Dante wyciągnął bestię. Złapał ją w podbierak, chwycił za ogon i grzmotnął jej łbem o betonowy pal u końca mola. Szczupak zesztyniał. Wzdłuż jego ciała przebiegły drgawki.

Dante zamknął oczy.

Raz jeszcze walnął rybą o pal. Wygięła się, tym razem wolniej. Po jej grzbiecie przebiegły maleńkie fale. Znieruchomiła.

Dante dygotał. Dłonie miał zimne i pokryte śluzem. Gdy dmuchnął na nie, poczuł, że śmierdzą. To tylko ryba, powiedział sobie. Stary, tłusty rzeczny szczupak, długi na dwie i pół stopy, o barwie nieczystości. Podniósł go za ogon. Z paszczy wylała się woda. Molo upstrzyły plamki krwi. Dante podszedł do stojącego obok przystani stołu do patroszenia.

Dobrze mu znany śliski dotyk i wilgotna woń szczupaka zalały jego zmysły, wypełniając go wspomnieniami setek innych ryb, które tu złapał. Całe życie wyszarpywania haczyków z ich sztywnych warg, unikania oskarżycielskiego spojrzenia.

Zaczerpnął tchu.

Trzymając szczupaka do góry ogonem, wziął nóż i przystąpił do czyszczenia. Wachlarzowate łuski wielkości paznokcia posypały się na stół. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś ojciec wyjął kieszonkową lupę i pokazał mu, że można na nich policzyć pierścienie, by określić, ile lat ma ryba, zupełnie tak samo, jak w przypadku słoju i drzewa.

–Każda część trupa jest pouczająca – mruknął. – Jak mawiał ojciec.

Zastanowił się, co znajdzie w środku.

Plama światła na niebie była coraz większa.

Nic. Nie znajdzie nic.

Zrobił długie nacięcie na grzbiecie, wzdłuż kręgosłupa. Cętkowana skóra rozstąpiła się, odsłaniając przezroczyste mięso. Potem dwa prostopadłe cięcia tuż poniżej głowy, po obu stronach kręgosłupa. Następnie odciągnął powoli tkanki na boki, zdrapując je delikatnie tam, gdzie przylegały do kości, by odsłonić kręgosłup i żebra.

Ojciec byłby dumny.

Odwrócił rybę, odciął jej płetwy i otworzył brzuch. Trzewia wysliznęły się na zewnątrz w kałuży krwi. Naciął ostrożnie pęcherz, wątrobę i serce.

W żołądku znalazł bezkształtną masę na wpół strawionych płetek, resztki dwóch małych okoni oraz ciekawostkę: drugiego szczupaka, maleństwo nie dłuższe niż pół jego dłoni. Był tak świeży, że jego również mógłby oczyścić i podać na stół. Połknęto go nie więcej niż godzinę przed tym, nim Dante pomścił jego śmierć.

Wydobył ostrożnie mniejszą rybę i przystąpił do drugiej sekcji.

W brzuchu znalazł kwadratowy złoty pierścionek. Mogła to być gruba męska obrączka ślubna, choć Dante nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział kwadratową. Czubkiem noża oczyścił znalezisko z wnętrzości i przyjrzał mu się w coraz jaśniejszym blasku dnia.

Gdy wrócił do domu, ciotka Sophie była w kuchni. Przygotowywała sobie filiżankę herbaty z kory wierzbowej. Gdy pokazał jej pierścionek, krzyknęła i zemdląła. Później, kiedy matka ją ocuciła, zakłęta i zapaliła drżącymi palcami papierosa, ale nie chciała rozmawiać z Dantem ani spojrzeć na dziwny, kwadratowy pierścionek.

Przy kolacji udawali, że nic się nie stało. Długotrwała cisza doprowadzała Dantego do szału. Czuł się tak, jakby znowu był dzieckiem, wiercącym się niecierpliwie, gdy atmosferę wypełniały sekrety dorosłych.

Z początku wyglądało na to, że ciotka Sophie nie będzie w stanie gotować z powodu szoku, o jaki mimowolnie przyprawił ją Dante. Po krótkim odpoczynku na górze – słyszeli brzęk i stukot jej monet – postanowiła jednak wrócić do kuchni. Kręciła się po niej ze złowrogą miną przez resztę popołudnia, siekając zawzięcie jarzyny i tłuczkiem zmuszając mięso do niemej uległości.

Jako pierwszy pojawił się rosół z wołowiny, słony i ciemny jak krew. Niegdyś, w niezliczone popołudnia, Dante pomagał ciotce w przyrządzaniu go, krojąc jarzyny i dodając starannie przyprawy, aż wreszcie o czwartej wyjmowała wielką drewnianą chochlą kości i wyciągała z nich szpik, który oboje rozsmarowywali na grzankach i zjadali. By rosół wyszedł jak trzeba, wszystkie jarzyny należało wyjąć tuż przed podaniem. Były dwie wazy: w jednej ciemny bulion z makaronem, w drugiej pokryte kawałkami wołowiny ziemniaki, cebula i marchewka, a także papryka utarta z taką ilością chrzanu, że spożywający ją czuł się tak, jakby zatoki znieczulono mu amoniakiem.

Jet nałożył sobie ziemniaki.

–Wczoraj w Westwood Heights zastrzelili minotaura.

–W Westwood Heights!

Drobne zmarszczki na białym czole matki pogłębiły się. Nie potrafiła się powstrzymać, by nie spojrzeć na Dantego.

–Myślałam, że one grasują tylko w Scrubs albo może na Peter Street.

–Z ostatniej chwili: Minotaury pojawiają się poza slumsami. – Jet wzruszył ramionami. – Magia z każdą chwilą staje się silniejsza. Kto wie, co go tu sprowadziło? Strach przed psami obronnymi? Nie wiem. Zrobiłem kilka zdjęć do gazety.

–Może mammonici przepowiedzieli krach na giełdzie – zasugerowała Sarah. – Ilu ludzi załatwił?

Jet nałożył sobie trochę papryki z chrzanem.

–Jedną rodzinę i gazeciarza, zranił jeszcze dwie inne osoby. To był rzeźnik: standardowa mroczna postać z nożem. Kiedy go zastrzelili, nosił twarz ostatniej z ofiar.

Dante zadrżał. Nie był pewien, czy Jet chciał powiedzieć, że minotaur zdarł skórę z twarzy jednej z zabitych przez siebie osób i zrobił sobie z niej maskę, czy też, kierowany dziwną logiką snu, która władała podobnymi manifestacjami, potwór zawsze wyglądał jak bliźniak ofiary. Obie możliwości wydawały się równie straszliwe.

–No, ale pięć lat temu nie widywało się podobnych rzeczy.

Matka pokręciła małą głową w geście stanowczej dezaprobaty. Dante zauważył, że płomienna barwa jej pięknych rudych włosów przygasa już, zamieniając się w popiół. Z wyrzutem sumienia zastanowił się, kiedy to się wydarzyło i dlaczego do tej pory tego nie zauważył.

–Och, nie ma wątpliwości, że jest coraz gorzej – powiedział ojciec, napełniając jej kieliszek świetnym francuskim białym winem z któregoś rocznika lat osiemdziesiątych. – Pamiętam, jak po raz pierwszy usłyszeliśmy o podobnych rzeczach. Pod koniec wojny, kiedy wyzwolono obozy koncentracyjne.

–Golem z Treblinka – wtrącił Jet.

Ojciec nalał wina sobie.

–Był też jeden w Dachau. Zabił dwustu więźniów i czterech strażników. Nie udało się go zastrzelić.

Okrążył stół, nalewając wino Sarah i ciotce Sophie.

–Przydałby się jakiś uczonec z uzdolnieniami do tego całego anielstwa, który przeprowadziłby gruntowne badania takiego zjawiska.

Zatrzymał się obok ramienia Dantego.

–Można zrobić bardzo dużo dobrego. Człowiek, który by posiadał wiedzę i umiejętności potrzebne do wyegzorcyzmowania takich manifestacji albo, jeszcze lepiej, powstrzymania ich powstawania, zostałby Pasteurem lub Flemingiem swej epoki.

Wlał powoli resztę zawartości butelki do kieliszka syna.

–Brawa dla owego nieznanego zbawcy – rzucił Dante.

Matka obrzuciła go ostrym spojrzeniem. Zastygła z ręką nad półmiskiem marchewki duszonej w miodzie z imbirem.

–Lepiej nie szukaj kłopotów.

Ojciec wrócił na honorowe miejsce za stołem.

–Ale najdzielniejsi z pewnością są ci, którzy najjaśniej widzą, co ich czeka, czy to chwałę, czy niebezpieczeństwo, a mimo to ruszają losowi na spotkanie. Tukidydes.

–A zresztą, jaki ma wybór? – zastanawiał się Jet, ignorując wściekłe spojrzenie Dantego. – Z pewnością nie przykłada się do niczego innego. Czy to nie Hipokrates powiedział: „Bezczynność i lenistwo skłaniają – nie, prowadzą! – do złego!”.

Doktor Ratkay skrzywił się.

Sarah napełniła czarkę ciemnym rosołem.

–Parodia to najszczęsza postać pochlebstwa – zauważyła, uśmiechając się głupkowato do ojca.

Ciotka Sophie prychnęła pogardliwie nad winem. Jej niebieskie, jak papierosowy dym, oczy lśniły gniewem, a stara dłoń, otaczająca nóżkę kieliszka, drżała.

–Dante miałby sobie zrobić krzywdę, bawiąc się w anioła? Phi! Nie potrafiłby nawet zarobić na życie wrózeniem z fusów.

Gdy matka odsłoniła półmisek z marchewką, nad stołem uniósł się miodowo-imbrowy geniusz.

–To tak, jakbyś powiedziała, że zbyt kiepsko strzela, żeby sobie odstrzelić głowę – odrzekła cierpkim tonem.

–Dziękuję za wotum zaufania, mamó.

–Punkt i set dla matki – oznajmiła Sarah, która rejestrowała podobne rzeczy.

Po zupie i jarzynach zjawiała się taca z pieczoną papryką nadziewaną pikantną wołowiną z ryżem. Na środku stołu, dumnie niczym głowa Jana Chrzciciela na srebrnej tacy, spoczywała góra sznycli wiedeńskich: z jednej strony cielęcina, a z drugiej schab, panierowane i smażone w złocistobrazowym, lśniąącym smalcu.

–Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarzy ocenia, że każdy sznycel skraca życie o pięć minut – stwierdziła Sarah, nakładając sobie dwa kawałki cielęciny.

–Nie, jeżeli się nie zaciągasz – sprzeciwił się Jet. – Poza tym, nie powinnaś wierzyć we wszystko, co czytasz o niebezpieczeństwach związanych z biernym spożywaniem sznycli.

–Kolejne interesowne łgarstwa sługusów przemysłu sznyclowego – zaprotestowała Sarah, kręcąc głową. Obrzuciła błagalnym spojrzeniem zasiadającego na honorowym miejscu ojca. – Powiedz mu, doktorze!

Doktor Ratkay zamarł z kawałkiem cielęciny nadzianym na widelec.

–To tragiczne – oznajmił z powagą w głosie. – Tętnice twardnieją, a wcięcie w talii zanika. Jakież to marnotrawstwo ludzkiego życia!

Jęknęli wszyscy, gdy poklepał się po brzuszku. Koszula lekko mu się z przodu uwypuklała.

–Gdybym zechciał, mógłbym z tym zerwać w każdej chwili – odezwał się Dante z na wpół wypełnionymi ustami. – No wiecie, w laboratorium mam mnóstwo stresów. Para sznycli pomaga mi się uspokoić. Czy to takie złe?

Jet oddzielił mięso od kości, odkroił tłuszcz, wyciął kąsek odpowiednich rozmiarów i włożył go do ust.

–Uch – powiedział. – Mentolowy.

–Phi! Kiedy byłam młoda, tośmy codziennie wchrzanieli na śniadanie kawał boczku z obu stron posmarowany smalcem – wtrąciła ciotka Sophie z mocnym węgierskim akcentem. Wskazała dumnie na swe ramiona, wciąż silne, choć zbliżała się do siedemdziesiątki. – Myślicie, że tę pieruńską krzepę to mam od otrębów i chudego mleka?

Ciotka Sophie nie mieszkała na Węgrzech od 1929 roku, choć jeździła tam, kiedy tylko mogła. Bezbłędnie mówiła po angielsku i równie bezbłędnie przeklinała po amerykańsku.

Uniosła sznycel, złocisty i lśniący, po czym prychnęła, okazując wzdarcie młodszemu bratu i jego lekarskiemu dyplomowi.

–Niech was piekło pochłonie – rzuciła.

Piekło było dla ciotki Sophie bardzo konkretnym miejscem. Dorastając, Dante był pewien, że pamięta ona wszystko, co tam wysłała, jakie były jej motywy i w którym miejscu to wylądowało.

Była dziwna, nawet jak na dorosłą osobę. Dwie paczki papierosów „Virginia Slims” dziennie nadały jej oczom kolor dymu papierosowego. Jako chłopiec zawsze wyczuwał tłący się w nich ogień. Przyrządzała niezwykle potrawy, jak chleb smażony na smalcu, i spożywała je w osobliwych porach, jak piąta rano i trzecia po południu. Kiedyś spotkał ją w kuchni o drugiej w nocy. Była jeszcze ubrana. Patrzyła ze zmarszczonymi brwiami na układ w jaki ułożyły się jej magiczne srebrne dolary, popijała herbatkę z kopru i zajadała, jedną po drugiej, maleńkie marynowane cebulki. Mieszkała z nimi od zawsze i bardzo kochała Dantego, lecz ani razu nie zjawiała się na jego przyjęciu urodzinowym.

Była również pierwszą dorosłą osobą, z której ust usłyszał przekleństwo. Miał wówczas siedem lat. Włosy ciotki były wciąż długie, proste i czarne, a jej nadal szczupłe palce miały pożółkłe koniuszki.

Miasto nie dotarło jeszcze pod ich próg. Dzieci ciągle jeszcze chodziły do wiejskiej szkoły, mieszczącej wszystkie klasy w tym samym budynku. Była wczesna wiosna i Dante musiał brnąć przez błoto pół mili od przystanku autobusowego. Niósł w sobie dziwną prawdę. Zginął uczeń jedenastej klasy nazwiskiem Jason Babych. Jet mówił, że miało to coś wspólnego z dziewczyną. Wstał przed świtem i zastrzelił się za stodołą. Znalazł go tam jego tata.

Dante nigdy nie potrafił pojąć, skąd Jet wie takie rzeczy. Nie pytał go o to. Jego brat miał świadomość głębszą niż inne dzieci. Rozumiał kody i szyfry dorosłych. Umiał odgadnąć tajemnice, kryjące się za ich spojrzeniami i chwilami wahania, tak jak doktor Ratkay rozpoznawał chorobę Parkinsona w drżeniu ręki staruszka, czy zgniliznę płuc w ludzkim kaszlu.

Jet opowiedział Dantemu, co odkrył, zmusił go, by dzielił z nim tę nieczystą wiedzę. Jednym z najbardziej wyrazistych wspomnień, jakie zachował z dzieciństwa, było wrażenie wywołane przez sekrety, które wmuszał mu brat: złowieszcze sprawy pełne tajemniczych znaczeń ze świata dorosłych.

Zginął uczeń jedenastej klasy. Leżał pod ścianą ojcowskiej stodoły. Coś wspólnego z dziewczyną.

Dante czuł się brudny od tej wiedzy. Chciał z kimś porozmawiać. Z kimś, kto nie

byłby Jetem.

Matkę rozgniewałoby, że o tym wie. Pracowała w szkole. Zdał sobie sprawę, że zapewne znała Jasona Babycha.

Ojca na pewno tam wezwali. Możliwe, że naciął już martwe ciało Jasona jednym ze swych skalpeli. Tyle że jego to nie bolało, ponieważ był trupem.

Dante odszukał więc ciotkę Sophie i okazał przygnębienie, i pozwolił, żeby zrobiła mu grzankę, i opowiedział jej wszystko, i czekał, aż pokaże mu magiczną sztuczkę albo opowie zabawną historyjkę, dzięki której poczułby się lepiej.

Nie zrobiła nic w tym stylu.

–Cholerny dureń – rzuciła gniewnie. – Ha! Założę się, że to Jet ci powiedział. Zgadza się?

Dante nie odpowiedział.

–Oczywiście, że on. Mały szpicel.

Nalała gniewnie wody do czajnika i postawiła go z łomotem na kuchence. Była jeszcze wtedy silna, bardzo silna.

–Wiesz, co ci powiem? Ten chłopak był durniem. Tchórzem i durniem. Zabić się to najędzniejsza rzecz, jaką można zrobić. Zapamiętaj to sobie! To głupie i lekceważące. Ten, kto tak postępuje, jest tchórzem. Nie może znieść trudności i tyle... Tchórz i zdrajca, tym właśnie był. Sukinsyn – zakończyła tonem tak gwałtownym, że Dante się rozplakał.

Ciotka jednak go nie widziała. Gapiła się w jakiś punkt, leżący w oddali albo w dalekiej przeszłości.

–Niech go piekło pochłonie – powiedziała wreszcie. – Niech go piekło pochłonie.

Święte sprawy odsłaniane są

tylko świętym ludziom

Hipokrates

Pająk, który wylazł z jego przeciętej szyi, zniknął.

Gdy Dante wynurzył się z głębin nieświadomości, przekonał się, że siedzi na odwróconym do góry dnem wiadrze na przynęty. Jet przykucnął tuż przy nim, podpierając go, z ręką wspartą na jego barku. Coś wisiało Dantemu tuż nad głową. Zdał sobie sprawę, że to jego własna martwa stopa, wystająca za krawędź łódki.

To jest coś bardzo podobnego do piekła, przemknęło mu przez głowę. Spojrzał na Jeta: tego sukinsyna Jeta, który znalazł zwłoki, leżące pod lustrem na komodzie. Faktycznie, był „małym szpiclem”.

Sarah przyniosła kubek wody z kranu w przystani. Była zimna i miała metaliczny posmak.

–Dasz sobie z tym radę? Jeśli nie, to mogę spróbować...

Pokręcił głową. Przyjrzał się spodniom i strącił z nich wyimaginowaną nitkę, żeby uspokoić nerwy.

–Ja muszę to zrobić.

–Jesteś tego pewien?

Dante podniósł się powoli, wziął w rękę rzeźnicki nóż i uśmiechnął się do Sarah z przekąsem.

–Jak babcię kocham.

Po śmierci krew zgromadziła się w dolnej części jego ciała, przez co tylna strona kolan, ud i szyi, oraz plecy wyglądały na ciężko posiniaczone.

Dante ciął, i ciął po raz drugi.

Zmarli w najmniejszym stopniu nie przypominają śpiących, pomyślał. Wiele razy wzruszała go bezbronność pogrążonej we śnie kochanki, krucha niewinność kobiecych ust, lekko rozchylonych jak u dziecka. W śmierci nie było nic niewinnego. Ciało rozstępujące się opornie pod naciskiem noża nie było już Dantem. Stało się

przedmiotem, niczym ponad to, co dostrzegał jego bezbożny ojciec – ślepa, pozbawioną celu maszyną, teraz już zepsuta i bezużyteczną. Nie mogła istnieć pełniejsza degradacja.

Jet przeczytał kolejny fragment *Patologii praktycznej* Millera:

–Następnym etapem procesu jest oddzielenie skóry i mięśni klatki piersiowej od mostka, chrząstek i żeber, a także skóry szyi od leżących niżej tkanek. Należy to zrobić, ujmując skórę i tak dalej, lewą ręką...

–Skórę i tak dalej – wyszeptał Dante. – Mój Boże.

Gęste, czarne brwi Jeta uniosły się w wyrazie niezadowolenia. Znowu zaczął czytać, porażająco doskonale imitując mentorski ton głosu doktora Ratkaya:

–Ujmując skórę i tak dalej, lewą ręką i miarowym ruchem odrywając ją od mostka bądź żeber. Ostrzem skalpela dotyka się przy tym, tu i ówdzie, napinającej się tkanki podskórnej. – Podniósł wzrok. – To całkiem jak patroszenie ryby – rzucił. – Rozpoczynając od drugiej chrząstki żebrowej, blisko zespolenia z żebrem, skośnym cięciem biegnącym na zewnątrz, by uniknąć zranienia płuca leżącego poniżej, oddziela się chrząstki po obu stronach – kontynuował.

Dłonie Dantego pociły się w gumowych rękawiczkach. Przepiłował ostrożnie własne chrząstki.

–Należy zachować wielką ostrożność, by nie dopuścić do rozszczepienia żeber, celem uniknięcia ran kłutych dłoni podczas dalszych manipulacji. Doskonałą metodą zapobiegania podobnym obrażeniom jest owinięcie odciętych końców żeber skórą zdjętą uprzednio z klatki piersiowej – czytał Jet.

Dante miał ochotę się rozplakać. Dlaczego poszedł na ryby z tą przeklętą przynętą? (Czy to możliwe, że zrobił to nie dalej niż dziś rano? Miał wrażenie, że od tamtej chwili upłynęło całe życie. W pewnym sensie rzeczywiście upłynęło, pomyślał z rozbrłyskiem gorzkiego humoru). Czy było mu pisane odnalezienie dziwnego kwadratowego pierścienia? Co on oznaczał? Ciotka Sophie najwyraźniej go rozpoznała, a przynajmniej tak jej się zdawało.

Dlaczego pozwolił Jetowi zbliżyć się do tego lustra?

Miał dwadzieścia jeden lat, gdy zdobyło nad nim władzę. Przyjechał z college'u na Boże Narodzenie. Był z tego powodu wściekły. W Mieście nadal był obcy w swym bezosobowym lokum, ślizgał się po powierzchni życia. To mu odpowiadało.

Ale w domu... Stary budynek roił się od sekretów dzieciństwa, a on utracił umiejętność ich ignorowania.

Najgorsze było lustro. Komoda-antyk, którą zdobiło, była długim, mahoniowym potworem, spijającym kwartami cytrynowy olej Akeru do konserwacji mebli. Pokrywał ją biały włoski marmur usiany czarnymi żyłkami, niczym lody karmelem. Na jej szczycie wznosiło się owalne zwierciadło wysokości trzech stóp. Otaczała je obwódka matowego szkła, przypominająca lód na brzegach stawu w zimie.

To właśnie lustro osądziło Dantego w dniu, gdy zatrzał zabijakę Duane'a nieczystymi tajemnicami. W bezlitosnej głębi zwierciadła ujrzał wypełzające ze swych ust pająki. Z upływem lat budziło w nim coraz większy lęk. Pewnej nocy usłyszał, że jego lodowa tafla trzeszczy, ujrzał, że przesuwana się pod ciężarem jego spojrzenia. Złapał starą narzutę i zasłonił nią lustro, nim pochłonęła go czekająca pod pękającym szkłem czarna rzeka.

Od tego czasu nie odważył się dotknąć komody. Dopuszczał do tego, by zrobiła się sucha i pomarszczona z braku oleju do konserwacji. Nie znosił jej widoku i rzadko przyjeżdżał do domu, gdyż oznaczało to spędzenie nocy w tym samym pokoju, co przeklęty mebel. Za każdym razem, gdy tu się zjawiał, rzucał mu się w oczy kształt, który rósł pod narzutą.

Pod kocem tworzyło się coś masywnego. Coś czekało na niego w otchłani lustra.

Wczoraj po kolacji wreszcie go dopadło. Wymknął się do swego pokoju. Jet i Sarah znaleźli go, gdy siedział na krawędzi łóżka wpatrzony w kwadratowy pierścień, usiłując wykombinować jakieś usprawiedliwienie, które pozwoliłoby mu spędzić noc na kanapie w salonie.

–Co się stało ciotce Sophie? – zapytała Sarah. – Zamknęła się w swoim pokoju. Sądząc po smrodzie, stara się wykadzić pomieszczenie całym kartonem Virginia slims.

–Dante chce zasłużyć na skrzydełka i aureolę – wycedził Jet. – Ma zamiar zabrać się wreszcie za anielstwo.

–Idź do diabła. Ciotka Sophie ma prawo do swoich tajemnic. Nic mnie one nie obchodzą.

–Jak sądzisz, co się stało z jej mężem? – zastanawiał się Jet. – I z dzieckiem?

–Umarł dawno temu... z dzieckiem? – Ryż brwi Dantego podniosły się na znak zaskoczenia. – Z jakim dzieckiem?

–Znalazłem ich zdjęcie. Ciotki Sophie i twojej matki. Obie były w zaawansowanej ciąży.

–Znalazłeś zdjęcie? Gdzie?

–Nie pamiętam.

–Ty wszystko pamiętasz – stwierdził z podejrzliwością w głosie Dante.

–Co się stało z dzieckiem ciotki Sophie, Dante?

–Skąd mam wiedzieć? Pewnie poroniła albo urodziła martwe. To wystarczający powód, by o tym nie mówić. – Wzruszył ramionami, odpychając od siebie kolejną przykrą tajemnicę Jeta. – Co jeszcze chcesz wygrzebać? To chyba jest wystarczająco okropne?

–Dlaczego nie przychodzi na twoje przyjęcia urodzinowe? Hm? – Jet wyszczerzył zęby. Motyl na jego policzku zadrżał. – Co to za mały pierścień znalazłeś? Najmniejszy z pierścieni? Co ujrziała ciotka Sophie w głębi jego złotego oczka, hę? – Złożył palce w piramidkę z miną poważną jak u mnicha. – Nie ukryjesz się przed losem, synu.

–Ludzie nie mają losów – sprzeciwiła się z jękiem Sarah.

–Nie, to losy mają ludzi – odparł z nagłą powagą Jet. – A to coś całkiem innego.

Dante zamrugał. Brat wpatrywał mu się w oczy. Przez głowę przemknęła mu spontanicznie myśl: Jet. To Jet jest moim losem. Ma mnie.

–Co się stało z ojcem? – zapytała Sarah. Nie zauważyła przeciągłego spojrzenia między jej braćmi. – To znaczy, z mężem ciotki Sophie. Niemożliwe, by miała dziecko bez ślubu, a nigdy nie nosiła obrączki.

–Pierścień – wyszeptał Dante, sięgając do kieszeni. Wciąż tam był: gruby, kwadratowy i złoty. Bez ozdób. Jak męska ślubna obrączka.

–Jeszcze ci załatwimy koncesję na kryształową kulę – zamruczał Jet.

Sarah zmarszczyła brwi.

–Jeśli znalazłeś obrączkę jej męża w rzece, to możliwe, że się utopił. Może i on, i dziecko utonęli tego samego dnia. W dzień twoich urodzin, Dante! To by tłumaczyło, dlaczego nigdy nie przychodzi na przyjęcia. Jest na cmentarzu albo cholera wie gdzie.

–Co jest pierwszą rzeczą, którą pamiętasz? – zapytał szeptem Jet. – Twoim najdawniejszym wspomnieniem?

–Nie wiem. Pewnie Dziadek Zegar. Widziałem własne odbicie w jego fasadzie. Pamiętam tykanie.

Obrócił pierścień w palcach. Był ciężki, metalicznie żółty, tego samego koloru, co jego spinki.

–Ja pamiętam wszystko – przyznał Jet. Sarah zachnęła się, lecz zignorował ją, spoglądając tylko na Dantego. Jego czarne oczy lśniły wściekle nad wątłym uśmiechem. – Gdy obudziłem się po raz pierwszy, miałeś siedem dni. Wiem to. Słyszałem, jak ciotka Sophie i twoja matka rozmawiały na ten temat w sąsiednim pokoju. Rozumiałem je doskonale.

Dante mu wierzył.

–To twój płacz mnie obudził – ciągnął Jet. Siedział na komodzie, wymachując leniwie nogami. Dłoń oparł na ukrytej pod narzutą bryle. – Leżałem w koszyku na kuchennym stole, obok otwartego okna. Ty spoczywałeś obok mnie. Musiały usłyszeć twój płacz, bo matka westchnęła i weszła do pokoju. Jej kroki były powolne i bolesne. Ciotka Sophie szła za nią. Matka podniosła cię, wzięła na ręce i zaczęła śpiewać. Patrzyła przez okno na rzekę. Była wtedy młoda, młodsza niż Sarah teraz. I ładniejsza.

Uśmiechnął się.

Czy to Jet ci to powiedział? – pytała ciotka Sophie. Oczywiście, że on. Mały szpicel... To najnudniejsza rzecz na świecie. Był tchórzem i zdrajcą. Tak mówiła. Kto? Kto był zdrajcą, o którym myślała owego dnia, gdy jej oczy wpatrywały się w przeszłość?

Dotknął palcem pierścienia. Męskiej ślubnej obrączki.

Głos Jeta był cichy.

–I wtedy matka popatrzyła na mnie i śpiew uwiązł w jej gardle. Szepnęła: „Sophie”. Następną rzeczą, jaką zobaczyłem, była twarz pochylonej ciotki Sophie. Rozumiesz? Ja byłem tym dzieckiem, Dante. Dzieckiem ciotki Sophie.

Sarah pokręciła głową.

–Wiedzielibyśmy o tym.

Jet zignorował ją. Patrzył tylko na Dantego, zawsze na Dantego.

–Zobaczyła mnie i zaczęła krzyczeć. Krzyczała i krzyczała. Nie chciała przestać. Nigdy nie przestała krzyczeć. Słyszę jej krzyk przez cały czas, w przerwach między tyknięciami Dziadka Zegara, Dante. Rozbrzmiewa nim cały dom. Ściany drżą od niego. – Jet zamknął oczy. – Co się stało z dzieckiem, hę?

Gdy je otworzył, widniała w nich taka wściekłość, że serce Dantego przestało na chwilę bić.

–Co się stało ze mną? Ty byłeś dzieckiem matki, a ja ciotki Sophie, tylko że coś się ze mną stało w tydzień po narodzeniu. Coś naznaczyło mnie tym – powiedział, unosząc palec ku znamieniu w kształcie motyla. – Coś odebrało mi człowieczeństwo, Dante. Coś zabrało mnie z blasku słońca i zrobiło ze mnie twój cholerny cień. Przez całe lata nie dbałem o to. Tak już po prostu było. Dorastałem jako outsider. Któż mnie za niego nie uważał? Ale to już mi nie wystarcza. Chcę poznać prawdę, Dante. Dowiedzieć się, co się stało.

–Nie potrafię ci tego wyjaśnić.

Jet zeskoczył z komody z nerwowym, napiętym ze złości śmiechem.

–Jesteś aniołem, do cholery! Mógłbyś się dowiedzieć.

–Nie mógłbym. Nie potrafię.

–To się naucz!

Zdarł gwałtownie narzutę z komody, chcąc odsłonić biały, marmurowy blat.

Pod zimnym, uporczywym spojrzeniem lustra leżały zwłoki Dantego. Był martwy.

Nie mógł krzyknąć. Nie był w stanie się poruszyć.

Wpatrywał się bezradnie w lustro. Widział bezsilny, jak pochyla się nad trupem. Tyle że miał twarz ojca, a w ręku trzymał skalpel.

–Sekcja przypomina trzecią część sonaty – powiedział kiedyś doktor Ratkay. – Ciało; Życie; Repryza Ciała.

Dokonał reprzyzy swego martwego ciała, które leżało poszatkwane w domku na przystani. Najważniejszy w sekcji jest czas, pomyślał. Za życia opieramy się prądowi, zachowując własny kształt, a po śmierci unosi nas on ze świata żywych, aż wreszcie znikamy nawet z pamięci.

Kciukiem i palcem wskazującym lewej dłoni rozsunął tkanki i ujrzał w swym martwym brzuchu biały, włóknisty worek, przypominający te, w których pająki składają jaja. Miał rozmiar połowy piłki futbolowej. Obejmował większą część wątroby i pół nerki.

–Mój Boże – wyszeptała Sarah. Złapała wiadro na przynęty i zwymiotowała.

Stojący obok Dantego Jet, dotknął delikatnie worka palcem.

–Jest jeszcze ciepły – rzucił.

Dante ściągnął z drżących dłoni gumowe rękawiczki. Odwrócił wzrok od białego worka, który wyrósł w jamie jego ciała. Wyczuwał ową narośl w swym wnętrzu, lepka, obcą masę, otaczającą ważne dla życia narządy. Jej pajęczynowate nitki oplatały mu serce.

Nie chciał umierać. Jeszcze nie. Boże, błagam Cię.

Nagle poczucie daremności życia rozwarło się przed nim niczym otchłań. Miał trzydzieści jeden lat i czego dokonał? Niczego. Nie skończył studiów, nigdy się nie zakochał.

Co prawda, zdarzało mu się czuć słabość do jakiejś kobiety. Bardzo często. Ale miłość? To było coś całkiem innego. To, co łączyło go z Jetem, Sarah, mamą, tatą i ciotką Sophie, nie było uczuciem, lecz faktem – czymś równie konkretnym, jak kamień.

Nigdy nie zbliżył się tak bardzo do kobiety. Nie założył rodziny. I nie zamierzał tego zrobić.

Popatrzył na Sarah. Miała dwadzieścia osiem lat, była inteligentna i dorosła, lecz dostrzegał w niej młodszą siostrzyczkę – pyzatego dzieciaka, który kiedyś się zgubił. Pilnowali jej wtedy z Jetem. Biegali potem jak szaleni przez pół godziny po drózkach wzdłuż rzeki, aż wreszcie Dante ją zauważył. Zmykała ze śmiechem po ścieżce, wywijając nad głową pieluchą jak sztandarem zwycięskiego legionu.

Sarah przestała wymiotować. Minęła dłuższa chwila, nim odzyskała panowanie nad sobą i zmusiła się do spojrzenia na leżące w łodzi zwłoki. Przez jej twarz przemknął pozbawiony wesołości uśmiech.

–Czy to nie Sokrates powiedział: „Nie warto umrzeć nieprzemyślaną śmiercią”?

Serce Dantego wciąż waliło jak szalone. Na wzgórzu, Dziadek Zegar z pewnością nadal wypełniał tykaniem salon, choć ostatnie węgielki w kominku już zgasły. Rodzice leżeli w bliźniaczych łóżkach, a ciotkę Sophie dręczyły niespokojne sny o wronach i papierosach.

Sarah przyjrzała się białej narośli widocznej wewnątrz zwłok Dantego.

–Może tata mógłby to wyciąć. To znaczy, jeśli masz w brzuchu coś takiego.

Przez umysł Dantego przemknął koszmary obraz: ojciec nachylał się nad nim, otwierając jego ciało. Nóż przecinał narządy. Wyjęte z klatki piersiowej serce biło w jego dłoniach.

Potrząsnął głową.

–Wżarło się już w wiele ważnych dla życia narządów. W wątrobę. Nerki. Może w śledzionę. Może w serce. Za późno na operację.

Zadrżał, czując wbijające się mu w ciało cienkie, złe zadziory okrutnego świata.

–Co zrobimy ze zwłokami? – spytała Sarah.

–Spalmy je – odrzekł. – Narośl razem z ciałem. Spalmy wszystko. A potem upiję się do nieprzytomności – dodał. – To wspaniały pomysł.

Sarah zignorowała go.

–Nie możemy go cisnąć do rzeki. Co będzie, jeśli wyrzuci je na brzeg? Chyba moglibyśmy cię skremować...

–Ciało!

–Ciało. Wtedy nikt by go nie rozpoznał.

Przerwała, marszcząc czoło.

–Chyba że się boisz, że ucierpiałbyś od tego. Dostał gorączki albo coś takiego. Oczywiście, już je otworzyliśmy i krew nie trysnęła z ciebie strumieniami.

Na słowo „krew” Dante poczuł bardzo wyraźnie bicie tętna w swej szyi, klatce piersiowej i u podstawy kciuka. Żegnajcie, kochanki: białe ząbki Mei i wzgórek Tani, jędrny pod jego dłonią niczym brzoskwinia. Żegnaj, Lauro, moja przyjaciółko – dzięki za wiadra zielonej herbaty, które piliśmy razem z twych porcelanowych filiżaneczek. Żegnaj, ciotko Sophie, ze swymi monetami i papierosami; Sarah z haftowanymi kamizelkami i jadowitym dowcipem. Żegnaj, mamó – jednym bystrym spojrzeniem swych szkockich oczu potrafiłaś oszacować moją wartość co do grosza.

Żegnaj Jet – kochałem cię, ale nie przyniosło ci to wiele dobrego.

Ave, Paternituri te salutamus.

–Powinniśmy je pochować – oznajmił wreszcie. Spojrzał na otwarte zwłoki. Ostre końce żeber owinięto skórą „celem uniknięcia ran kłutych podczas dalszych manipulacji”.

Jet położył wąską dłoń na zwłokach. Dotknął biodra i pachwiny, a potem przesunął delikatnie palcami po krawędziach rozciętego brzucha.

–Chcę się dowiedzieć, dlaczego jestem inny.

Wstał powoli. Zdjął ręce z trupa.

–Chcę się dowiedzieć, skąd mam to – dodał, przesuając palcami po pokrywającym mu policzek znamieniu o kształcie motyla.

–Zapytajmy rodziców – zaproponował Dante. – Sarah zajmie się mamą, a tymczasem my dwaj pochowamy... to coś.

–To nie wystarczy – odparł cicho Jet. – Nie możesz pochować ciała i zapomnieć o nim, Dante. Umrzesz, jeśli się nie połapiemy, co jest grane. A wtedy nigdy się nie dowiem, co stało się ze mną.

–Jezu Chryste – warknął podniecony Dante. – Otworzyłem przecież oczy. Przyjrzałem się tym cholernym zwłokom. Zniosłem je na dół i zajrzałem do środka...

–Jeśli się nad tym zastanowić, to trochę przypomina ciasteczko szczęścia – wyszeptała Sarah.

–...co do licha mam jeszcze zrobić?

Jet nie odpowiedział. Złapał go tylko za dłoń i wciągnął ją w głąb otwartej klatki piersiowej trupa. Po skórze Dantego przebiegły ciarki. Z ukrytego głęboko w jego jaźni więzienia wyrwało się zakazane wspomnienie, cuchnące potem i strachem. *Ciemność. Ciężki odgłos wentylatora w sąsiednim pokoju.*

Wielka łapa na jego nodze.

Wyszarpnął gwałtownie dłoń.

–Hej! Chłopaki! Trzymajcie testosteron na smyczy – odezwała się ostrym tonem Sarah.

Jet wzruszył ramionami.

–Jesteś aniołem, Dante. Lepiej się z tym pogódź, jeśli chcesz ocalić życie.

–Podejrzewam, że nie zdajesz sobie sprawy, czego ode mnie żądasz – wyszeptał Dante.

Motyl na policzku zadrżał.

–Wszystkiego.

Z przeciętego gardła zwłok wysunęła się maleńka pajęczka nóżka. Dante przygryzał wargę do krwi, dopóki pająk się nie oddalił, dopóki nie poczuł, że wizja wniknęła w głąb jego jaźni niczym woda wsiąkająca w ziemię.

–Niech będzie – zgodził się.

*Modlitwa zaiste jest przydatna,
lecz wzywając na pomoc bogów,
człowiek również powinien dołożyć starań.*

Hipokrates

W tym czasie, gdy Dante wynosił ukradkiem, wraz z rodzeństwem, swe zwłoki do przystani obok ich domu leżącego o milę za Miastem, Laura Chen była jeszcze w pracy. Na długo po tym, gdy w otaczających ją budynkach (monolitach ze szkła i stali zaprojektowanych przez I.M. Peia bez poświęcenia uwagi falistym wzgórzom czy rzece – co on w ogóle sobie myślał?) pogasły światła, Laura wciąż była na stanowisku, zajęta trudnym problemem przebudowy domu pana Hudsona. Chciał mieć solarium. Rozkład budynku sugerował, by ulokować je w południowo-wschodnim narożniku, lecz jego geomanta wyraził opinię, że rok nie jest pomyślny dla prac w tym kwadrancie.

Niekiedy zatrzymywała się pochylona nad projektem rozpostartym na stole kreślarskim. W innych momentach kręciła się po gabinecie i wypijała kolejne filiżanki mocnej czarnej kawy, rozmyślając nad otwierającymi się przed nią możliwościami.

Mogli rzecz jasna przeprowadzić oczyszczające rytuały, by przyciągnąć wpływ dwóch pomyślnych gwiazd, które według słów pana Linga, geomanty, były w ascendencji w horoskopie Hudsona. Pan Ling był gotów dołożyć wszelkich starań, lecz w głębi duszy uważał, że byłaby to jedynie prowizorka. Laura skłaniała się do przyznania mu racji. Nie miała szczególnego talentu do feng shui, choć dobrze rozumiała jego zasady, ale jej zmysł architekta wystarczał, by ją przekonać, że kosmetyczne rozwiązania nie zastąpią solidnych fundamentów.

Jeśli więc solarium nie miało być zwrócone na południowy wschód, to gdzie należało je ulokować? I jak trzeba przebudować resztę domu, aby osiągnąć harmonijną integrację?

W takich właśnie chwilach – późną nocą, gdy była zmęczona i użerała się z kolejnym nierozwiązywalnym problemem dotyczącym feng shui – niemal żałowała, że jej sławny stryjeczny dziadek nie był odrobinę mniej sławny. To legendarne nazwisko Chen Dai Feia, jednego z Pięciu Założycieli Dozwolonego Miasta, sprawiało, że chińscy klienci zwracali się z zamówieniami do jego kuzynki. Choć nadal była tylko młodszym współnikiem w firmie Jaundice Park, stała się zdecydowanie najlepszą specjalistką od interdyscyplinarnych projektów, którym dało początek Dozwolone Miasto. Pan Jaundice radził sobie naprawdę dobrze tylko z inżynierami i

przedsiębiorcami budowlanymi, pani Taft opanowała żargon ergonomików, a pan Park mówił trochę w narzeczu socjologów, ale tylko ona potrafiła zasiąść do pracy z geomantą, nie czując się przy tym głupio. Nigdy nie zapominała o umieszczeniu zaklęcia pod kamieniem węgielnym domu klienta i jako jedyna w firmie wiedziała, jak zapobiegać niekorzystnemu wpływowi wznoszonego po drugiej stronie ulicy budynku o prostokątnych zarysach, za pomocą kilku umieszczonych w odpowiednich miejscach tanich luster z ośmioma trygramami.

Nie wierzyła jednak we wszystko, co mówili jej geomanci. Choć wróżbiarstwo z roku na rok czyniło postępy, wciąż nie zaliczało się do nauk ścisłych. Odnosiła się do aniołów, z którymi współpracowała, podobnie jak do Boga – było oczywiste, że coś w tym jest. Jeśli nawet miała niekiedy wątpliwości, czy jej kapłan albo geomanta wiedzą, na czym dokładnie owo coś polega, uważała, że byłoby głupotą nie odmówić modlitwy, czy nie wysłuchać rad pana Linga.

Zadanie, nad którym w tej chwili pracowała, było szczególnie delikatne z uwagi na fakt, że pan Hudson nie był bynajmniej Chińczykiem, lecz Amerykaninem w ósmym pokoleniu, a w jego żyłach płynęła błękitna bostońska krew. Sukces w pracy z niechińskimi klientami miał dla niej kluczowe znaczenie. Jeśli będzie im się dobrze powodziło, jeśli będą się czuli szczęśliwi i pogodni w domach, które dla nich zaprojektowała, przyczyni się do sukcesu dzieła Tristana Chu, Gary Snydera i wielu innych – przekonania Amerykanów o skuteczności metod zastosowanych w Dozwolonym Mieście. A jeśli Amerykanie w nie uwierzą, jej osoba umożliwi firmie odniesienie sukcesu na rynku. Słyszała – nawet z ust luminarza tak czcigodnego, jak sam stary pan Jaundice – że jeśli liczba bogatych klientów szukających jej usług nie przestanie rosnać, jej nazwisko może wkrótce zostać umieszczone w nazwie firmy.

Cóż, to nazwisko stryjecznego dziadka, pomyślała z przekąsem. To za nie płacili jej klienci.

Nalała sobie kolejną filiżankę kawy. Niestety, stryjeczny dziadek nie wykonywał za nią roboty. (Trzeba przyznać, że trzy razy zesłał sny, które ją oświeciły, lecz był to wyjątek, nie zasada. Zresztą wołała samodzielnie rozwiązywać problemy).

Dopiero w pięć filiżanek odkąd została sama w firmie westchnęła wreszcie, potarła powieki i wyłączyła wiszącą nad stołem kreślarską lampę. Odsunęła szufladę i sięgnęła ręką, za suwaki logarytmiczne i automatyczne ołówki, po pędzelek z cienkiego końskiego włosia i flakonik czerwonego tuszu. Na specjalnym żółtym papierze do zaklęć, cienkim i szeleszczącym jak krepina, namalowała dwa talizmany: jeden dla Chen Dai Feia, a drugi dla swego ojca. Spaliła je w małym palenisku stojącym na biurku, wznosząc codzienną modlitwę dziękczynną. Potem włożyła płaszcz przeciwdeszczowy, zamknęła gabinet i zgasła światło.

Papierkowa robota, pomyślała. Czuła się trochę samotna o tak późnej godzinie.

Rysowanie papierowych domów. Moja rodzina zmieniła się w papierowe lalki, a potem obróciła w popiół.

Jej matka zawsze stanowczo odmawiała powrotu do Kansas. Laura nigdy nie widziała tamtejszych krewnych. Z dziadkami rozmawiała przez telefon dwa razy do roku, na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. Traktowali ją uprzejmie. Jak mogliby okazać coś więcej, skoro nie pozwolono im być częścią jej rodziny? Pod pewnymi względami była zbyt chińska, by być Amerykanką, lecz całe życie spędziła pod władzą gwiaździstego sztandaru i do dziś potrafiła wyrecytować preambułę do konstytucji oraz przysięgę na sztandar, owo potężne zaklęcie, którego musiało się nauczyć każde amerykańskie dziecko. Cóż mogły dla niej znaczyć Chiny? Nigdy tam nie była. Nie widziała ojca w jego ojczyźnie. Nigdy nie poznała wielkiego Dai Feia.

Wzruszyła ramionami i parsknęła gniewnie niczym koń. Nie znosiła uzalania się nad sobą.

Zbłąkane dziecko albo dziecko-skarb, powiedziała sobie stanowczo. Zależy, jak na to spojrzeć. Koniec z chandrą. Jazda do łóżka!

Popatrzyła na tłące się w palenisku talizmany. Cienka, żarząca się linia węgielków posuwała się naprzód z cichym trzaskiem, gdy żółty papier obracał się w czarny popiół.

Dobranoc, stryjku Chen.

Dobranoc, tato.

Żegnajcie.

Może to pięć dodatkowych filiżanek kawy sprawiło, że spała bardzo lekko. Obudziła się gwałtownie w środku nocy, czując drganie lewego oka. Spojrzała na stojący obok łóżka zegar. Była druga czterdzieści osiem. Godzina Ch'ou. Tik w lewym oku przepowiadał... Jak to było? „Zdarzy się coś, co cię zaniepokoi”. A może: „Ktoś o tobie myśli”. Nie mogła sobie przypomnieć, poszukała więc ręką T'ung Shu za 1992 rok, zawieszzonego na czerwonej jedwabnej wstążce u wezglowia łóżka. Gdy przerzucała stronicie almanachu, usiłując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje część dotycząca przepowiadania na podstawie doznań fizycznych, usłyszała nagle hałas na górze.

Natychmiast zrozumiała, co ją obudziło. W mieszkaniu piętro wyżej słyhać było kroki. Nie był to jednak Dante Ratkay. Wyjechał na Dzień Dziękczynienia do rodzinnego domu. Znała zresztą jego senny chód. Często łąził w środku nocy do lodówki bądź obijał się po ciemku o meble, gdy szedł się odlać. Nierzadko słyhać było też inne kroki – lżejsze, kobiece stąpanie jednej z wędrownego cyrku kochanek Dantego. Nigdy jednak nie słyzała takich jak te. Były pewne i metodyczne.

Zatrzymywały się, rozbrzmiewały raz czy dwa, znowu przystawały i ponownie ruszały...

Ktoś czegoś szukał.

Usiadła w łóżku, napięta niczym cięciwa łuku. Powiedziała sobie, że to pewnie tylko złodziej. Artysta włamywacz, który postanowił obrobić puste mieszkanie.

Na trzecim piętrze?

Człowiek-mucha, który nie potrafiłby znaleźć łupów bliżej ziemi, byłby marnym fachowcem. Kroki należały do kogoś, kto celowo upatrzył sobie mieszkanie Dantego. Kto zapewne wiedział, że z powodu nieobecności właściciela nic mu nie zagrozi.

Bądź też – ta myśl ją przeraziła – intruz nie wiedział, że Dante wyjechał, i zakradł się do jego pokoju w środku nocy, spodziewając się go tam znaleźć.

Sięgnęła ostrożnie po stojący przy łóżku telefon i wykręciła 911. Trzaski obracającej się tarczy brzmiały ogłuszająco niczym serie z karabinu maszynowego.

Kroki na górze nagle ucichły.

Skuliła się pod kocem, nakrywając telefon ciałem.

–Policja. Czym możemy służyć?

–W mieszkaniu nade mną chyba jest intruz. Facet, który tam mieszka, wyjechał...

–Przykro mi, ale nic nie słyszę. Musi pani mówić głośniej.

Laura skuliła się.

–Intruz! – wysyczała. – Intruz w mieszkaniu czterysta sześć, Green Street tysiąc osiemset osiemdziesiąt osiem.

–Czy może pani wymknąć się z mieszkania tak, by pani nie zauważył?

–Nie jestem w mieszkaniu. Jestem na dole.

Laura zazgrzytała zębami.

–To skąd pani wie, że tam jest intruz?

Maksymalnym wysiłkiem woli powstrzymała się przed ciśnięciem telefonem w drugi koniec pokoju. Postawiła kreskę na policjantach, położyła delikatnie słuchawkę na widełkach i wysliznęła się z łóżka.

To śmieszne, że się skradam, tłumaczyła sobie. Ten, kto jest na górze, nie słyszy moich kroków. Niemniej jednak, poruszała się na palcach, miała tak napięte mięśnie łydek jakby toczyła sparingową walkę na kursie wendlido.

Kręciła się po mieszkaniu, usiłując coś wymyślić. Omijała jedwabne parawany oddzielające od siebie poszczególne strefy, pochylając się odruchowo, by nie uderzyć w mosiężne lampy. Gliny albo kogoś przyślą, albo nie. Jednak, jeśli nawet to zrobią, ten, kto włamał się do mieszkania jej sąsiada, zdąży się ulotnić, nim przyjedzie radiowóz.

Wypiła z Dantem mnóstwo filiżanek herbaty. Doprowadzała ją do szaleństwa myśli, że ktoś dewastuje jego lokum.

Ktoś... albo coś.

Nagle stanęła jak wryta. Być może ten, kto przeszukiwał pokoje Dantego, nie był człowiekiem. Budynek nie zaliczał się do slumsów, lecz od najbardziej ponurej części śródmieścia dzieliło go tylko kilka przecznic. Jeśli minotaury docierały aż do Westwood, z łatwością mogły grasować i tutaj. A Dante miał w sobie coś z anioła. Starał się ze wszystkich sił to ignorować, lecz widziała kiedyś, jak wzdrygnął się, przechodząc obok lustra. Innym razem, kiedy odwrócił wzrok, z herbacianych fusów na dnie jego filiżanki wygramolił się mokry motyl. Nic mu wówczas nie powiedziała, wiedząc, że nie chciałby o tym usłyszeć.

Czy coś mogło się uformować w jego pokoju? A może minotaur wszedł po schodach, podążając za wonią magii, śledząc jej upiorny wykwit, aż do drzwi?

Przez długą chwilę stała nieruchomo w ciemności – sześć stóp chudej frustracji w prostej, różowej koszuli nocnej. W spadku po ojcu otrzymała zawód, lecz nie jego swobodny sposób bycia. Jej matka była wysoką, grubokościstą kobietą z rolniczej osady w Kansas. Wraz ze wzrostem, Laura odziedziczyła po niej upór. („Twarda jak gwoździe”. To określenie oczarowało jej ojca. Uważał je za cudownie poetyczny opis swej żony. Tak ją nazywał w chwilach czułości. Sally Twarda Jak Gwoździe – wyrecytował miłośnie w ostatnim, cichym, przedśmiertnym tchnieniu).

Wciąż była wściekła z powodu nieudanego telefonu, lecz nagle wpadł jej do głowy pomysł, jak mogłaby przegnać intruza, bez względu na to, czy jest minotaurem czy człowiekiem. Wdziała jedwabne kimono (to z wyszytym, przynoszącym szczęście smokiem – świetnie!) i złapała leżące na półce nad lodówką pudełeczko zapalek. Z małej cedrowej szafki na wota ustawionej pod wschodnim oknem wyjęła petardy, które zostały jej po Nowym Roku, zapakowane ciasno niczym kule w papierowej ładownicy.

Wyszła z mieszkania i skierowała się ku schodom, krocząc po wyblakłym dywanie

jak rozgniewany bocian. Ze wszystkich sił starała się nie myśleć. Podtrzymywała tylko swój gniew. Wiedziała, że jeśli ją opuści, jego miejsce zajmie strach. Z początku wspinała się po dwa schody, lecz na półpiętrze przebudziła się w niej ostrożność. Zaczęła posuwać się wolniej, wpatrując się w drzwi Dantego, gotowa do ucieczki, gdyby wypadł z nich minotaur albo człowiek z pistoletem.

Weszła na korytarz bardzo cicho, zatrzymała się parę stóp od wejścia i zaczęła nasłuchiwać. Tak jest – charakterystyczny odgłos wysuwanej szuflady.

Serce zabiło jej boleśnie.

Nagle zdała sobie sprawę, jak wielki hałas wywoła, zapalając zapałkę. Było już jednak za późno, by się tym martwić. Lepiej załatwić sprawę, zanim kichnę, pomyślała. Albo wpadnę w panikę.

Zamknęła oczy i odmówiła pośpiesznie modlitwę do przodków. Stryjku Chen, jeśli kiedykolwiek czuwasz nade mną, niech teraz będzie ta chwila!

Zapaliła szybko zapałkę i przytknęła ją do lontu. W chwili, gdy zaczął się tlić, upuściła pudełko, uchyliła lekko drzwi i wrzuciła petardy do środka. Usłyszała pełne zaskoczenia chrząknięcie, po którym nastąpiła chwila absolutnej ciszy. Potem fajerwerki eksplodowały w ciemności niczym seria z broni palnej.

Wewnątrz mieszkania ktoś krzyknął gniewnie i runął ciężko na podłogę. Potknął się o stół przy łóżku, pomyślała Laura, usłyszawszy łoskot i brzęk. To telefon i stary mosiężny budzik Dantego runęły na podłogę. Ten, kto przebywał w środku, zaklął i wstał. To chyba nie minotaur, przemknęło jej przez głowę. Ulga zalała jej wnętrze niczym whisky.

Tylko powoli, powiedziała sobie. Normalny facet ze zwykłym pistoletem mógłby narobić w tobie mnóstwo zwyczajnych dziur.

Wahając się przy wejściu, usłyszała w mieszkaniu ogłuszający trzask.

Bardzo wolno uchyliła drzwi. Chwilę później usłyszała odgłos kroków oddalających się schodami ewakuacyjnymi. Przeklinając się za tchórzostwo, wpadła do środka i zaczęła szukać na oślep ściemniaczy światła. Nie mogła ich znaleźć. Minęło kilka cennych sekund, nim przypomniała sobie, że Dante ma tylko staromodne przełączniki. Zakląła raz jeszcze i zapaliła lampę.

Z kuchni wiał zimny wietrzyk przesycony zapachem prochu. Okno wychodzące na schody ewakuacyjne z pewnością było zamknięte. Intruz wybił je i usunął szkło z dolnej krawędzi ramy deską do krajania mięsa, która leżała teraz na podłodze. Zbliżając się bosą do okna, Laura dostrzegła ciemną postać uciekającą schodami.

–Hej! Stać! – krzyknęła.

–Pali się! – dorzuciła po chwili. Podobno było to skuteczniejsze.

Nie podziałało to jednak na sąsiadów. Paru z zaciekawieniem wyjrzało na zewnątrz, lecz nikt nie był zainteresowany wybiegnięciem na ulicę i doścignięciem intruza. Tymczasem miał on już zbyt wielką przewagę, by Laura miała szansę go dogonić. Szczerze mówiąc, nie podobała jej się też zbyt myśli o przeciskaniu swego chudego ciała przez otwór, którego górne i boczne krawędzie nadal lśniły odłamkami szkła. Pozostało jej tylko patrzeć w nadziei, że tajemniczy nieznajomy zechce przejść pod latarnią, by mogła go sobie dokładnie obejrzeć.

Nie zrobił tego.

–Niech to szlag – rzuciła.

Zdała sobie sprawę, że ręce jej drżą. W gruncie rzeczy, kiedy się nad tym zastanowiła, poczuła, że całe jej ciało dygocze. Postanowiła usiąść na chwilę na koszarnej białej kanapie Dantego, by odzyskać równowagę.

–Proszę... – rozległ się cichy głos w sypialni. Krwiobieg Laury ponownie wypełniła adrenalina. – ...odwiesić słuchawkę i ponowić próbę połączenia. Jeśli potrzebna jest pomoc, proszę się skontaktować z telefonistką. Proszę odłożyć słuchawkę. To jest nagranie.

To był telefon. Tylko telefon.

Syknęła cicho. Napięcie uciekało z niej niczym powietrze z przebitej opony.

–Cholera – mruknęła. Spojrzała ze złością na swe wielkie, drżące dłonie.

–To na pewno od kawy – orzekła.

Tuż po czwartej gliny wreszcie się zjawili. Jeden z nich, Donnelly, był młody, biały i bardzo dobrze wychowany. Zakrywał nawet usta, gdy ziewał, co robił niemal bez przerwy. Wywiercił otwór w spłaszczonej kuli i zawiesił ją sobie na czerwonej wstążce u pasa na biodrze jako pamiątkę – amulet ochronny. Drugi, Pierce, był czarny i w średnim wieku, za stary, żeby wierzyć w podobne rzeczy. Grał rolę zręczliwego gliniarza.

Była też z nimi anielica.

–Uch – powiedziała, wchodząc do mieszkania Dantego. Laura nie miała do niej pretensji. Ona również go nie znosiła. Zaprojektowano je tak, by zmaksymalizować efekt bezbarwnej bezosobowości. Kobieta skrzywiła twarz, spoglądając na białe

regaly, biały stół i jednobarwne krzesła. Wszystko rzecz jasna było nowe. Dante unikał sklepów z antykami i warsztatów produkujących meble na zamówienie, jak gdyby to były leprozoria.

Z niezadowoleniem przymrużyła oczy.

–Co jest z tymi światłami?

–On kupuje staromodne żarówki. Nie ma ściemniaczy.

Popatrzyła z niedowierzaniem na (zupełnie białą) lampę, stojącą obok ławy.

–Nawet nie pełnowidmowe?

Laura roześmiała się, przypominając sobie, że trzy lata temu, gdy Dante po raz pierwszy zaprosił ją do siebie, powiedziała mniej więcej to samo, mniej więcej takim samym tonem. Sama miała nad stołem kuchennym żarówki „Morning”, a w salonie trójtorowy ściemniacz harmonijnie regulujący poziom oświetlenia.

–Okropne, prawda?

–Ohyda – zgodziła się kobieta. Była po trzydziestce, miała chudą twarz, a na szyi nosiła trzy amulety zawieszane na czerwonym sznurku: wielką, nieregularną perłę pokrytą maleńkimi chińskimi znakami, przewiercony kapsel od coca-coli oraz oprawiony w złoto kawałek czegoś, co wyglądało na szkło z rozbitej szyby samochodu – zapewne pamiątka z jakiegoś wypadku. Na twarzy wytatuowała sobie symbol złożony z czterech hieroglifów: „Perła”, „Rzeka” i coś, co Laura odczytała jako „Podróż” – otaczające Feniksa. Od czasu do czasu garbiła się i spoglądała pomiędzy uniesionych ramion, ta maniera upodabniała ją do fretki na tropie. Szczególnie wyraźnie było to widać, gdy kobieta przebiegła palcami po szufladach komody Dantego i ramie rozbitego okna. Pierce regularnie obrzucał ją wtedy pytającym spojrzeniem i wydawał z siebie niecierpliwe chrząknięcia.

Początkowo anielica podawała informacje szybko: jeden intruz, mężczyzna, szukał czegoś. Spłoszono go, gdy był w sypialni.

–Znakomicie – warknął Pierce, spoglądając na poczerńiałe opakowanie petard, wciąż leżące na (nagiej, pokrytej farbą) podłodze salonu. – Jak byśmy sobie poradzili bez pani?

–Sama często zadaję sobie to pytanie – odcięła się kobieta.

Policjant wywrócił oczy.

Podczas gdy młody, biały gliniarz spisywał zeznania Laury, Pierce chodził po

mieszkanu, nasłuchując i robiąc notatki. O ile potrafiła to określić, nic nie ukradziono.

Kobieta nachyliła się raptownie nad komodą Dantego. Na jej twarzy pojawił się wyraz ostrożnej ciekawości.

–Co jest?

Anielica spojrzała na Pierce'a.

–Trudno to określić.

Policjant skrzywił twarz.

Podwinęła spódnicę, uklękła i przebiegła palcami po uchwycie jednej z szuflad, ostrożnie, bardzo ostrożnie, jak gdyby głaskała jadowitego węża. Poderwała gwałtownie ramiona i syknęła, wciągając szybko powietrze.

Pierce skrzywił twarz jeszcze mocniej.

–Co pani znalazła?

–Nie... niewiele – wyjąkała. Dotknęła odruchowo perły zawieszanej na szyi.

–To jakiś anielski interes. Mam rację? Ta cwana mina zawsze oznacza, że próbuje pani ukryć dowody.

Kobieta wyprostowała się zjeżona.

–Płacą mi za godziny, sierżancie, bez względu na to, czy jestem tu, czy siedzę za biurkiem. Z wielką radością pozwolę panu samemu zająć się tą sprawą, jeśli tego właśnie pan sobie życzy.

–Tylko spokojnie – wtrącił młody Donnelly uspokajającym tonem. – Wszyscy wiemy, że jest późno i nerwy... Aaa! (ziewnięcie!) Przepraszam!...zaczynają puszczać. Postarajmy się nad nimi zapanować.

Uniósł dłonie w uspokajającym geście. Laura zauważyła, że jest wystarczająco bystry, by nie próbować oczarować Pierce'a.

Sierżant wywrócił oczy. Oszczędny, lecz pełen ekspresji ruch sugerował, że ma w tym wielką wprawę. Zwrócił się z zasępioną miną do Laury.

–Zna pani lokatora?

Skinęła głową.

–Gdzie on pracuje?

–W laboratorium biologicznym na uniwersytecie.

–Jest studentem?

–Nie, tylko technikiem. Rzucił studia przed ich ukończeniem.

–Od jak dawna tu mieszka?

–Chyba od trzech lat. Był tu już, kiedy się wprowadziłam.

Uniósł brwi zaskoczony. Rozejrzył się po pokoju.

–Okropnie tu pusto jak na lokal zamieszkały od trzech lat. Nie ma telewizora, gramofonu, czasopism. Sama schludność.

Wzruszyła ramionami.

–Spędza wiele czasu poza domem. Jeśli chce coś obejrzeć, idzie do kina. Jeśli chce posłuchać muzyki, wybiera się do klubu albo do filharmonii. Zawsze wolał puste mieszkanie. Mówi, że jest mniej sprzątanego, jeśli przyprowdzi do domu, hmm, towarzystwo.

–Towarzystwo?

Z kuchni dobiegł ostry śmiech kobiety.

–W szufladzie w sypialni jest paczka prezerwatyw – wyjaśniła. – W lodówce nie ma chleba ani mleka, ale jest puszka pasztetu i dwie butelki wina. Och, świetnie – dodała. – Front-du-Lac, rocznik osiemdziesiąty czwarty.

Donnelly wyszczerzył zęby. Nawet Pierce pozwolił sobie na lekki uśmiech.

–Czy pan...

–Ratkay.

–Ratkay ma jakichś wrogów, pani Chen? – Rozejrzył się po pokoju. – Na przykład zawiedzione przyjaciółki?

Po chwili zastanowienia Laura pokręciła głową.

–Nie sądzę. Nigdy nie związał się z żadną naprawdę blisko. To sympatyczny facet, ale brak mu odwagi, by się poważnie zaangażować.

Pierce zajrzał do notatnika.

– Nawet z panią?

Roześmiała się.

– Nie jestem głupia, sierżancie. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, to wszystko. Wpada do mnie dwa, trzy razy w tygodniu na herbatę.

– Dziwne. Wygląda na faceta, który spróbowałby panią poderwać.

– Sądzi pan, że bym się zgodziła? – odparła Laura lekkim tonem, coś jednak w słowach Pierce'a ją rozdrażniło. Jeśli się nad tym zastanowić, dlaczego Dante nigdy nie podjął takiej próby? Nie odznaczała się szczególną urodą, ale to samo można było powiedzieć o większości jego przyjaciółek. Na nic by się nie zgodziła, irytowała ją jednak myśl, że nie potrafi sprostać nawet jego niezbyt wysokim wymaganiom.

Laura wiedziała, że chce mieć męża i rodzinę – tyle że jeszcze nie w tej chwili. Czy coś w jej sposobie bycia odstręczało mężczyzn? Jeśli tak, lepiej, żeby się dowiedziała, co to takiego, nim rozpocznie poszukiwania partnera. Sygnały, które zniechęciły Dantego Ratkaya, musiały być bardzo wyraziste.

Albo też – to była kolejna niepokojąca myśl – próbował ją poderwać, a ona nawet tego nie zauważyła. Czyżby praca (wraz z opieką nad matką) pochłaniała tak wiele jej uwagi, że reszta życia upływała niepostrzeżenie?

Ogarnęło ją nagle poczucie osamotnienia. Zapragnęła, by Dante znalazł się tu osobiście. Byłby elegancko ubrany, nawet o tej porze, zaparzyłby kawę w małym ekspresie, odpowiadałby na pytania z niezmiernym urokiem, żartowałby z nią i podziwiał (z pewnością) odwagę, jaką okazała, przepędzając złoczyńcę.

Teraz jednak przebywał w domu rodzinnym, którego tak bardzo mu zazdrościła. Niewątpliwie spał smacznie w swym łóżku z czasów dzieciństwa, a za oknem płynęła rzeka. Miał dokąd się udać na Dzień Dziękczynienia, był czyimś bratem, czyimś dzieckiem. Nie tak jak Laura, która nigdy nie miała brata czy siostry i była teraz jedyną dorosłą osobą w swej rodzinie.

Faktycznie, zachowuję się jak dorosła – pomyślała, udzielając sobie cierpkiej reprimendy. Siedzę tu i lituję się nad sobą! To ta pora wprawia mnie w ponury nastrój, pospołu ze skutkami podniecenia.

W salonie nadal była wyczuwalna słaba, gryząca woń prochu, choć przez wybite okno w kuchni wpadał zimny powiew.

Donnelly uniósł dłoń do ust. Laura również nie mogła się powstrzymać przed

ziewnięciem.

–To już prawie wszystko, pani Chen. Czy mogłaby pani nam wyjaśnić, o co chodziło z tymi petardami?

–Miały odstraszyć złe duchy – odezwała się natychmiast przebywająca w kuchni kobieta. – Zgadza się?

Laura skinęła głową.

–Czytałam wczoraj w gazecie o minotaurze z Westwood. Dante ma w sobie coś z anioła, więc sobie o tym przypomniałam.

–Czy to skuteczne? – zapytał Donnelly. Przykucnął, by z na nowo rozbudzonym zainteresowaniem przyjrzeć się paczce zużytych petard.

Wzruszyła ramionami.

–Nie wiem. To właśnie robią w Chinach, a tam nigdy nie zapomniano, jak sobie radzić z duchami i aniołami. Tak przynajmniej mawiał tata.

Donnelly uśmiechnął się i dotknął przypiętego do pasa amuletu.

–Kurczę, wszystko jest dobre, jeśli pomoże nam podczas spotkania z jednym z tych koszmarów.

–Mam wrażenie, że znajdzie pan pełen magazynek petard w swej kaburze, panie Donnelly – wtrącił zjadliwym tonem sierżant Pierce. – Takie fajne, małe urządzenie, które strzela racami w stalowych koszulkach.

Skierował wzrok z powrotem na notes.

–Hej – zawołał w stronę kuchni, spoglądając spode łba. – Dlaczego mi pani nie powiedziała, że lokator jest aniołem?

Kobieta wróciła do pokoju. W lewej dłoni trzymała rzeźnicki nóż wyjęty z pieńka stojącego na blacie w kuchni Dantego.

–Nie wiem – odpowiedziała powoli. – Jest tu coś... coś dziwnego.

Zastukała w roztargnieniu paznokciami w ostrze, zgarbiła się i popatrzyła na Laurę.

–Czy pani przyjaciel wybiera się do szpitala? Na planowany zabieg, albo coś takiego?

–Nic mi o tym nie wiadomo – odparła zdziwiona Laura.

–Hmm. – Kobieta po raz kolejny uniosła ramiona. Z lekkim drżeniem i odrazą wsunęła ostrożnie nóż z powrotem na miejsce. – Zna pani numer, pod którym można go znaleźć?

–Wystarczy – warknął Pierce. – Rano skontaktujemy się z panem Ratkayem. Pani Chen, jeśli będzie pani z nim rozmawiać wcześniej, proszę mu powiedzieć, żeby zgłosił się na posterunek złożyć zeznania. Chcielibyśmy, żeby potwierdził, że nic nie ukradziono.

–O co pani chodzi? – zapytała Laura, spoglądając ze złością na anielicę. Poczowała się głęboko zaniepokojona. – Uważa pani, że powinnam do niego zadzwonić?

–Nie. Raczej nie. – Kobieta energicznie wzruszyła ramionami. – Równie dobrze można zaczekać do rana. Nie sądzę, by telefon dużo zmienił... na lepsze czy na gorsze – dodała, zwracając się w równym stopniu do siebie, co do Laury. – Ale na jego miejscu szybko poszłabym do lekarza. I uważała z masłem...

Urwała z nagłym ruchem ramion. Zmrużyła oczy.

–Uważała z masłem? – powtórzyła zbita z tropu Laura. – Mówi pani o sercu? On pochodzi z węgierskiej rodziny. Zjadają mniej więcej jedną krowę na tydzień. Smarują grzanki smalcem. Wciąż mu powtarzam, że to powolne samobójstwo.

Kobieta zamrugowała powiekami i uśmiechnęła się.

–Przepraszam. Nie trzeba było nic mówić. Chyba coś mi się pokręciło.

Ziewnęła demonstracyjnie, unikając podejrzliwego spojrzenia sierżanta Pierce'a, po czym popatrzyła znacząco na młodego Donnelly'ego.

–Ale długa ta noc, co?

Faktycznie długa, pomyślała Laura, gdy policjanci przygotowywali się powoli do wyjścia. Kiedy już sobie poszli, sprzątnęła potłuczone szkło i zasłoniła rozbite okno plastikową folią.

Długa noc.

Wróciła do łóżka, lecz mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Leżała prawie godzinę, uparcie trzymając oczy zamknięte, nim wreszcie przyznała się do porażki. Podniosła się z jękiem niezadowolenia i odszukała na biurku pędzelek, tusz oraz trzy arkusze żółtego papieru, podobnego do tego, który miała w pracy. Narysowała na nich trzy najlepsze zaklęcia Niebiańskiego Mistrza Changa. Wróciła do mieszkania Dantego i przykleiła taśmą pierwsze, chroniące dom, nad wybitym oknem. Drugie, uniemożliwiające wstęp dzikim zwierzętom, umieściła nad drzwiami. Na koniec ukryła

Zakłęcie Stu Różnych Rzeczy za oparciem łóżka, by Dante go nie zobaczył i nie zdjął.

Choć czuła się głupio, nie osłabiło to jej determinacji. Zwróciła się ku wschodowi i wyjrzała przez wybite okno na mroczny labirynt domów mieszkalnych i ulicznych latarni, po czym wyrecytowała w niewprawnym dialekcie mandaryńskim, dodającą mocy zakłębciom Chang Tien-shiha, magiczną formułę, której nauczył ją ojciec:

„Wszechświat i yin-yang są szerokie, a słońce wstaje na wschodzie. Korzystam z tego zakłęcia, by uwolnić się od wszelkiego zła. Z moich ust bucha potężny ogień, a z oczu potrafią bić jasne jak słońce promienie. Mogę przywołać Niebiańskich Żołnierzy, by wyłapali diabły i przegnali z domu wszelkie choroby. Niebiańscy Żołnierze są w stanie usunąć zło i przynieść szczęście. Niech prawo znajdzie posłuch, a ten rozkaz zostanie natychmiast wykonany”.

Nabrała w usta łyk wody z kranu, wykonała ukłon w stronę wschodu, zacisnęła trzy razy zęby i wypluła wodę.

Dopiero po tym, wreszcie uspokojona i doszczętnie wyczerpana, zwlokła się na dół, zwała na łóżko i zapadła w sen.

*Rusza teraz w ową mroczną drogę,
z której, jak mówią, nikt nie wraca.*

Katullus

Portret

Wolę robić czarno-białe zdjęcia.

Gdy mówi się o kimś, że uważa wszystko za czarno-białe, ma się na myśli to, że jest sztywny i dogmatyczny, traktuje skomplikowane sprawy z brutalną prostotą. W rzeczywistości powinno to znaczyć coś wręcz przeciwnego. To kolorowa klisza balsamuje swój temat w prozaicznej rzeczywistości. Czerń i biel zostawiają miejsce dla tajemnicy, dla subtelnych odcieni szarości. Oko, nie widzące barw, uświadamia sobie złożony charakter cieni i faktury. By naprawdę poznać fakturę trawy, piasku czy morza, trzeba dokładnie obejrzeć przynajmniej jedno czarno-białe studium Atlantyku w pobliżu pustego wybrzeża Nowej Anglii, autorstwa Andersona.

Tu i teraz: to portret Dantego, czarno-biały, który zrobiłem starym kodakiem, kiedy mieliśmy piętnaście lat. Właśnie skończyliśmy budowę fortu na wielkiej wierzbie rosnącej na Three Hawk Island. Był przewiewny, w chińskim stylu. Otaczała go sięgająca pasa balustrada, a resztę ścian stanowiły bambusowe żaluzje. Gdy wiał wiatr, stukały i szeleściły, prowadząc długą, ospałą rozmowę z wyginającymi się wierzbowymi liśćmi oraz szemrzącą rzeką.

Jego budowa zajęła nam sześć tygodni. Pracowaliśmy nad nim w długie letnie popołudnia. Wierzba lśniła zielono w blasku słońca, a my słuchaliśmy szumu roślinnych soków wzbierających pod jej korą.

Przez sześć tygodni czuliśmy długotrwałą, niespieszną żalobę drzewa.

Dante usiłował zignorować to wrażenie, lecz nawet ja byłem świadomy, że wierzbę zbyt długo dręczą wyrzuty sumienia. Choć był środek lata, jej liście zachowały odcień szarawej bladości. Nawet w najspokojniejsze dni szemrał wśród nich smutny wietrzyk. Rzeka podgryzła południowy cypel wyspy, odsłaniając olbrzymie, czarne korzenie. Często zastanawiałem się, co jest uwięzione w mroku pod powierzchnią wody. Co przeszły korzenie, by wessać to potem w głąb drzewa?

Były też blizny na pniu i wielu potężnych konarach. Z wierzby zdarto starannie pasy kory długie na pięć i szerokie na dwa palce. Było ich siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt. W żadnym miejscu nie były zbyt blisko siebie, nie tworzyły

niczego, co mogłoby zaobrączkować drzewo, czy zabić jeden z jego konarów. Sok powlekał te rany niczym zakrzepła krew.

Początkowo sądziłem, że to owe pręgi są przyczyną nieutulonego żalu wierzby, lecz Dante powiedział mi kiedyś, że w rzeczywistości jest na odwrót. Mówił, że nie zna tej historii i nie chce jej poznać, ale wie, że w drzewie coś tkwi, jakiś ślad skruchy wywołanej zapomnianymi już wydarzeniami. Znaczyło to, że owe blizny są darem, każda z nich stanowi szansę odkupienia. (Albowiem jeszcze długo po tym, jak zniknie wspomnienie o grzechu, utrzymuje się pragnienie pokuty – mocne i ślepe niczym chęć spijania deszczu i sięgania ku słońcu).

Może to właśnie melancholia wierzby go wyгнаła. Dante nigdy nie mógł znieść chmur na własnym bezkresnym niebie.

Na tym zdjęciu widać, jak siedzi na zachodniej poręczy fortu, z jedną nogą wysuniętą przed siebie, a drugą zwisającą w dół. Jest późne popołudnie. Słońce stoi nisko. Jego promienie padają wprost do doliny. Płoną niczym srebro, tworząc świetlisty obrys nogi Dantego. Na bambusowych ścianach widać splątane cienie wierzbowych gałęzi.

U prawdziwego Dantego zauważa się przede wszystkim kędzierzawe, rudozłote włosy, bladą cerę, piegi i uśmiech. Tutaj jednak, w czerni i bieli, można dostrzec w jego kończynach pewien niepokój, przygarbione ramiona oraz linię nastroszonych brwi, gdy, mrużąc oczy, wpatruje się w oślepiające słońce. Praca nad fortem zajęła nam całe tygodnie. Poświęciliśmy niezliczone godziny na jego zaplanowanie i zbudowanie. Spieraliśmy się o każdy szczegół dotyczący materiałów, narzędzi i kosztów. Jeździliśmy autobusem do Miasta i włączyliśmy się po chińskiej dzielnicy w poszukiwaniu żaluzji, czerwonego lakieru oraz zestawu szklanych dzwonek w kształcie ważek. Na zdjęciu widać jednak, że Dante opuszcza już to miejsce, zostawia je za sobą, spogląda niespokojnie w przyszłość, zupełnie jakby był Lotem czy Orfeuszem i świat miałby się skończyć, gdy on odważy się obejrzeć.

Dante – towarzyski, czarujący, zgodny – sądzi, że nie moglibyśmy być bardziej różni: dzień i noc, słońce i księżyc. Myli się, rzecz jasna. Po prostu inaczej przeżywamy samotność. Moja nie jest tajemnicą. Zawsze trzymam się z dala od centrum wydarzeń, pozostając obserwatorem. On nosi swe wyobcowanie ze sobą. Śmieje się, żartuje, podejmuje rozmowę, strosząc szatańskie brwi... ale to tylko pożyczka. Nigdy nic nie daje. Nigdy nie zostaje na dłużej, nie zapuszcza korzeni. Unosi się na fali czasu, zanadto skryty, by przybić do brzegu, czy rzucić kotwicę, a życie na łodzi przepływa obok niego.

Często wracam do tego zdjęcia. Przedstawia nas dwóch w miejscu, które stworzyliśmy razem. Dante pragnie już odejść, ja zaś, ukryty za aparatem, jestem niewidoczny, całkiem jakby w ogóle mnie nie było.

Niebo szarzało, zwiastując nadejście świtu, a powietrze było zimne i wilgotne. Spuścili na rzekę łódź ze zwłokami ułożonymi niezgrabnie na ławach. Jet siedział na rufie. Jego blada dłoń spoczywała na rumplu małego silnika firmy Evinrude, tuż nad głową trupa. Dante przysiadł na dziobie. Gdy łódź się zakołysała, martwe stopy uderzyły go w udo. Zaczynało się tworzyć stężenie pośmiertne. Twarz i szyja zwłok już zeszywniały. Zgodnie z książką doktora Ratkaya, będzie ono postępowało wzdłuż ciała, od głowy aż po palce nóg, a następnie ustępowało w tej samej kolejności, dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin później.

Nad rzeką wisiał zimny opar. Fale przesuwały się po powierzchni jedna za drugą, zachodząc na siebie. Wilgoć i chłód dręczyły Dantego w sposób przypominający stężenie pośmiertne, przygotowując jego twarz i palce o powolny paraliż. Oddech zamieniał się w parę w przesłaniającej wszystko mgłę, która ich otaczała. Łódź stała się małym, rozkołysanym światem z trzema tylko mieszkańcami: dwóch było żywych i jeden martwy. Słyszeć było tylko posapywanie starego silnika oraz plusk fal uderzających o dziób. W pewnej chwili Dante obejrzał się za siebie. Trup przyciągnął jego wzrok. Zobaczył, że pierś i głowę spowiła mu gęsta mgła, całkiem jakby był świecą dopalającą się w obłokach zimnego, szarego dymu. Jet siedział obok zwłok z jedną ręką na rumplu, nieubłagany niczym Charon.

Dante skulił ramiona, by uchronić się przed zimnem. Dmuchał na dłonie, żeby je ogrzać. Nie obejrzał się już więcej.

–Widzę wierzbę – odezwał się Jet chwilę później. Przełączył silnik na bieg wsteczny, żeby zwolnić.

Wyłynęli z mgły. Zaskoczony Dante spojrział swoimi oczami aniola na wielką wierzbę z Three Hawk Island. Zamajaczyła nagle ponad nim, odsłaniając całą moc swej tajemnicy: jej pień był wielkim sercem podzielonym na komory, każdy konar tętnicą, a gałąź żyłą. Splątane gałązki dzieliły się, tworząc naczynia włosowate, tętnice i żyły żywcem wyrwane z ciała olbrzyma i odsłonięte przed wzrokiem obserwatora niczym ryciny ludzkiego układu krążenia na kartach straszliwej *Anatomii* Graya, do oglądania których usiłował go kiedyś zmusić ojciec.

Gdyby zamienić się w rybę – na przykład w szczupaka – co też można by znaleźć w płytkiej sadzawce u podstawy wierzby?

Jaki to żal czy wyrzut spoczywał tam przez wszystkie te lata, uwięziony, rozkładający się, wykrwawiający się do wody, którą piła, i gleby, którą się żywiła?

Jet poprowadził łódź wokół przylądka do płytkiej zatoki na południowym brzegu wyspy. To było dobre miejsce na pochowanie ciała. Mieli gdzie przycumować i byli osłonięci przed wzrokiem ludzi przebywających na północnym brzegu rzeki, w tym również własnych rodziców. Jej południowe wybrzeże, strome, skryte w cieniu i

zimne, było niemal niezamieszkane.

Dante wyskoczył z łodzi i wciągnął ją na ląd. Podeszedł powoli do wielkiej wierzby, wpatrując się przymrużonymi oczami w jej gałęzie.

–Czy nasz fort jeszcze istnieje?

–Tak.

Mgłę zmaćił lekki wietrzyk. W mroku korony drzewa rozległ się cichy, upiorny jęk oraz głuchy klekot, jakby powiew poruszał kośćmi wisielca. Wiatrowe dzwonki, zdał sobie nagle sprawę Dante. Jet z pewnością zastąpił szklane bambusowymi, które wydawały niższe, bardziej natrętne i melancholijne tony.

–Kilka tygodni temu zrobiłem tu generalny remont – ciągnął Jet. – Nowa warstwa lakieru na dach, a na resztę kolejna puszka farby Thompsona. – Uśmiechnął się na widok zaskoczonej miny Dantego. – No wiesz, nadal tu przychodzę. Każdej jesieni, gdy wierzba zrzuci liście, zmiatam je. Gdybyś patrzył uważnie, zobaczyłbyś w przystani pozwijane żaluzje.

–Chyba miałem na głowie inne rzeczy.

–I na wątrobie też.

Jet podeszedł do niego i oparł się o wiekowy pień.

–Musieliśmy się nieźle namęczyć, żeby nie dopuścić tu Sarah.

Dante uśmiechnął się na to wspomnienie.

–Przegoniliśmy chłopaków Powellów, Hewlettów i Baggych, ale Sarah to było co innego.

–Byliśmy w gorszej sytuacji – podkreślił Jet. – Nie mogliśmy używać proc.

–Aha. Masz rację.

Niebo nad ich głowami było coraz jaśniejsze. Na południowym brzegu rozległ się cichy plusk, jak gdyby coś weszło do rzeki. Norka, pomyślał Dante. Albo może kuna.

Stali obok siebie w szarości poranka, patrząc ku południowi. Od czasu do czasu kłęby mgły odsłaniały przeciwległy brzeg. Spojrzenie Jeta, przynajmniej ten jeden raz, pozbawione wyrazu wyrachowania czy zimnej wesołości, było niemożliwe do odczytania. Wbił wzrok w ciemność na drugiej stronie rzeki.

–Fort należał do nas – stwierdził wreszcie. – Do mnie i do ciebie. Cała reszta to byli

obcy.

Wokół nich zwisały nagie wierzbowe gałązki, z których skapywały zimne łzy rosy.

Dante wyciągnął rękę do pnia i dotknął pręgi znajdującej się na wysokości piersi. Ktoś zerwał tu pasmo kory. Ciotka Sophie, zdał sobie nagle sprawę. Uskarżała się na reumatyzm i popijała gorzką herbatę z wierzbowej kory. Jet z pewnością o tym wiedział. Przyglądał się, ukryty w forcie, jak zdzierała kolejne pasy. Wciąż był małym szpiclem, którego ongiś znalazła w kołysce; niemowlę, nie będące już w pełni jej dzieckiem, z kainowym piętnem świeżo wytrawionym na twarzy.

Westchnął. Miał mnóstwo do zrobienia w ciągu najbliższych siedmiu dni. Popatrzył na rozjaśniające się niebo i wniósł poprawkę – sześciu i pół.

Zadrżał, przypomniawszy sobie urywek koszmaru: magiczna przynęta lśniła i połyskiwała, prowadząc go w niezwykłą otchłań snu. To było poprzedniej nocy, pomyślał ze zmęczeniem. Nie spał ani chwili, odkąd wykradł się w szary świt wczorajszego dnia, by spróbować szczęścia w łapaniu ryb na przynętę o kształcie osy.

Postanowili pochować ciało w płytkim zagłębieniu pod zwalonym drzewem, zbutwiałym już i pokrytym wybujałym mchem. Kopali szybko. Gleba powstała z mułu, zbutwiałych liści i zbierającego się przez lata błota była zdumiewająco czarna, wilgotna i świeża niczym czekoladowy tort.

–Od jak dawna o tym wiedziałeś? – zapytał Dante. Nim wypłynęli łodzią, wrócił do domu, by zamienić jedwabną bonzurkę na skórzaną kurtkę ozdobioną wzorami ʹ la Braque. Zdjął ją teraz, gdyż na wysokim czole zaczęły mu się zbierać kropelki potu.

–O czym?

Dante spojrzał na łódź, gdzie cierpliwie czekały jego zwłoki.

–Aha – odparł Jet. Ponownie zabrał się do roboty. – Od niedawna.

–Ale zajrzałeś pod narzutę. W moim pokoju.

Jet skinął niechętnie głową.

–Inni zawsze mówili, że jesteś wścibski – ciągnął Dante. Wbił łopatę w ziemię. – Ale przekonywałem ich, że nie mają racji. Że nigdy nie wtykałbyś nosa tam, gdzie nikt cię nie prosi.

–Nikt mnie nigdzie nie prosił. Czyżbyś zapomniał? Żyję na granicach znanego świata, ogryzając kości, które rzucacie mi ze stołu.

–Nie użalaj się nad sobą.

Jet przestał kopać. Mocno zacisnął palce na trzonku łopaty.

–Baleś się tam zajrzeć, Dante. Ktoś musiał to zrobić. – Wrócił do pracy. – Minęło wiele czasu, nim wpadłem na to, by sprawdzić, co jest pod narzutą – mówił cicho. – Mogę być przeklęty, ale nie jestem aniołem... Nie czułem, że coś tam rośnie. Upłynęły lata, zanim zdałem sobie sprawę, że się tego boisz.

Zmrużył powieki, jakby próbował zajrzeć w przeszłość.

–Wpadłeś nas odwiedzić, ale miałeś zaraz wracać do Miasta. Planowałeś randkę. To chyba była Amalia Jensen.

Dante zarumieniłby się na to wspomnienie, gdyby jego twarz nie była już czerwona z wysiłku. Chrząknął i cisnął między krzaki kolejną grudę ziemi.

–Wystroiłeś się cały i ignorowałeś mnie, kiedy ostrzegałem cię przed nią i przed tym paskudnym Toddem. Przesunąłeś grzebieniem po włosach i odruchowo wyciągnąłeś rękę w stronę narzuty. Pewnie chciałeś się przejrzeć w lustrze. Kiedy jej dotknąłeś, wyglądałeś, jakbyś był w szoku, tak jakbyś wsadził palec do kontaktu. Poblądłeś niczym duch, wymamrotałeś coś na usprawiedliwienie i zwałeś do łazienki.

Dante pokręcił głową.

–Nie przypominam sobie nic takiego.

–Nie dziwi mnie to – stwierdził z przekąsem Jet. – Jestem pewien, że udało ci się to bezbłędnie zapomnieć, tak jak wszystkie nieprzyjemne zdarzenia. A czy pamiętasz, jak się skończyło z Amalią?

–Zamknij się.

Jet zachichotał.

–Po tym fakcie, od czasu do czasu robiłem miny przed tym lustrem i zaglądałem pod narzutę, żeby się przekonać, co tam wykiełkowało, ale dość długo nic nie znajdowałem. Byłem zaniepokojony.

Dante zachnął się.

–Chciałeś powiedzieć, znudzony.

–Bez wygłupów, Dante. Wiesz, że jesteś dla mnie jedynym źródłem rozrywki. Pewnego razu, kiedy nas odwiedziłeś – w Boże Narodzenie, dwa lata temu – postanowiłem zakraść się po cichu do twojego pokoju, kiedy spałeś. W twej

obecności sprawy wyglądały inaczej. Kiedy przesunąłem dłonią po narzucie, zamiast zwykłego galimatiasu poczułem coś długiego, gładkiego i litego. Od tej pory aż do wczoraj nigdy już nie spałeś u siebie. Zawsze znajdowałeś jakąś wymówkę, która pozwalała ci wrócić do Miasta albo położyć się na sofie w salonie.

–Czułem się bezpiecznie tylko wtedy, gdy słyszałem tykanie Dziadka Zegara – przyznał Dante.

Przez dłuższą chwilę pracowali w milczeniu. Mozolny zgrzyt łopat przypominał niemiary rytmy samochodowych wycieraczek czy uderzenia młotków, którymi obaj wbijali gwoździe w forcie na starej wierzbie. Wspomnienia przemknęły przez umysł Dantego niczym chmury: chude, ciemne ciało pełnego zaciekłości Jeta, który pochylił się tuż obok niego, grzebiąc w skrzynce z piaskiem, oczy miał przesłonięte zwisającymi strąkami włosów, a twarz skrzywioną z powodu skupienia; Jet owinięty wokół konaru, tłukący od spodu w niedogodnie ulokowany gwóźdź, podczas gdy letnie powietrze wokół nich wypełniała woń wierzbowego soku. Dantego ogarnęły cienie. We wszystkich takich chwilach odczuwał samotność Jeta. Brat uderzał go nią jak młotkiem w gwóźdź, czy stalowym szpadlem w miękką glebę.

A on zawsze uciekał przed tym metalicznym ciosem, nie mogąc znieść ogromu owej samotności. Nie był w stanie jej zaradzić. Wystarczyłoby, by ją przyjął do wiadomości, a poczułby w sobie poruszenie skutego anioła, pogrążonego, pod osłoną jasnych skrzydeł, w straszliwych myślach o winie i strachu. Jąkająca się Ann-Marie Bissell z jej posiniaczonymi policzkami i kanapkami z musztardą na obiad. Potężne łapsko dotykające nogi Duane'a. Brzęk szkła na dnie szuflady pani Farrell; jej mętne spojrzenie, gdy dzieci wracały do klasy po obiedzie.

Kopiąc, obserwował pracującego Jeta, było to tak, jakby widział własne odbicie w ciemnym zwierciadle. Uderzenie łopata, wbicie jej w ziemię, obrócenie trzonka w dłoniach, nagły ciężar odczuwany w napiętych bicepsach, ból w plecach, gdy odwracał się i rzucał ziemię obok grobu.

Umieram, pomyślał. Umieram i widzę własne życie oczami anioła. Przy każdym ruchu łopaty w jego ciele dął wiatr, jak gdyby poruszały się tam wielkie skrzydła. Kręciło mu się w głowie od bliskości śmierci.

Przestali kopać w tej samej chwili i, zdyszani, oparli się o trzonki. Dół miał sześć stóp długości i prawie trzy głębokości. Oba boki były pochyłe i niezbyt oddalone od siebie. Jet chrząknął i dziarsko wbił szpadel w ziemię, by je wyprofilować.

–Powinny być równe.

–Nie przejmuj się – wycedził Dante. – Będziesz miał jeszcze szansę to przećwiczyć.

Wbił w ziemię łopatę, żeby wyrównać przednią część grobu i przypadkowo przeciął

na pół dżdżownicę. Przednia połowa robaka wiała się w wypełniającej dół ziemi. Tylne części drgała i supłała się, zwisając ze ściany grobu, aż wreszcie wpadła do środka.

Poczuł nagle mdłości w żołądku, w miejscu, gdzie znajdowała się narośl. Kolana miał jak z gumy. W głowie słyszał łomot tętna.

–Dobrze się czujesz?

–Nie.

Dante cofnął się od grobu.

–Chyba wystarczy. Nie sądzisz?

Nadszedł świt, choć jeszcze przyćmiony. Niebo przesłaniały szare chmury. Nad wodą wciąż unosiły się smętne obłoczki mgły, poszukujące schronienia w mrocznych wklęsłościach południowego brzegu rzeki.

Dante wbił wzrok w połowę dżdżownicy wijącą się na dnie jego grobu.

–Chyba pora go tu włożyć – odezwał się Jet.

Wrócili do łodzi i wyjęli z niej ciało. Jet ujął je za ramiona i głowę, a Dante za nogi.

–W Boże Narodzenie już wiedziałem – mruknął Jet, cofając się z dłońmi ulokowanymi pod pachami zwłok. Białe martwe ręce wlokły się przez zdeptane paprocie i opadłe liście. – Kształt pod narzutą był łatwy do rozpoznania, gdy się mu przyjrzało.

Przeszli razem pod pnem pochyłego drzewa i złożyli trupa Dantego w żalonym grobie. Ciało było chude i białe. Leżąc tam, wydawało się straszliwie kruche, bezbronne jak nienarodzone dziecko. Jet wziął w garść trochę ziemi i rzucił ją na zwłoki.

–Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Jako było na początku, teraz, i zawsze, i na wieki wieków, amen. *In nomine Patris, Filii, et Spiritus Sancti.*

Stali razem ze spuszczonego przez chwilę wzrokiem.

–To było tak, jakbyś naprawdę umarł – powiedział cicho Jet. – Myślałem sobie: Nie poproszą mnie, żebym wygłosił mowę. – Pokręcił głową. – Doprowadzało mnie to do szaleństwa... Dlaczego, Dante? Dlaczego nie pozwolą mi nic powiedzieć? Dlaczego nie jesteśmy braćmi? – Spojrzał na Dantego. – Nigdy nie byłem członkiem rodziny. I wiesz co, dopóki nie zobaczyłem twoich zwłok pod tą narzutą, mógłbym powiedzieć, że to nieważne. Że nie może mi brakować tego, czego nigdy nie miałem.

Ale brakowało ci tego, pomyślał Dante. Przypomniał sobie zimne oczy Jeta, czarne i twarde niczym kamyki, obserwujące, jak wchodził na pękający lód. Przypomniał sobie błyszczący w nich głód. Czułem go każdego dnia, każdej godziny, pomyślał. Czułem, że wsysasz się we mnie jak pijawka.

–Ale to nie byłaby prawda.

Przestał mówić. Przykucnął obok grobu, wpatrując się w dal mierzoną latami.

–Dlaczego, Dante? Dlaczego muszę się skradać po zakamarkach własnego domu niczym karaluch wzdłuż listew przypodłogowych? Nigdy nie byłem członkiem rodziny i kropka. Do tego sprowadzała się cała treść mojego życia.

–Ale z ciebie maruda. – Dante się zdenerwował. – Nie zaganiałem cię w żadne zakamarki.

–Dlaczego wciąż robię zdjęcia z twojego życia? Dlaczego nie mogę mieć własnego?

Dantego ogarnęła dobrze znana wściekłość, ostry, szarpiący gniew, który potrafił sprowokować tylko Jet.

–Mojego nie dostaniesz!

–Dlaczego nie? – padła chłodna odpowiedź. – Już z nim prawie skończyłeś.

Dante skoczył na niego, ale Jet uchylił się i atak był chybiony. Napastnik stracił równowagę. Jet, szybki jak wąż, złapał go za ramiona i popchnął. Dante runął na plecy. Przeciwnik padł na niego. Coś wbiło mu się w plecy. Wrzasnął z bólu. Spróbował się przetoczyć, lecz zabrakło mu miejsca. Brat wbił mu twarz w ścianę czarnej ziemi.

Był uwięziony we własnym, wąskim grobie.

Anioł w jego wnętrzu wyrwał się na swobodę. Dante czuł smak gleby, smród śmierci, i ukłucia rozszczepionych żeber pod swymi plecami. Czuł białe palce Jeta owijające się niby korzenie wokół jego nadgarstków, by wyssać z niego życie. Czarna ziemia splamiła mu włosy i twarz, zatkała nos i wypełniła usta gęstą, błotnistą masą o smaku pleśni. Dyszał, krztusił się i szarpał, przyduszony przez Jeta, wepchnięty do swego grobu. Czuł pod plecami dotyk własnego trupa, który miał otwartą pierś.

–Tato! – krzyknął.

Jet stoczył się z niego niczym głaz odsłaniający wylot groty. Dante ujrzał szare światło dnia.

Nie przestając wrzeszczeć, wygramolił się z grobu i uciekł od niego na czworakach, oślepiony paniką. Po chwili walnął głową w pień drzewa i padł ogłuszony, nieprzytomny jak kamień.

Oddychał. Jego pierś poruszała się, towarzysząc głębokim, drżącym westchnieniom. Leżał odwrócony twarzą w dół, wśród butwiejących liści. Wreszcie przetoczył się na plecy i znieruchomiał, wpatrując się w zachmurzone niebo widoczne między nagimi konarami młodej wierzby.

Ziemia pod nim była zimna i wilgotna. Bolała go głowa. Przez dłuższą chwilę leżał zdyszany, kierując wzrok na pastelowe niebo, wpatrując się w jego subtelną, wirującą bezpostaciowość. Wierzbowe gałązki nie były już tętnicami i żyłami. Światło dnia zdjęło z nich czar. Były teraz sztywne i drewniane. Zwyczajne.

Jet oparł dłoń na jego ramieniu.

–Hej.

Dante chwycił ją kurczowo, jak gdyby była wiosłem wyciągniętym do niego nad pękającą taflą lodu.

–Nie chcę umierać – wyszeptał.

Jet zacisnął palce.

–Nie chcę umierać.

Brat ujął go za rękę.

–Chociażbyś chodził ciemną doliną – wyszeptał. Jego dłoń była ciepła, szczupła i mocna. – Wszystko w porządku, D. Wszystko w porządku.

W zwyczajnym, szarym świetle dnia rzeka znowu stała się tylko rzeką, brunatną od mułu i wartką od wiosennych roztopów. Na brzegach rosły tylko drzewa i paprocie. Wschód słońca przegnał duchy i upiory. Dante dostrzegał w oddali warstwę smogu, jak zwykle unoszącą się nad Miastem. Słyszał ruch na autostradzie biegnącej pół mili za domem; łoskot i ryk ciężarówek z silnikami „Diesla”, a także trąbienie poirytowanego, śpieszącego się do pracy kierowcy.

Zaczerpnął głęboko tchu. Ukryty w nim anioł zamknął oczy i złożył lśniące skrzydła.

–No i już rano – stwierdził.

*Mimo swych wróżbiarskich zdolności,
nie uratował się przed straszliwą śmiercią.*

Homer

Portret

To zdjęcie przedstawia Sarah z matką.

Matka siedzi za kuchennym stołem z filiżanką kawy w dłoni. Sarah rysuje kredkami. Miała wtedy osiem lat. Matka i ciotka Sophie obsypały ją już tłumnymi madziarskimi hordami węgierskości: ma na sobie piękną sukieneczkę, prosto wyszywaną w węgierskim stylu w bukiety maków i róż wielkości pięści. Dziewczynka nosi ten strój w zupełnej nieświadomości, niczym zawodnik drużyny futbolowej. Na jej plecy opada koński ogon. Pochyla się w stronę matki. Brzuszek wspiera na stole, zasłaniając w ten sposób rysunek. Udziela wykładu na jakiś ważny temat, na przykład ten, że trzeba być grzecznym dla naszych przyjaciół zwierząt. Oczy matki są poważne i pełne uwagi. Ukrywa uśmiech za filiżanką.

Zawsze wołała Sarah. Oczywiście kochała oboje dzieci, ale w jej towarzystwie czuła się pewniej... nie sądzę, by wróciła do siebie po tym, co przytrafiło się mnie, na tyle, by nie czuć skrępowania w bliskości mojego bliźniaka. Gdy na niego patrzyła, w jej oczach zawsze czaił się wyraz ostrożności. Czekala, aż zniknie w tym samym mroku, który pochłonał dziecko Sophie.

A może po prostu zawsze chciała mieć córkę.

Tak czy inaczej, Sarah i matka są bardzo blisko ze sobą. Na fotografii można to dostrzec, widząc swobodę dziewczynki i ukryty uśmiech kobiety.

Zdjęcie pochodzi z czasów, gdy płomienne włosy matki jeszcze nie posiwiały, a gładka, świeża skóra jej dłoni nie zaczęła się marszczyć i fałdować wokół stawów. Było wtedy lato. Miała na sobie spódnicę w kwiaty i bawełnianą bluzkę z krótkimi rękawami. Teraz wszystkie jej bluzki mają długie rękawy, a na szyi zawsze nosi jedwabną apaszkę. Mówi, że to wygodniejsze niż biżuteria.

Co zaś do Sarah, było to na długo przed tym, nim spoglądająca spode łba chuderlawa dziewczuszka zamieniła się w puciołowatą, ponurą nastolatkę; nim uciekła z obmierzłym łajdakiem i zamieniła młodzieńczą niepewność na dorosły wstyd, tajemnicę, którą do dziś nosi w sobie niczym kamień.

Jeśli robi się mnóstwo fotografii, potrzebne jest poczucie humoru. Gdyby nie potrafiło się docenić subtelnej ironii czasu i darów, jakie otrzymują od niego przedstawiani na zdjęciach ludzie, a także tych, które im bezlitośnie odbiera...

W miarę upływu lat, każde z nich nasiąka wspomnieniem fałszywych nadziei, przelotnych namiętności, pragnień i rozczarowań. Jeśli nie ma się poczucia humoru, zdjęcia potrafią wywoływać nieznośnie tragiczny nastrój.

Niemal każde. Na przykład to.

Moja mała siostrzyczka Sarah.

Może los nie doświadczył ciotki Sophie tak ciężko, jak jej się zdaje. Może wszyscy rodzice tracą dzieci.

Z czasem.

Gdy Dante i Jet grzebali ciało, ich siostra przebywała w kuchni, gdzie przedstawiała matce swój nowy tekst. Gwen Ratkay nade wszystko kochała dobre żarty. Sarah zamierzała wciągnąć ją w przygotowania do występu, a potem niespodziewanie przejść do pytań o przeszłość ciotki Sophie.

Przyznawała, że nie był to najlepszy plan, ale improwizacja stanowiła treść jej życia.

Matka siedziała za pokaleczonym bliznami stołem kuchennym, popijając kawę z filiżanki, którą Sarah dała jej na ostatnie Boże Narodzenie, pięknej, pociągniętej warstwą czarnego jak smoła lakieru i ozdobionej jednym, prostym wzorem, przedstawiającym gałązkę wiśni, obsypaną jasnoróżowym kwieciem. Choć była dopiero siódma rano, i to w sobotę, Gwen miała już na sobie praktyczną niebieską spódniczkę i białą bluzkę. Apaszka z tajskiego turkusowo-nefrytowego jedwabiu dodawała kolorytu temu niewyszukanemu ubraniu, podobnie jak wesołość ożywiała spokojną, rzeczową twarz matki.

Sarah najbardziej kochała u Gwen jej śmiech, swobodny i otwarty, wypływający z niezachwianej pewności siebie. Uwielbiała go. Własny śmiech Sary wydawał się jej gniewny, podszyty strachem i niepewnością, jak ujadanie hieny. Do najbardziej ulubionych ozdób Sary należała kamea, którą dostała od babci na miesiąc przed śmiercią. Była bardzo prosta: wytworny kobiecy profil na jednobarwnym, czarnym tle. Sarah nosiła ją jako talizman. Zdawała sobie sprawę, że ojciec byłby niezadowolony, gdyby się o tym dowiedział, potrzebowała jednak tego klejnotu, potrzebowała go rozpaczliwie, by przywołać podobną kobietę z wnętrza swej jaźni: zrównoważoną i piękną, pełną gracji, inteligentną i dobrą.

–A więc, magia: o co w niej chodzi, hę? Potraficie sobie wyobrazić, jak wyglądałby świat, gdyby nie zaczęła wracać po drugiej wojnie światowej? Zastanawialiście się

nad tym kiedyś? – zapytała, spoglądając wybałuszonymi oczami na wymaginowany tłum.

Wargi matki zadrżały. Gdy okrągła twarz Sarah wyrażała niepewność, a małe usta się poruszały, przywodziła nieodparcie na myśl tuńczyka dokonującego skomplikowanych obliczeń.

–Na przykład, pomyślcie o *Gwiezdnym wojnach*. Bez eksplozji jungizmu nigdy by ich nie nakręcono. Mam rację? A już na pewno nie dostałyby Oscara. Zastanówcie się nad tym, bez tych wszystkich archetypów dotyczących konfrontacji z ciemnością i odkrywania magii byłaby to produkcja typu *Gidget leci na Gwiazdę Śmierci*. Czy potraficie sobie wyobrazić, że ktokolwiek sfinansowałby coś takiego w, na przykład, freudowskim świecie? Film musiałby wtedy opowiadać o tym, jak Luke próbuje zabić własnego ojca i ożenić się z siostrą i... tak dalej.

Sarah przerwała. Na jej okrągłej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

–No dobra, to zły przykład. Ale, hmm... Co, gdybyśmy wszyscy byli marksistami, Boże uchojaj? Wtedy ten legendarny film musiałby opowiadać o nielicznej garstce towarzyszy, którzy połączyli swe wysiłki, by obalić imperialistyczną... – Na jej twarz powoli wróciła zasępiona mina. – ...imperialistyczną dyktaturę.

Raz jeszcze wytrzeszczyła oczy. Audytorium nagrodziło ją chichotem. Matka z uśmiechem wypita łyk kawy.

Sarah uniosła rękę w obronnym geście.

–No dobrze! No dobrze, ale jednak... Rozwój osobowości. No wiecie, to właśnie miała nam dać magia. Rozwój osobowości. Uwolnienie mnóstwa stłumionych energii psychicznych. Przesłuchania McCarthy'ego były ostatnią próbą jej powstrzymania. Kiedy się załamały, wszyscy musieliśmy stawić czoło naszym wewnętrznym zagadkom:

Dwa i cztery, sześć i osiem:

Zindywidualizuj no się!

Ego! Psyche! Animus!

Przerwa.

–Witajcie w końcu tysiąclecia, moi drodzy. – Uniosła jedną ze stron tekstu. – Trzymam w ręku wyniki badań przeprowadzonych przez doktora Milona Chesterfielda – nie, naprawdę! – wybitnego socjologa z Uniwersytetu Purdue. Czy wiecie, co one wykazały? Najlepiej płatnym zajęciem dla aniołów, zapewniającym

największe możliwości awansu społecznego, jest prostytutka! prostytutka! Wygląda na to, że krzykiem mody wśród bogaczy jest wynajęcie sobie towarzysza, który dokładnie zna pragnienia klienta.

Na twarzy Sarah raz jeszcze pojawiło się zdziwienie. Jedna z brwi uniosła się powoli w górę w wyrazie budzącego się zaniepokojenia.

–Szczerze mówiąc, trudno mi w to uwierzyć. Nie wiem, jak reszta z was, dziewczyny, ale kiedy ja się Kocham, nie mam najmniejszej ochoty na to, żeby facet poznał moje myśli.

Matka zachichotała, nie przerywając picia, przez co w jej kawie pojawiły się pęcherzyki.

–No wiecie, która z namiętnych chwil może wytrzymać niespodziewane słowa: „Ale ja nie mam brody. I kto to, u licha, jest Raoul?”. Nie wspominając już o tym, chłopaki, że to, czy któryś z was naprawdę jest znakomitym kochankiem, jest informacją znaną wyłącznie jego dziewczynie i jej dwudziestu najlepszym przyjaciółkom. Uwierzcie mi, że nie chcielibyście poznać prawdy.

Wywróciła oczy i pokręciła głową, by skarcić wyimaginowane audytorium.

–Mój brat naprawdę miał kiedyś czelność mnie zapytać, dlaczego kobiety udają orgazm. Potraficie to sobie wyobrazić? Co za głupie pytanie! No, dziewczyny: Dlaczego kobiety udają orgazm? – Kiwnięcie głową. – Dlatego, że mężczyźni pozorują grę wstępną! Co za głupie pytanie.

Matka, parskając śmiechem, zakrztusiła się kawą, po czym spojrzała ze zmieszaną miną w stronę salonu, gdzie siedział czytający gazetę ojciec.

Sarah wyszczerzyła zęby.

–No dobrze! Mojemu bratu oczywiście nie spodobała się ta odpowiedź. To kobieciarz. Bez wygłupów, jest promykiem nadziei dla wszystkich pań – dowcipny, inteligentny facet, gotowy kochać się z każdą kobietą, która ma więcej niż szesnaście lat: chudą, tłąstą, niewyżytą czy nienormalną.

O kurczę. Sarah przełknęła ślinę. No trudno. Matka zapewne dobrze zdawała sobie z tego sprawę.

–Bez wygłupów, mój brat uwielbia ciała kobiet. Niemal wszystkich. To nie jest rodzinne. Ja, na przykład, nienawidzę swojego ciała tak bardzo, że zaczęło ono odwzajemniać to uczucie.

Zająknęła się na chwilę, porażona miną matki. Zawstydzoną.

Zawstydzoną i gniewną, pomyślała wściekle. Znała to połączenie bardzo dobrze.

–No, ale mój brat jest bardziej wyrozumiały. No wiecie, przypomina pod tym względem kosiarkę. Wszystko, co stanie mu na drodze... Ma najlepszą odżywkę we wszechświecie. Bez wygłupów. Podchodzi powoli do obiektu swego pożądanego, dalej zwanego „ofiara”, nawiązuje kontakt wzrokowy, demonstrując swą leniwą, filuterną, łysiejącą osobę, i mówi: „Spróbuj mnie poderwać”.

Sarah zamknęła oczy i wessała powietrze przez zęby.

–Zabójcze, hę?

Matka roześmiała się, ale w jej oczach pojawił się dobrze znany Sarah wyraz, taki sam jakby oglądała niesatysfakcjonujące świadectwo.

–Naprawdę tak mówi?

–O tak.

–I to skutkuje?

Sarah z powagą skinęła głową.

Matka zadrżała.

–Czuję się jak Frankenstein.

–To wyjaśnia, dlaczego ja tak często czuję się jak Igor.

Sarah ponownie przybrała postawę mówcy.

–Bez wygłupów, mój brat jest również aniołem... Nie, naprawdę. Mówi, że to wcale nie jest tak, jak się ludziom wydaje. Nie czyta w myślach ani nic z tych rzeczy. – Przerwała. – Jestem gotowa w to uwierzyć. Raz całą noc śniła mu się ruletka. W kółko słyszał: „Trzydzieści jeden czarne! Trzydzieści jeden czarne!” Następnego dnia zaciągnął mnie do kasyna. Mówił: „Siostrzyczko, wiem na mur, że wyjdzie trzydzieści jeden czarne. Miałem taki sen. Ogarnęło mnie dojmujące, mrowiące odrętwienie i kulka potoczyła się na trzydzieści jeden czarne. To niezawodne przeczucie”. „Naprawdę?” – zapytałam. – „A co mi do tego?”. Obliznął wargi. „Hmm, śniło mi się, że dałaś mi setkę, żebym miał co postawić”. I, niech to licha, miał rację: wszystko stało się dokładnie tak, jak to przewidział. Weszliśmy do środka, postawiliśmy sto dolarów, przegraliśmy je i kiedy staliśmy tam pogrążeni w dojmującym, mrowiącym szoku, patrząc, jak mój czynsz szlag trafił, już za następnym razem: Łubudu! Wyszło trzydzieści jeden czarne... Bez wygłupów, czy potraficie uwierzyć w to, ile forszy Pentagon utopił w badaniach nad aniołami? To

dopiero jest marnotrawstwo pieniędzy podatnika. Przecież aniołowie nawet nie eksplodują, jeśli zrzucić ich z samolotu. Spadają tylko na ziemię z głuchym łoskotem. Wiem to, bo kiedyś zepchnęłam brata z drzewa.

O kurczę.

–To tylko żart.

Przełknęła ślinę.

Matka spojrzała na nią, mrużąc powieki.

–Ehe.

Ponownie przełknęła ślinę, powtarzając sobie, że improwizacja stanowi treść jej życia.

–Marnują całe sterty dolarów, próbując wykorzystać aniołów do przewidywania ruchów nieprzyjacielskich łodzi podwodnych i takich tam pierdoł. I co uzyskują w zamian?

Zaintonowała niesamowitym głosem:

–Kot mojej matki drze się o północy, a w jego zębach szamocze się ryba. No wiecie, niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Można sobie wyobrazić tę samą konwersację w starożytnej Grecji:

Pierwszy generał, histerycznym tonem: Przestań chrzanić o drewnianych murach! Cała armia Spartan wczołga mi się do tyłka, jeśli natychmiast nie otrzymam jasnych odpowiedzi!

Wyrocznia, ślepa i bełkocząca: Rydwany Apolla płoną, lecz ogień ich nie trawi! Fale przeznaczenia...

Pierwszy generał: Kit z tym. Załadujcie babsko do katapuły i wyrzucicie za mury. Kto wie, może eksploduje w chwili upadku.

–Dziękuję. Byłaś świetna!

Sarah klapnęła na krzesło przy stole kuchennym.

–Cztery i pół minuty – oznajmiła matka, zerkając spod przymrużonych powiek, przez dwuogniskowe szkła, na sekundnik.

Sarah jęknęła.

–O Boże. Potrzebuję jeszcze półtorej minuty materiału. Chyba umrę. Zabierz mnie natychmiast, Panie.

–Starożytne Ateny to popularny temat objazdowych występów, hę?

Sarah pochyliła się nad blatem, z policzkiem wspartym na dłoni.

–Wiem, wiem. Moim przekleństwem jest to, że wychowywał mnie tata. Jak rozumiem, nie sądzisz, by wojny peloponeskie wzbudziły wielki entuzjizm moich pijanych wielbicieli?

Matka przechyliła głowę na bok.

–Byłabym skłonna zaczekać na miniseriał.

–*Z tarczą lub na tarczy* – zasugerowała Sarah. – Sponsorowany przez Trojańskie Prezerwatywy. Gdy myślisz: „Uprowadzenie!”, myśl o Trojanach!

–Hę? O co chodzi? – zawołał ojciec z salonu.

–O nic, tato. Wzywam imienia Tukidydesa nadaremno.

–Wielka jest chwała kobiety, o której mężczyźni mówią najmniej, czy to dla pochwały, czy dla nagany – odparł ojciec.

–Jak byliśmy po ślubie, to było: „Milczenie obdarza kobiety należyłą gracją”.

–Grecy, uch. Bóg jeden wie, co ci sympatyczni, starożytni pederaci chcieli powiedzieć, ale brzmiało to nieźle.

Cóż, to równie dobra chwila, jak każda inna, pomyślała Sarah, przyłapawszy matkę na współwinnym chichocie. Ogarnęło ją nerwowe drżenie. Trema i brak snu, pomyślała. Da sobie z tym radę.

Do dzieła.

–Ciotka Sophie nie czuje się dobrze? Zwykle o tej porze już wstaje.

–Nie jestem pewna – odparła ostrożnie matka. – Nie widziałam jej.

–Wczoraj doszło do jakiejś scysji. Mam rację? Krzyki przyciągnęły moją uwagę. Jestem na to wyczulona. Dlaczego wpadła w histerię z powodu pierścienia Dantego?

Matka odstawiła filiżankę na stół.

–Zdaje mi się, że był podobny do innego, który dawno temu dała komuś w prezencie

– wyjaśniła.

–Swojemu mężowi? – zapytała od niechcienia Sarah.

Starsza kobieta zmarszczyła brwi.

–Tak.

–Jak się nazywał?

–Pendleton – wyznała. – Percy Pendleton. Trzeci.

–I co się z nim stało? Dlaczego nigdy o nim nie wspominać?

Przez pewien czas obawiała się, że posunęła się za daleko, lecz po chwili matka pokręciła głową.

–To było bardzo dawno temu – zaczęła – i cała sprawa nie skończyła się dobrze. Nie lubimy o tym myśleć. – Gwen przerwała, jak gdyby zastanawiając się, ile ma zdradzić córce. – Zniknął mniej więcej wtedy, gdy urodził się Dante. Twój ojciec uważa, że to było samobójstwo, ale bardziej prawdopodobne jest to, że po prostu zwiął. Mam nadzieję, że znasz ciotkę na tyle, by zdać sobie sprawę, co poczułaby w każdym z tych przypadków. Na pewno przeżyła szok, zobaczywszy, że Dante wyciągnął z rzeki coś bardzo podobnego do ślubnej obrączki Pendletona.

–Kwadratowa obrączka? – sprzeciwiła się Sarah. – Czy to nie za wielki zbieg okoliczności? A może kiedyś była taka moda? W szkole mnie o tym nie uczyli.

Matka choć raz straciła na chwilę cierpliwość.

–To nie może być ten sam pierścionek, Sarah. Minęło trzydzieści lat.

Tylko spokój. Nie można spłoszyć mamy, dopóki nie przejdziemy do sedna, powiedziała sobie Sarah. Wzruszyła ramionami i skinęła głową, udając, że się zgadza.

–A czy ciotka myślała kiedyś o dzieciach?

Matka z uwagą dodała miodu do herbaty.

–Tak – odparła po chwili. – Myśleli o tym.

Nie poprzestali na myśleniu, przemknęło Sarah przez głowę. Co jednak spodziewała się usłyszeć od matki: *Twoja ciotka urodziła potwora? Twoja ciotka urodziła ślicznego chłopczyka, ale ukradziono go, zostawiając zamiast niego Jeta? Zdała sobie sprawę, że zakrawało na cud, iż w ogóle zatrzymali to dziecko. Znając ciotkę, Sarah była zaskoczona, że Sophie go nie udusiła albo nie wrzuciła do rzeki.*

Zadrżała, pokręciła głową i nakazała sobie powrót do tematu. Kto go uratował? Kto uratował małego Jeta? Czy to jej matka, kierowana impulsem współczucia dla podrzutka? A może ojciec, który chciałby, żeby niemowlę zostało w domu, z tych samych powodów, dla których trzymał na biurku czaszkę?

Utracić dziecko, swe bezcenne dziecko i dostać zamiast niego jakiegoś... stwora. Jakie to okropne. Jakie okropne.

–Kochanie? – odezwała się zaniepokojona matka. – Płaczesz?

Sarah pokręciła głową.

–Oczy mi łzawią – wyjaśniła nieprzekonująco. Niech to szlag, kręciło jej się w głowie z braku snu. Zaczynała myśleć o rzeczach, nad którymi nie powinna się zastanawiać. Nigdy.

Poczuła, że dłoń matki zamknęła się na jej dłoni.

–Spokój, kochanie. Będziesz miała swoje.

–Mam dwadzieścia osiem lat i jestem gruba, mamo. Nie dostałam ani jednej odpowiedzi na ogłoszenie w „Tygodniku Milionera”, a Pekinński Katalog Białych Narzeczonych odesłał moje zdjęcie z odbitą na ksero odpowiedzią.

Na szczęście zadzwonił telefon, co dało jej pretekst do przerywania rozmowy, zanim zdążyła palnąć coś, co zraniłoby je obie jeszcze bardziej.

Poderwała się z miejsca, by podnieść słuchawkę.

–...O Mój Boże. Naprawdę? Oczywiście. Kiedy tylko się zjawi. I powinien... Dobra. Tak... Tak. Dobra... Dobra, dziękuję za telefon.

Odłożyła powoli słuchawkę i popatrzyła na matkę.

–To była Laura, koleżanka Dantego – wyjaśniła bezbarwnym tonem, ocierając oczy grzbietem dłoni. – Ma zadzwonić na policję, bo w nocy ktoś się włamał do jego mieszkania.

Zasypanie grobu zajęło Dantemu prawie pół godziny. Jet oferował się z pomocą, ale Dante pokręcił głową i zrobił to sam. Wypełnił dół ziemią, uklepał ją i zakrył zeschniętymi liśćmi oraz paprociami. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Jeszcze siedem dni, pomyślał.

Sześć i pół.

–No, to co zrobicie, kiedy mnie zabraknie? – zapytał, skończywszy robotę.

Jet wzruszył ramionami.

–Nie wiem. Damy sobie radę.

–Ha! Sarah może tak, ale ty? Nie opowiadaj głupot. Mógłbym cię zdmuchnąć jak urodzinową świeczkę.

Rzucił łopaty do łodzi, obok wędziska i kołowrotka. Na końcu żyłki wciąż połyskiwała magiczna przynęta, zahaczona starannie o pierwszą przelotkę.

Dziwne. Nie przypominał sobie, żeby przynosił tu sprzęt wędkarski.

Spojrzał na wierzbę, przyglądając się pasom pozostałym w miejscach, gdzie ciotka Sophie zdarła korę. Lśniły niczym pręgi na ciele pokutnika.

–Pamiętasz, jak Sarah zwała z domu? – zapytał Jet. – Była na drugim roku college'u. Z obmierzłym sukinsynem, noszącym przepaskę na głowie. Nazywał się Lawrence.

–Ojciec wspominał coś o tym. Boże, gdzie ja wtedy byłem? Dlaczego nie przyjechałem mu dokopać i nie kazałem, żeby trzymał się z dala od mojej siostry? Tak powinien się zachować starszy brat.

–Twoje życie wówczas było pełne namiętnej frywolności – odparł z przekąsem Jet. – Uciekłeś właśnie z uniwersytetu.

–Mówisz jak kamerdyner strofujący pracodawcę.

–Słyszałem... podsłuchałem kiedyś, jak rozmawiała z matką – wyjaśnił skrępowany Jet.

–Naprawdę jesteś małym szpiclem, co?

Wzruszył ramionami.

–Nie usłyszałem zbyt wiele, ale można było zrozumieć, że coś się wydarzyło na krótko przed tym, nim go rzuciła. Nie jestem pewien co. Ale bez względu na to, co to było, nie zapomniała o tym, Dante. Wciąż ją to boli.

Dante z zamyśloną miną skinął głową.

–A co się stało z tym Lawrencem? Nie przypominam sobie, żeby jeszcze zawracał jej głowę.

–Zabiłem go.

Dante zamrugał.

–Żartujesz, prawda?

–Oczywiście – odparł jego brat z niewyraźnym, ostrożnym uśmiechem.

Jet wskazał ręką łódź.

–Pan pierwszy.

–Mm. Chyba nie skorzystam, dobry człowieku.

Dante wyjął z łodzi sprzęt wędkarski.

–Odprowadź ją na ląd i wyczyść jak się patrzy. Poczulem nagłą potrzebę zamoczenia wędki w rzece.

Jet spojrzał na niego z zainteresowaniem.

–Ktoś ci zdradził dobre miejsce?

Dante ruszył nieśpiesznie wzdłuż brzegu.

–Chyba popróbowuję tutaj, pod fortem. Tak sobie myślę, że w sadzawce pod wierzbą może coś się czaić.

Jet powoli skinął głową.

–Rozwiń skrzydła, Clarence. Rozwiń skrzydła.

Gdy Jet wypłynął na kanał, Dante powtarzał sobie, że to oczywiste szaleństwo. Celowo wziąć przynętę i zarzucić ją pod wielkim drzewem, tak jak kazał mu sen. To było czyste anielstwo.

Czuł rozpościerające się wokół niego białe skrzydła magii.

Wydawało się jednak, że chwila wymaga od niego właśnie anielstwa. Poza tym, pomyślał zjadliwie, jeśli nawet oszaleję, to tylko na kilka dni.

Skórzana kurtka nasiąknęła wodą. Zdobiące ją piękne wzory pokrywało błoto oraz okruchy zeschniętych liści. Palce sztywniały mu z zimna. Żałował, że nie zabrał rękawiczek.

Wziął wędzisko oraz kołowrotek i znalazł sobie miejsce pod starą wierzbą. Usiadł na

potężnym, czarnym korzeniu, grubym jak on w pasie, wyrastającym spod ziemi u podstawy drzewa. Ziemię pod nim pożarła rzeka. Dante wymachiwał nogami, przyglądając się, jak jego mokasyny muskają powierzchnię wody.

Był mroczny poranek. Słońce z mrozem przesuwalo się za ciężkimi, ciemnymi chmurami. Nad rzeką wciąż wisiała rzadka mgielka, tu i ówdzie skupiająca się w obłoczki, które przepływały smętnie obok niego niczym żałobnicy w orszaku pogrzebowym. Ogień jesieni przeszedł już przez dolinę i drzewa na północnym brzegu były nagie. Na południu osłonięte przed słońcem klony nadal żarzyły się w czasie. Każdy liść był tygodniowym zwickiem płomienia. Niekiedy w chmurach pojawiała się luka i snopy słonecznego światła rozjarzały ich ogień lub odsłaniały nagle niezwykle piękno na rzece barwy whisky.

Upłynęło mnóstwo czasu, odkąd po raz ostatni zaznał snu. Domagało się go całe jego ciało. Jakże żarłoczna jest ta głupia rzecz, pomyślał. Został mu niecały tydzień życia (błagam, błagam, jeszcze chociaż sześć dni!), zewsząd otaczała go groza i niezwykłość, a ciało potrafiło myśleć tylko o śnie. I śniadaniu. Minęło niecałe pięć godzin od chwili, gdy dokonał nacięcia własnego martwego brzucha, a jego umysł zaczynał już marzyć o boczku, grzance i gorącej kawie. Kawie! Pełnej mleka i cukru, ogrzewającej filiżankę w jego palcach...

Wrócił gwałtownie do rzeczywistości. Cóż za wredna, podstępna sztuczka, pomyślał ze złością, spoglądając z góry na własne ciało. Jestem równie inteligentny, jak zawsze. Inteligentniejszy! Wielki spryciarz. Oczytany. Dowcipny. Wygadany. Ale wszystko, czym jestem, siedzi tu skazane, przykute do umierającego zwierzęcia.

Obok przeleciała sroka, skrzecząc: jeść! jeść! jeść!

Buleczki, pomyślał Dante. Gorące białe bułeczki posmarowane margaryną.

Gdy z cichym szelestem zarzucił wędkę, ujrzał wyraźnie całe swe życie: zachmurzone niebo pełne złowieszczych znaków, gdzieniegdzie przeszyte blaskami niezwykłej piękności. Zaczął powoli zwijać linkę. Miał po dziurki w nosie tajemniczości rzeki, własnego głodu i posępnych chmur, wspomnień i mgły; nieoczekiwanych potopów światła.

Wędziskiem gwałtownie szarpnęło, przynęta zahaczyła o coś i wyrwała to. Linka była obciążona. Gdy wyłoniła się na powierzchnię, Dante zauważył, że haczyki otacza kawałek zbutwiałego materiału. Wyciągnął z wody ociekającą szmatę i ujrzał w niej coś przypominającego płaski patyczek albo drzazgę. Podniósł przedmiot i obrócił go w palcach. Był mały, może cal długości, i biały.

Wyglądał jak ludzka kość.

—I oto zostałem rybakim ludzi — wyszeptał Dante.

*Gdy chodzi o przeczucie zła,
wolałbym być nieświadomy niż mądry*

Ajschylos

Pierwszym zadaniem oczekującym Dantego po powrocie do domu było wytropienie Sarah, by zapytać ją, czego się dowiedziała od matki na temat dawno zaginionego męża ciotki Sophie, Pendletona.

Potem nadszedł czas na wyjaśnienie sprawy kości.

Domyślał się, że jest to część stopy lub dłoni. Zakradł się do gabinetu ojca, by pomóc sobie *Anatomią* Graya. Okazało się, że jest to pierwsza kość śródrečza – podstawa kciuka. Zgodnie z radą autora, by trzymać kość „podstawą ku górze, a powierzchnią grzbietową ku tyłowi” zlokalizował „guzek dla przyczepu prostownika długiego kciuka”. Był zwrócony w prawą stronę, a więc był to prawy palec.

–Aha! – mruknął z triumfem, zamykając powoli książkę. Następnie zamarł, skuty wspomnieniem niczym lodem.

Popołudnie było długie i spokojne. Poszedł do gabinetu ojca. Ciemne biurko z wiśni oraz biała czaszka lśniły w promieniach światła padających ukośnie przez wąskie okno. Odbijały się one w szybach szafki, w której ojciec trzymał lekarstwa: szeregi ciemnozielonych buteleczek, błyszczące stalowe przyrządy oraz amulety przeciwko reumatyzmowi, o które zaczynali prosić jego pacjenci. (- Cóż, placebo to też skuteczny lek. – Westchnął kiedyś, zapętlając szybko kolorową wstążkę wokół kawałków kory brzozonej, zupełnie jakby zawiązywał tasiemki rozporka). Była tam również przedwojenna rękawica baseballowa o dziwacznym wyglądzie, pamiątka ze szkoły średniej, oraz nietknięta butelka pięciogwiazdkowego courvoisiera, którą kupił w dniu ukończenia studiów, by wypić ją, gdy przejdzie na emeryturę. Gabinet był pełen zapachów ojca: płyn po goleniu, brylantyna i prawdopodobnie słaby ślad odrobiny whisky, którą raczył się codziennie po kolacji. Wszędzie unosił się gęsty aromat dymu fajkowego.

Dante wolał go od ostrego smrodu papierosów ciotki Sophie, ale tak naprawdę, to tylko zapach świeżego tytoniu wprowadzał go w stan upojenia. Uwielbiał zakradać się do gabinetu i odsuwać drugą szufladę biurka, by, pogrzebawszy w stercie niezbędnych, odkryć wspaniały skarb – tytoń „Amphora” zapakowany w brązowe, plastikowe torebki, przypominające w dotyku i zapachu najmiększą skórę. Gdy znalazł jedną z nich, otwierał ją niczym bożonarodzeniowy prezent i przytykał do nosa, wciągając zapach do płuc, aż cały pokój zaczynał wirować.

By dostać się do biurka ojca, Dante musiał jednak minąć szafkę, gdzie na drugiej od dołu półce leżał zestaw dłut, pił i skalpeli. A po drugiej stronie pokoju, zwrócona okładką na zewnątrz, na dębowej półce, stała przerażająca *Anatomia Graya*. Ów, pełen ciał, gruby tom zawierający straszliwe sekrety ojca był najważniejszą z Książek Dla Dorosłych.

Setki razy zatrzymywał się niepewnie w drzwiach, a za jego plecami tykał powoli Dziadek Zegar. Czy wabik tytoniu przyciągnie go do straszliwego świata ojca, czy też przewagę zdobędą rozsądniejsze instynkty i Dante pierzchnie przed straszliwą księgą z *Obdartym Ze Skóry Człowiekiem* na okładce? Stary przyłapał go kiedyś i kazał mu zajrzeć do książki. Pokazał mu rysunek ludzkiego serca i wyjaśnił jego funkcjonowanie.

Tego samego dnia, gdy wysłano go na górę na popołudniową drzemkę, położył się z jedną ręką zwisającą z brzegu łóżka. Był upalny, duszny, letni dzień. Materac drgał od uderzeń jego serca, wałąc go w pierś, aż wreszcie Dante uniósł dyndającą kończynę, przerażony myślą, że serce mu się zmęczy, zmuszone do pompowania krwi z opuszczonej w dół ręki. Za każdym razem, gdy zmuszał ten narząd do wysiłku, wyczerpywał go. Brzydka gruda mięśni, którą ojciec kazał mu obejrzeć w przerażającej księdze, zdradzieckie serce, które pewnego dnia go zabije.

Portret

Odkąd skończyliśmy siedem lat, ojciec zaczął zabierać nas każdej jesieni na polowanie. Nie chciał, żebyśmy zapomnieli, skąd bierze się mięso, które jemy. Nie chciał, żebyśmy sądzili, że wyrasta w pozbawionych krwi, opakowanych w folię paczuszkach, gotowe do spożycia.

To zdjęcie zrobiłem rano w Dzień Dziękczynienia, kiedy obaj mieliśmy po dwadzieścia lat. Na pierwszym planie, między postacią ojca a cienką, srebrzystą brzozą, widać ofiarę Dantego, trzyletniego jelonka. Krew zalewa mu gardło w miejscu, gdzie trafiła kula, i plami nieskalany śnieg.

Dante przykucnął tuż za zwierzęciem. Między kolanami trzyma strzelbę o orzechowej kolbie. Dłońmi obejmuje lufę.

To jedno z najlepszych czarno-białych zdjęć, jakie zrobiłem w życiu. Jest tak ostre, że widać parę bijącą z ust Dantego oraz buchającą z krwi zalewającej szyję jelonka. Można niemal usłyszeć chrzęst zeschniętych liści pod stopami.

Żadna ze zrobionych przeze mnie fotografii nie ukazuje w bardziej uderzający sposób podobieństwa między Dantem a ojcem. Energia rzeczywistego Dantego wprowadza obserwatora w błąd. Uwagę odwracają: nieustanne chodzenie w kółko, nastroszone brwi, ruchliwe dłonie. Jednak na zdjęciu stoi on spokojnie. Zastygł w

bezruchu, jak ojciec, i widać, że jego dłonie są ostrożnymi dłońmi starego, są grubsze i pewniejsze niż moje. Ma jego łagodnie zaokrąglone barki, a nade wszystko spojrzenie. A jeśli obserwatora nie zdoła zbić z tropu pełna życia twarz i migające brwi, widzi się te same zmrużone, niebieskie, śmiertelnie poważne oczy, to samo ciche skupienie.

Dante nie chce w sobie dostrzec najmniejszego podobieństwa do ojca. Starego musi to dziwić. Mnie również dziwi. Wszystkim wydawało się oczywiste, że jego przeznaczeniem było zostać ukochanym dzieckiem Antona Ratkaya, tak jak jest to między Sarah a matką. Mimo to oddalił się w jakiś sposób od niego: najpierw kłótnie, potem milczenie, wreszcie uprzejme docinki – sympatyczne, pozbawione znaczenia i całkowicie nieprzeniknione.

Jeśli dostrzeże się, jak ojciec patrzy na Dantego, gdy sądzi, że nikt tego nie widzi, można dojrzeć jego zdziwienie. W głębi jego oczu, od dawna przyzwyczajonych do postrzegania przykrych stron życia, widać ból, zastanowienie nad tym, w którym miejscu przeznaczenie zawiodło i utracił syna. Nad tym, co powinien zrobić... w którym punkcie mógł postąpić inaczej.

Na zdjęciu, Dante wpatruje się intensywnie w leżące przed nim martwe zwierzę. Nie widać szoku, warg drżących pod wpływem wyrzutów sumienia, a tylko lekkie przymrużenie wąskich, niebieskich oczu i napięcie w nieruchomym ciele, gdy zastanawia się nad tym, co uczynił.

Stojący z boku ojciec przygląda mu się z identycznym wyrazem twarzy.

–Dante?

Podniósł z zaskoczeniem wzrok i ujrzał ojca, który stał w drzwiach gabinetu. Dźwignął się na nogi i schował pośpiesznie kość Pendletona do kieszeni koszuli, tuż obok przynęty, którą miał zamiar odłożyć na miejsce.

–Przepraszam!

Doktor Ratkay pozwolił sobie na niewyraźny uśmiezek.

–Nie ma sprawy.

Zbliżył się powoli i stuknął palcem w masywne tomiszcze.

–Ciężkie, prawda? Przeszło tysiąc dwieście stron, i to bardzo drobnym drukiem.

Stanęli obok siebie. Dante zauważył z ukłuciem zazdrości, że ojciec nie raczył jeszcze wyłysieć, choć od Bożego Narodzenia w jego przypominających pieprz z solą włosach zaznaczyła się już przewaga soli. Gdy popatrzył z góry na czubek głowy

ojca, uderzyło go, jak bardzo Anton Ratkay się skurczył: ramiona miał przygarbione, a klatka piersiowa stała się węższa. W wielkim brązowym swetrze, który zrobiła mu na drutach ciotka Sophie, wydawał się dziwnie stary i wąty, jakby kulił się pod wpływem zimna, które tylko on odczuwał.

Pochylony nad biurkiem doktor Ratkay zakasłał kilkakrotnie – ale zasłonił usta dłonią, jak dżentelmen.

–Nie powinieneś tyle palić.

Roześmiał się i wyciągnął swą wierną fajkę oraz paczkę „Amphory”.

–Twoja matka powtarza mi, że twarz zmienia mi się w liść tytoniowy. Jest brązowa i pomarszczona. Odpowiadam jej, że zamarynowała się w płynie po goleniu, ale Gwen nie chce mnie słuchać.

Puknął cybuchem fajki w *Anatomię*.

–Życie jest krótkie, sztuka długa, sposobność przemijająca, doświadczenie złudne, wyrokowanie trudne. Tak powiedział Hipokrates. Każde z tych słów nadal pozostaje prawdą.

Opadł na obrotowe krzesło Radetzky'ego, stojące za biurkiem. Z reguły wolał korzystać z mebli, które odziedziczył po rodzicach, był jednak człowiekiem praktycznym. W kilka lat po pojawieniu się na rynku nowych, przystosowujących się do kształtu ciała tworzyw, zaczęły go dręczyć bóle pleców. Matka przekonała go, by wypróbował krzesło Radetzky'ego.

–Możesz to uważać za sprawdzian skuteczności nowej metody leczenia bólów w krzyżu – oznajmiła bez ogródek. – Jeśli ci pomoże, będziesz je mógł zalecać pacjentom.

–I ostrzegać ich przed tym cholerstwem, jeśli nie pomoże – poskarżył się. Argument jednak okazał się przekonujący. (Jak zauważyła uszczypliwie matka, nie zaszkodził też fakt, że Radetzky był po ojcu Węgrem).

Doktor Ratkay wydobyl nieśpiesznie szczyptę krojonego tytoniu z torebki „Amphory”.

–Oczywiście wiele w medycynie się zmienia, ale nie to, co jest najważniejsze.

Dante uniósł brwi.

–Ludzie umierają – wyjaśnił ojciec z niewyraźnym, smutnym uśmiechem.

Dante odstawił księgę na półkę. Poczł w brzuchu nagłe uklucie ostrego bólu.

–Chyba masz rację.

Doktor Ratkay zmarszczył brwi, spoglądając ze zdziwieniem na kubek z fajkami.

–Hmm. Gdzie się podziała...

Dante pośpiesznie wydobyl przynętę z kieszeni koszuli.

–Wziąłem ją wczoraj, żeby trochę połowić. Właśnie miałem zamiar ją oddać.

Doktor Ratkay uniósł brwi.

–Udał ci się niezły połów. Ten pierścioneł.

Nabił fajkę tytoniem i zapalił zapałkę. Krojone liście stanęły w płomieniach, poczerniały, spaliły się. Z zadowoleniem wciągnął w płuca, a potem wypuścił na zewnątrz obłok sinoszarego dymu.

Dante nie mógł się nie uśmiechnąć. Powinienem mu kupić chińską podomkę, pomyślał. Byłby z niego znakomity smok-uczony, pykający leniwie z fajeczki mandaryn, przerzucający leniwie zbiór swych ksiąg. A za zasłoną z dymu te oczy, wciąż jasne jak błękitne, zimowe niebo.

Ojciec przyjrzał mu się uważnie.

–Wiesz co – zaczął, wyciągając z ust fajkę z cichym cmoknięciem, któremu towarzyszyło wypuszczanie obłoczku dymu. – Masz teraz tyle samo lat, co ja w chwili, gdy się urodziłeś.

Zastanawiali się przez chwilę w milczeniu nad tymi słowami. Dante stał w niewygodnej pozycji, z rękami w kieszeniach, a ojciec siedział ze skrzyżowanymi nogami, trzymając w dwóch palcach czarną głowę fajki z korzenia wrzośca.

–Chyba nie mogę równać się z tobą – rzucił od niechcienia Dante. – Nie mam żony ani dzieci. Nie ukończyłem studiów. Pracę też mam marną.

–To prawda – zgodził się z uśmiechem. – Ale nie to miałem na myśli.

–Oświeć mnie.

Doktor Ratkay włożył do ust fajkę i wypuścił długi, leniwy strumień dymu, który załśnił, przecinając snop wpadającego przez wąskie okno światła.

–Dziecko oznacza mnóstwo kłopotów – powiedział po chwili. Uniósł dłoń. – To nie

jego wina. W najlepszym razie przynosi ze sobą zmęczenie, nerwowość... rachunki z pralni chemicznej.

Pod wpływem dawnych wspomnień spojrzął przelotnie na Dantego, po czym potarł z namysłem brodę.

–Ojcowie stają się dziećmi po raz drugi; coś w tym stylu powiedział Arystofanes. Kiedy masz dziecko, widzisz w nim własne dzieciństwo. No wiesz, to część tego, co w nim kochasz. Kochasz siebie, swoje młodsze ja. A gdy patrzysz na nie z niepokojem, to dlatego, że myślisz o wszystkim, co utraciłeś, dorastając. O całym bólu... – Ratkay przerwał, zamrugał i uśmiechnął się. – Dlatego spoglądając na ciebie, wspaniałego, wysokiego i inteligentnego młodego człowieka, widzę wszystkie błędy, które popełnię z tobą i twoim rodzeństwem, i twoją ciotką, i moją praktyką, i, Bóg mi świadkiem, twoją matką.

–Ty? Błędy? Myślałem, że to niemożliwe!

Anton uśmiechnął się.

–Popełniałem je także wówczas, gdy byłem w twoim wieku, a przecież miałem wtedy stanowczo za wiele lat, żeby robić podobne głupstwa.

–Podczas gdy ja niemal z niczym nie potrafię sobie poradzić jak należy – zauważył Dante. – Muszę być wyjątkowo mądry.

Anton pokręcił głową, spoglądając na syna ze smutkiem przez obłok niebieskawego dymu.

–Nie. Jesteś jeszcze większym durniem niż ja – powiedział po długiej chwili milczenia.

–Tata był dziś czymś przygnębiony – rzekła Sarah po kolacji do matki.

Gwen wzruszyła ramionami. Zawinęła rękawy po łokcie, wyskubała spomiędzy indyjskich żeber ostatnie kawałki mięsa i wyrzuciła szkielet do kubła. Stojąca obok Sarah, westchnęła i włożyła fartuch, spoglądając na sterty naczyń, nagromadzone jak zwykle po sobotniej kolacji.

–Nigdy nie widziałam, żeby twój brat kroił mięso z takim... naukowym zainteresowaniem – zauważyła matka.

Sarah odkręciła kran i wlała do zlewu pokaźną dawkę płynu do zmywania. Ciotka Sophie czuła głęboki wstręt do zmywarek, w czym nie było nic złego, po kolacji jednak poszła do siebie, mówiąc, że kiepsko się czuje, i zostawiła Sarah sam na sam z naczyniami. Myśl o ręcznym zmywaniu podobnego stosu wywoływała

przygnębie.

–Powinnyśmy zawołać chłopaków, żeby nam pomogli.

Matka się roześmiała.

–Jet i Dante sami przygotowali niemal całą kolację, gdy ucinając sobie na górze popołudniową drzemkę, ty leniwcu.

–Wiem, wiem.

Pogodziła się z nieuniknionym, podwinęła rękawy i przystąpiła do szorowania. Wciąż odczuwała głód, ale odbicie w kuchennym lustrze mówiło jej, że zjadła za dużo.

Nie znosiła go.

Zapadł już zmierzch. Nisko wiszące chmury spełniły wreszcie swą obietnicę. Deszcz z trzaskiem uderzył w kuchenne okiennice, spływając nagle po szkłe niczym łzy. Sarah ogarnęła ospała melancholia. Dwie godziny niespokojnej drzemki, które wyrwała dla siebie po południu, nie usunęły skutków okropnej nocnej sekcji. Nawet podczas sobotniej kolacji panował kiepski nastrój. Ciotka Sophie była skrzywiona i ponura, a ojciec spięty i zamknięty w sobie.

Matka krzątała się po kuchni, zdecydowana okazać wesołość.

–Kiedy twój następny występ?

–We wtorek wieczorem, w „Yuk-Yuks”.

Gdy wyciągnęła rękę, by wyłowić z wody kolejne brudne naczynie, mimowolnie skierowała wzrok ku oknu. Coś się poruszyło.

Coś się poruszyło na zewnątrz.

Przymrużyła powieki, usiłując dojrzeć cokolwiek w deszczowej nocy, ale w kuchni było jasno, a w oknie roilo się od odbić.

Kiedyś, wiele lat temu, w mrocznym okresie jej życia, leżała w łóżku w swym śródmiejskim mieszkaniu, wsłuchując się w słabe, bardzo odległe krzyki. Po skórze przebiegały jej drobniutkie ciarki strachu, przypominające zimną wodę. Dzisiaj, usiłując dostrzec coś za własnym odbiciem, poczuła ten sam lęk, ześlizgujący się jej chłodno po twarzy.

Pochyliła się, dotknęła czołem szyby i popatrzyła na zewnątrz przez odbicia własnych oczu. Serce waliło jej jak szalone. Tak jest – tam! Na samym dole

jesiennego ogrodu, niedaleko od mrocznej bryły przystani.

Czy w rozświetlone okno gapiło się dziecko, mała dziewczynka?

Zglądało do wnętrza ciepłego domu, stojąc na zimnym deszczu. Dziecko w dżinsach i białej koszulce. Chuda dziewczynka w czapce baseballówce ociekającej wodą.

Z cichym krzykiem Sara upuściła talerz, który się rozbił, i skoczyła ku tylnym drzwiom. Otworzyła je, wypadła przez osłaniającą wejście siatkę i zbiegła ze schodów.

Przestrzeń na zewnątrz była ogromna i wypełniona nocą. Sarah zachwiała się i zatrzymała. W twarz uderzyły ją zimne krople deszczu.

Nic. Ani żywej duszy.

Postawiła kilka niepewnych kroków. W ogrodzie nikt na nią nie czekał. Z cieni pod okapem przystani nie spoglądała na nią z wyrzutem mała, smutna twarzyczka.

Wokół wzdychał wiatr i łkał deszcz. Szła jednak naprzód, choć serce w jej piersi nie przestawało tłuc. Nie pozwalała sobie na myślenie. To nie pora na zadawanie pytań. Mogła jedynie pobiec w noc albo uciec od niej. Taki miała wybór. Raz już zdecydowała błędnie, osiem lat temu. Wiedziała, że nie będzie chciała dłużej żyć, jeśli znowu podejmie niewłaściwą decyzję.

Chmury przesłaniały całe niebo. Wiatr wiał raz mocniej, raz słabiej. Na dole, za poskrzypującym leniwie mołem, toczyła swe ciemne wody rzeka.

–Sarah? Kochanie, czy nic ci nie jest?

Matka stanęła w drzwiach, wołając ją. Ciepłe, kuchenne światło padło na ganek i to Sarah teraz stała niepocieszona w cieniu przystani. Z tego miejsca dom wydawał się niewyobrażalnie odległy, ciepły, przyjazny i absolutnie niedostępny, nie mający nic wspólnego z deszczem, którego szum wokół niej odpływał w wieczność. Nic wspólnego z rzeką i kłębiącą się ciemnością, która przesłaniała wszystko, co rzeczywiste.

Przemoczona i dygocząca Sarah przyglądała się, jak matka idzie ku niej przez ogród.

–Rabin, baptystowski kaznodzieja i katolicki ksiądz wybrali się pewnego dnia na przechadzkę i spotkali archanioła Gabriela – zaczęła pani Ratkay, gdy tylko zbliżyła się do córki na tyle, by ta mogła ją słyszeć.

–Rabin powiedział: „Aj! Właśnie cię szukałem! Mam tu listę zażaleń. Zabierz ją do Pana Wszechświata”. Wyciągnął księgę grubą na jakieś tysiąc stron i wręczył Gabrielowi, a ten odparł: Jak sobie życzysz”. I wtedy kaznodzieja zawołał: „Alleluja! Chwała Panu! Chciałbym, żebyś zabrał do piekła ten tekst głoszący chwałę Chrystusa. Zawstydzimy diabła! Jak widzisz, podpisało się pod nim ponad milion widzów... to znaczy, członków naszej kongregacji”. On również wydobył księgę grubą na jakieś tysiąc stron. Była pełna podpisów. Wręczył ją Gabrielowi, a ten rzekł: „Proszę bardzo”.

Pani Ratkay objęła córkę ramieniem i powiodła ją delikatnie z powrotem do domu.

–Został jeszcze ksiądz, który wyglądał na lekko zawstydzonego. Mruczał przez chwilę i powłóczył nogami, aż wreszcie przesunął palcem po koloratce, wymamrotał: „Dzięki, że się zjawileś”, i wsadził Gabrielowi w dłoń małą karteczkę. Gdy anioł wziął ją i zapoznał się z jej treścią, zaszła w nim nagła zmiana. Zęby zaczęły mu dzwonić. Kolana się pod nim ugięły. Powiedział: „Zwariowałeś!”, upuścił karteczkę i odleciał z wrzaskiem w noc. Oczywiście rabin i kaznodzieję bardzo to zdumiało – ciągnęła matka, prowadząc Sarah po schodach ganku. – Wpatrywali się w księdza tak intensywnie, że ów wreszcie uśmiechnął się blado i wyznał: „To był list ode mnie do papieża, z zapytaniem, czy możemy wyświęcać kobiety”.

Sarah omal się nie uśmiechnęła.

–I wtedy rabin i kaznodzieja również uciekli z wrzaskiem w noc – wyszeptała.

Gwen Ratkay zaprowadziła córkę do kuchni, posadziła ją przy stole i wstawiła wodę na herbatę. Ujęła Sarah za rękę.

–Dobrze się czujesz? Widzę w twoich oczach czajniczki, w których parzą się lzy.

Sarah nie była w stanie się roześmiać. Na zewnątrz było zbyt ciemno, zbyt ciemno i zimno, a smutny deszcz siąpił na całą ziemię.

–Osieć – wyszeptała.

Gwendolyn zamknęła oczy. Ramiona jej opadły. Przez krótką chwilę wyglądała na bardzo starą.

–Psst – wyszeptała, głaszcząc delikatnie dłoń córki. – Wszystko w porządku, kochanie. Wszystko w porządku.

Sarah pokręciła wściekle głową.

–Miałaby teraz osiem lat – krzyknęła i wybuchnęła płaczem.

W kuchni, Sarah płakała, a matka pocieszała ją jak umiała. W gabinecie, doktor Ratkay palił fajkę i wzdychał, malując amulet dla córki Gregsonów, która była wystarczająco młoda, by wierzyć, że może on w jakiś sposób wyleczyć jej dziecko z białaczki. Na górze, ciotka Sophie pochylała się nad stołem do szycia, studiując wzór, w jaki ułożyły się rzucone przez nią monety, z miną pełną zdumienia, i jednocześnie urazy. Nie mogła uwierzyć w proroctwo, jakie z nich wyczytała.

Jet i Dante rozmawiali cicho w salonie, gdzie Dziadek Zegar rzucał swój miarowy, nieustanny czar, chroniący przed ciemną nocą i ulewnym deszczem. W jego szklanym sercu odbijało się czerwone światło ognia, który syczał i trzaskał w kominku. Dante z posępną miną poszturczał w nim mosiężnym pogrzebaczem. Ogień rozgorzał mocniej. Głodne płomienie buchnęły w górę i rozbłysły, otaczając niebieskimi strumieniami blade krawędzie nagiego drewna. Małe, czerwone języczki zostawiały w nim czarne ślady, spalały je, zużywały, obracały w węgielki i popioły.

–O czym myślisz? – zapytał Jet.

Dante zamrugał i pokręcił głową.

–O niczym. O wszystkim.

Kości ludzkiej dłoni; Jet zwijający ostrożnie bambusowe ściany ich fortu i chowający je w przystani; wierzba o pręgach sączących soki; ziemia spadająca z łopaty na jego twarz; biały worek oplatający mu nerkę i wątrobę.

Klonowe liście coraz mocniej płonące w miarę nadchodzenia zimy.

–Nocą ktoś się włamał do mojego mieszkania. Laura do mnie dzwoniła. – Potarł oczy zmęczonym gestem. – Gliny sądzą, że czegoś szukał.

–Co?! Ktoś przedostał się przez Karmazynowe Wstęgi Cytorraku i wdarł do Sanctum Sanctorum?! To musiał być sam baron Mordo!

Dante roześmiał się.

–Albo Straszliwy Dormammu!

Jego uśmiech zniknął powoli.

–Nie potrafię sobie wyobrazić, czego ktoś mógłby tam szukać. Nie mam nawet gramofonu.

Jet wzruszył ramionami.

–Może jakiś maniak pożądamy brzydkich, białych mebli.

–Nie pamiętam, by Laura kiedykolwiek tak się przestraszyła. Zapewne odmówiła nad zamkiem moich drzwi modlitwę albo coś w tym stylu.

–To niewątpliwie przypadek – stwierdził Jet.

–Słucham?

Popatrzył na Dantego, unosząc czarne, krzaczaste brwi.

–Ktoś włamał się do twojego mieszkania tej samej nocy, gdy odkryłeś własne zwłoki.

Dante z przygnębieniem zapatrzył się w ogień.

–Cholera jasna.

Czas mijał. Dante nalał sobie odrobinę whisky, na co miał ochotę przez cały dzień. Napełnił również kieliszek Jetowi. Nie znosił gorszych gatunków szkockiej, które eksplodowały mu w ustach niczym petardy, lecz glenlivet spływała gładko do przełyku, by wybuchnąć dopiero w piersi niczym bomba głębinowa, powodując, że przez całe ciało przemykały mu drobne fale.

–Hm... niezła. – Jet zadrżał i uśmiechnął się, zaglądając do kieliszka. – Wiesz, skąd się wzięło moje imię? To skrót od „jetsam”. Coś, co wyrzuciła na brzeg rzeka. To oczywiście pomysł ojca. Coś znalezionego w sitowiu.

–Mogło być gorzej – zauważył Dante. – Mogli cię nazwać Mojżesz.

Jego przybrany brat parsknął śmiechem.

Dante potarł skronie. Ze względu na jego nastroszone brwi, ten gest sprawił, że wyglądał teraz jak zmęczony szatan.

–Jet, za cholerę nie wiem, co robić dalej.

–Zastanówmy się.

Jet odstawił whisky, złączył palce w piramidkę i wydał wargi, przez co nabrał wyglądu pająkowatego Sherlocka Holmesa, który naznaczył sobie policzek tatuażem hinduskich marynarzy, by przeniknąć do palarni opium.

–Czy odkryliśmy już właściwą metodę anielstwa?

–My? – Dante bez entuzjazmu popatrzył na Jeta. – Tak, chyba odkryliśmy.

–I na czym ona polega?

–Trzeba dokładnie określić, która z możliwości jest najbardziej przerażająca, a potem ją wybrać – odparł markotnie Dante. – Coś takiego, jak gra w dwa ognie granatem albo zabawa w berka z tygrysem.

–Spotkanie się z Amalią Jensen.

–Zamknij się.

Jet uśmiechnął się głupkowato.

–A co ci pomoże w pracy? Chodzi mi o rekwizyty, a nie pomysły.

–Słucham?

–Jak to lustro na twojej komodzie. Przedmioty, w których jest magia.

–Aha. – Dante skinął głową. – No dobra. Obrączka Pendletona. Kość jego kciuka. Wierzba. Lustro na komodzie. Przynęta.

–Coś jeszcze?

–Nic nie przycho... Och. *Anatomia Graya* – dodał powoli. (Głos jego ojca: Sekcja to trzecia część sonaty: ciało; życie; reprzyza ciała).

Jet obrzucił go uważnym spojrzeniem.

–Zacząłeś myśleć. To dobrze. Coś jeszcze?

–Pewnie Dziadek Zegar. Ale on jest inny.

–Tak? A dlaczego?

–Nie jest straszny – wyjaśnił Dante. – Sam nie wiem. Po prostu jest inny. Bliższy... bliższy ośrodka wszechrzeczy.

Odłonił zęby, przelatykając kolejny łyk whisky, poczuł, jak spływa mu do przelatyku niczym dym, wypełnia żołądek, płuca i krew, kłębi się w komorach bijącego serca, zmniejszając napięcie w jego wnętrzu.

Anioł w jego brzuchu poruszył się.

Dante pomyślał, że ojciec Jeta siadywałby w tym salonie przed kominkiem. A Dziadek Zegar, ten drobiazgowy patolog, również życie Pendletona pokrajałby na plasterki grubości jednej sekundy. Każda sekunda była odbiciem wrośniętym w jego szklane szyby celem zbadania; jak na szkiełku mikroskopowym.

Nie ulegało wątpliwości, że się utopił. Obrączka i kość kciuka stanowiły niezbite dowody. Życie Pendletona, jego trwanie i ciągłość, skończyło się, gdy płuca mu wypełniła rzeczna woda. Co jednak z faktami, reprzyżą ciała: czy było możliwe, by Dante znał ich wystarczająco wiele, żeby odkryć prawdę o zmarłym? Zrekonstruować ją, tak jak paleontolog rekonstruuje tryb życia prehistorycznego człowieka na podstawie jednej żuchwy albo paru zębów?

–Znamy trochę ogólnych faktów na temat magii – stwierdził Jet. – Rytuał: rytuał pomaga.

–Nie ma liturgii przeznaczonych do czegoś takiego.

–Jeszcze nie ma. – Jet wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Coś wymyślisz. Ale odrobina powagi, odrobina prywatności... Gdzie byłoby najlepiej? W przystani?

–Nigdy w życiu – odrzekł Dante.

–Co masz przeciw niej? Stoi na uboczu i jest wystarczająco duża. Byłbym też skłonny przypuszczać, że sekcja zwiększyła nieco jej numen.

–Tam jest zimno i mokro – odparł Dante. – Nie chcę, żeby mi tyłek odmarzł. Będę się musiał skoncentrować – dodał z całą godnością, na jaką mógł się zdobyć.

Jet przychylił się do jego opinii.

–Niech będzie. A może w twoim pokoju? Na komodzie, przed lustrem.

Wzdłuż kręgosłupa Dantego prześliznął się wąż strachu.

–Tak, dobrze – odpowiedział z westchnieniem.

Jet spojrzał na Dziadka Zegara.

–Jeśli się pośpieszymy, może nam się uda zacząć o północy.

–O Boże, Jet, czy nie mógłbym się chociaż zdrzemnąć? Nie mogę skupić wzroku, a ręce wciąż mi drżą.

Jet pokręcił głową.

–Nie zapominaj, że masz ujrzyć wizje. Dlatego właśnie Indianie tak długo głodowali i powstrzymywali się od snu, aż bogowie zesłali im objawienie. Jeśli już o tym mowa, nie powinniśmy ci pozwolić zjeść kolacji.

Dante jęknął.

Skrył twarz w dłoniach i pozwolił, by sen dotknął go przez krótką, zachwycającą chwilę. Z żalem otworzył oczy.

–Nie zawiodę cię.

–Wiem.

–Na pewno myślisz, że... Diabli wiedzą, co właściwie myślisz. Ale cię nie zawiodę.

–Wiem.

Ujrzał, że Jet spogląda na niego ze spokojem i pewnością.

–Wiem. Oddałbym za ciebie życie, gdyby to było konieczne. A ty za mnie.

Dante dopił whisky.

–Mogę jeszcze mieć na to szansę.

Piętnaście minut później usiadł w swoim pokoju przed komodą, ściskając w dłoniach kubek gorącej herbaty z kory wierzbowej.

Zbliżała się północ. Było bardzo ciemno. Jedynym źródłem światła była, przechowywana na wypadek awarii, świeca, którą Jet zwinął z kuchni i umieścił u podstawy lustra. Przed Dantem, rozłożone na komodzie niczym instrumenty chirurgiczne, leżały obrączka i kość Pendletona, przynęta, *Anatomia Graya* oraz drugi pod względem wielkości skalpel doktora Ratkaya. Dotyk tych przedmiotów przerażał go nawet w jasnym świetle dnia. W bladym, migotliwym blasku świecy, ich zarysy stały się niewyraźne i bił od nich strach.

Sekrety dorosłych.

Nieczyste.

To, co znaleźli za stodołą. Co czekało w jego brzuchu. Ann-Marie Bissell, która uciekła do Miasta, kiedy miała dwanaście lat. Duane – mały chłopiec w gorącym pokoju, skrzypienie sprężyn, dłoń jego wujka.

Dotknięcie ich to śmierć. Poznanie ich to śmierć.

Odbita w lustrze twarz Dantego była blada i usiana plamkami. Próbował się uspokoić, lecz pierś miał skutą żelazną obręczą. Ledwo mógł oddychać.

Z płomienia świecy wylazł pająk i zaraz umknął w mrok.

Dante krzyknął. Strach stał się strzykawką lodowatej wody wbitym prosto w serce. Na

niekończącą się chwilę ogarnęło go całkowite odrętwienie.

Czy umarłem?

Czy umarłem?

Poczuł na ramieniu dłoń.

–Psst – szepnął Jet. – Psst. Wszystko w porządku. Wszystko gra. Wiedzieliśmy, że tak to będzie wyglądało.

–My? – syknął wściekle Dante. – Jacy my, do chuja pana?

Pod wpływem impulsu wyciągnął rękę i wepchnął obrączkę Pendletona na serdeczny palec. Pasowała.

Coś mu przebiegło po grzbiecie lewej dłoni.

Drżenie przeszło jego ciało niczym wólcznia. Zaciskał powieki i pięści, dopóki nie ustąpiło.

Po jakimś czasie przypomniał sobie o oddychaniu. Opary bijące z herbaty z kory wierzbowej były gorzkie niczym żal.

Oczyrna wyobraźni widział Obdartego Ze Skóry Człowieka z okładki *Anatomii* Graya. On nie miał już nic. Życia, miłości, nadziei ani żalu. Był tylko ciałem. Rozebrano go na części.

W ciemności namacał dłonią kość kciuka Pendletona. Trzymał ją przez długą chwilę, po czym, kierowany czymś, czego nie odważył się zbadać, wrzucił do kubka z herbatą.

Niech naciągnie.

Usłyszał ostry syk powietrza, które wciągnął w płuca Jet.

–Daj mi rękę – wychrypiał głosem zdławionym przez skurcz w gardle.

Jet zdjął dłoń z jego ramienia.

–Że co?

Dante uniósł skalpel.

–Chodzi o twoją historię, do cholery. Dawaj łapę!

Jet wyciągnął powoli prawą rękę. Drżała. Świetnie! Niech sukinsyn trochę pocierpi. Dante szybko przesunął po niej ostrzem. Cięcie było płytkie. Wzdłuż rany zebrały się kropelki krwi. Przechylił skaleczoną dłoń, i do herbaty wpadły trzy czerwone krople.

Odłożył skalpel.

–Możemy zaczynać – oznajmił.

Pierwszy, długi łyk Pendletona, by poznać jego ledwo uchwytny smak.

Dante instynktownie przejął kliniczną osobowość ojca. Wszedł w nią jak w fartuch chirurgiczny. Pasowała na niego idealnie. Choć nigdy jej nie używał, musiała zawsze kryć się w jego wnętrzu, czekając cierpliwie, aż zechce z niej skorzystać.

A więc: smak Pendletona spływający mu po języku. Sól i gorycz, i bardzo niewiele słodczy. To sól przyciągnęła do niego ciotkę Sophie, ten jego cierpki posmak. Próbując go ponownie, jakby wargami ciotki, Dante zauważył podobieństwo, mocniejsze dla jej smaku, pomiędzy Pendeltonem a ojcem ciotki Sophie. Ale dziadek Dantego (ten, któremu zawdzięczał nastroszone brwi) był żartownisiem, mędrcom, sztukmistrzem, który urodził się za wcześnie, by jego talent mógł w pełni rozkwitnąć. Kochał zdumienie i zachwyty, jakie wzbudzał u swego audytorium. W Pendletonie Dante wyczuwał rzadszy aromat; triumfu, wodzenia ludzi za nos. Był człowiekiem podejmującym umiarkowane, wykalkulowane ryzyko.

Dante usiadł, zaciskając powieki. Na palcu jednej dłoni miał obrączkę Pendletona, drugą dłoń zaś położył na *Anatomii* Graya, jak gdyby była to księga z czarnoksięskimi zaklęciami. Pociągnął jeszcze jeden łyk gorzkiej wody, która naciągnęła korą wierzbową i ludzkim kciukiem. Błęźnierstwo wsiąkało w niego jak olej w suche drewno. Pewna część jego świadomości, skulona z przerażenia za niewzruszoną, chirurgiczną maską ojca, czuła się równie przeklęta, jak pierwszy z upadłych aniołów. Jaki to obłąd tak nim zawładnął, że odwrócił się od łaski i pogрузzył w ciemności?

Miał jednak mało czasu, natomiast przeogromny przymus. Jego ostra jak stal inteligencja rozbłysła. Wbił to narzędzie we własną rodzinę i zaczął obierać ją ze skóry, nieustannie poszukując sprawy Pendletona, śledząc jej szlak niczym narastanie raka. Przez całe życie przestrzegał nakazu milczenia na pewne tematy, ignorował rany i blizny na ciele swej rodziny. Teraz musi zbadać te właśnie sprawy, których nauczył się nie dostrzegać. Jego przewodnikiem był własny strach, strach przed tajemnicami i sprawami, których lepiej nie wyciągać na światło dzienne. Rany odniesione przez rodzinę zamknął i zabliznił łyk.

Gdy tylko na niego natrafił, ciął.

W najcięższych niemocach najlepiej służą najdzielniejsze środki

Hipokrates

Jet odniósł wrażenie, że upłynęły wieki, odkąd zaczął obserwować Dantego, który – zagubiony w swym niezwykłym anielskim świecie – od czasu do czasu szeptał coś niezrozumiałego, jak człowiek mówiący przez sen. Chwilami oczy miał zamknięte, czasem jednak otwierał je szeroko, wpatrując się w płomień świecy bądź gapiąc na coś ukrytego głęboko wewnątrz lustra. Na jego twarzy malowały się najrozmaitsze uczucia: najczęściej strachu, niekiedy gniewu lub gorzkiego żalu czy niezdrowej ciekawości. Od czasu do czasu jego diabelskie brwi unosiły się w wyrazie zdumienia. Raz nawet się roześmiał. Jet poderwał się wtedy niczym zaskoczony kot.

Przez ponad godzinę ścisnął w dłoniach kubek, teraz jednak – czy dlatego, że wypił wszystko, czy też kierowany jakimś niepojętym impulsem – odstawił go powoli jak ślepiec i zaczął macać rękoma po komodzie, aż wreszcie jego palce dotknęły przynęty.

Przyjacielska partyjka.

Ktoś cicho zastukał do drzwi.

–Dante?

Przyszła Sarah.

Jet cicho nacisnął klamkę.

–Niespodzianka – wyszeptał.

–To znowu ty! Co jest grane?

–Anioł komunikuje się ze światem duchów.

Oślepiiony blaskiem świecy Jet mrugał przez chwilę, dopóki nie udało mu się dostrzec zarysu odzianej w piżamę Sarah, majaczącej w drzwiach niczym białe, flanelowe widmo.

–Co cię tu sprowadza, o nocna zjawo?

–Nie mogłam spać – odrzekła krótko. – Właściwie to spałam mocno, tylko nie mogłam znieść snów. Zeszłam na dół po gorące mleko i pomyślałam sobie, że zobaczę, czy ktoś jest jeszcze na nogach.

–„Ktoś” to znaczy Dante – mruknął z przekąsem Jet. – Wątpię, żebyś szukała mnie.

–Nie musisz być takim drażliwym sukinsynem.

Weszła do pokoju i popatrzyła na brata. Wydawało się, że Dante w ogóle ich nie zauważa.

–Co on trzyma w ręku?

–Przynętę wędkarską – wyjaśnił Jet. – Ona ma jakiś związek z historią Pendletona.

Oni dwaj za stołem, przyjaciel Jewel wciąż uśmiechnięty. Sama Jewel na łóżku, nie mająca na sobie nic poza jedną z jego koszul. Młoda, taka gładkoskóra i młoda – patrząc na nią czuł się jak pijany, na Boga; śmiech kipiał mu od tego w piersi. Ona również się wtedy śmiała i szturchała go bosą stopą. Z łóżka mogła go, z pewnym wysiłkiem, dosięgnąć. Na stole, obok talii kart, kieliszek jasnozłotego szampana. Bąbelki wznoszą się w górę niczym jego szczęście. Tak to wyglądało. Tak się czuł przed pierwszym rozdaniem.

–Pendleton, Pendleton – wyszeptał Jet. – Mój ojciec. – Obliznął delikatnie wargi. – To ciekawe. Nie sądzę, bym kiedykolwiek wypowiedział te dwa słowa w takiej właśnie kolejności.

–Co o nim wiesz? – wyszeptała Sarah.

–Zwiął – odrzekł bez ogródek Jet.

Podczas długiej, krępującej ciszy, jaka zapadła po tej odpowiedzi, przyglądali się, jak Dante lekko głaszcząc grzbiet przynęty palcami prawej dłoni. Wreszcie wziął ją w rękę i uniósł do oczu. Zawisła nad płomieniem świecy, pobrzękując lekko. Światło błyszczało na jej powierzchni i iskrzyło się w cienkich, wyposażonych w zadziory nogach.

Karty nieboszczyka. Asy i ósemki. To właśnie trzymał w dłoni Wild Bill Hickok, gdy zabito go strzałem w plecy. Powinno wystarczyć do wygranej, lecz gdy Pendleton podniósł powoli karty, z niewiadomego powodu przeszył go dreszcz. W pokoju było gorąco, lecz on czuł w swym wnętrzu chłód. Coś ściekało mu po paliczku, było jasnozłote; całkiem jakby wypacał z siebie znakomity szampan. Poczł się z tego powodu absolutnie trzeźwy. Twarz miał szarą jak popiół.

Co mogło mu grozić? Postawił swojego pierworodnego syna, no i co z tego? To nieznajomy dał się nabrać. Pendleton nie miał syna, którego mógłby przegrać.

I nie miał go mieć. Nie z Jewel.

Zdał sobie z tego nagłe sprawę, spoglądając na nią. Zawsze dostrzegał, jaka jest młoda, jaka gorąca i żywotna. Do tej chwili on również przy niej czuł się młody.

Ale nie teraz. Jego piękne czarne włosy były upstrzone pasmami siwizny. Starość tkwiła w jego brzuchu niczym zimny, szary kamień. Dostał karty nieboszczyka.

Opuściła go nagle odwaga, tak gwałtownie, że usłyszał trzask. Kiedyś miał jej mnóstwo. Posługiwał się Crowleyem jako podręcznikiem. Opanował jego triki dzięki niezliczonym godzinom ćwiczeń. Dzięki swej woli uczynił z iluzji dokładną naukę. „Czarodziej musi mieć odwagę” – tłumaczył często Jewel.

Nadęty przygłup.

Uśmiechała się wtedy tak samo, jak teraz, całkowicie dla niego niedościgniona. Zrobił z siebie czarodzieja, ale Jewel była anielicą. Jej pokolenie narodziło się w świecie pełnym cudów. Kiedyś mu wyznała, że rozmawiała ze swymi lalkami, a one jej odpowiadały. Nawet przez chwilę jej to nie dziwiło.

Jak bardzo rozbawiło ją jego zaskoczenie. Ileż to razy dostrzegał w jej oczach ów wyraz pogardliwej wesołości? Niezmiennie odpychał go wówczas od siebie, starał się go pochować, przyglądał siwiejące włosy i obiecywał, że nauczy ją niewiarygodnych cudów.

On miał ją uczyć? Stopiłaby go niczym wosk, gdyby zanadto się zbliżył.

Szturchnęła go bosą stopą i roześmiała się. Z pewnością wiedziała, że wszystko dla niego skończone. Odwaga go opuściła i Jewel musiała usłyszeć towarzyszący temu trzask.

Popatrzył na swe karty. Na czole perlił mu się zimny pot.

Asy i ósemki.

–Myślisz, że Dante naprawdę umrze? – spytała szeptem Sarah. – To znaczy, niedługo.

–Mam nadzieję, że nie. Dopiero co go pochowaliśmy. Byłoby z jego strony bardzo nieuprzejme, gdyby wykitował, gdy wciąż jeszcze mam na dłoniach pęcherze od łopaty.

–Nie rób sobie jaj, Jet. Nie w takiej sprawie.

Stali obok siebie, obserwując Dantego. Sarah poruszyła się niespokojnie.

–A co z tym kokonem larw?

–Może w jego prawdziwym ciele go nie ma. A nawet jeśli jest, do wczoraj nie wywoływał żadnych dolegliwości.

–Ale Dante jest przekonany, że umrze.

–Uciekał przed sobą trzydzieści lat – odparł Jet. – Teraz wreszcie ujrział swą prawdziwą twarz i robi w portki ze strachu. Jeśli nawet ma wrażenie, że umrze, to jeszcze nie znaczy, że tak się stanie.

–Może i znaczy, jeśli ktoś jest aniołem – zauważyła Sarah.

–To nie moja wina! – syknął Jet. – Niech to diabli, zmusiłem go, żeby się przyjrzał swojemu życiu, ale to jeszcze nie znaczy, że stworzyłem ten problem. On już istniał!

–Nikt cię nie obwinia.

–Całe życie tylko pije i się pieprzy, podczas gdy świat wokół niego wali się w gruzy, ale przy pierwszej oznace kłopotów wszyscy spoglądają na mnie. Ja jeden potrafię mu powiedzieć, żeby przestał się wygłupiać. Poinformować go, że życie nie jest bajką.

Bystre oczy Sarah przesunęły się na Dantego i z powrotem. Jet umknął wzrokiem od jej taksującego spojrzenia. Powoli skinęła głową.

–Rozumiem. Ty również robisz w portki ze strachu.

Spróbował więc chyłkiem zebrać resztki siły woli i rzucić słabe karciane zaklęcie, z którego ongiś był taki dumny. Potrzebował całych miesięcy, żeby się go nauczyć, setek godzin ćwiczeń, wizualizacji z kartami w dłoni, przerzucania stronik książek Crowleya, koncentrowania się, aż jego umysł stawał się wyżęty jak ścierka do naczyń. Nazwał tę sztuczkę Kartą Jewel. Gdy jej ją zademonstrował Jewel, ona się roześmiała.

Niemniej, ów trik już kilkakrotnie pomógł mu się wykaraskać z poważnych kłopotów. Dzięki niemu mógł kupić jasnozłoty szampan i zapłacić za ten gorący pokój w szpanerskim hotelu, jeśli już o tym mowa. Skupił się na kartach, które trzymał w lewej dłoni, na bezużytecznej czwórce trefl.

Miał rozpaczliwą nadzieję, że przyjaciel Jewel nic nie zauważy.

–Sprawdzam.

Życie odplynęło z jego lewej ręki niczym woda wyciekająca gwałtownie ze zlewu. Jego palce stały się zimne, szare i martwe. Dygoczący ze zmęczenia Pendleton położył powoli karty na stole.

-Ful - wyszeptał.

Zamiast dwóch par i czwórki trefl miał teraz dwie pary i asa karo. Kartę Jewel.

-Ful - powtórzył. – Asy na ósemkach.

–Potrafisz to sobie wyobrazić? – wyszeptał Jet. – Cała ciąża, wszystkie te nerwy, nadzieja i obrzydliwe niewygody, a potem poród, tak okropny, że wydaje ci się, iż umrzesz z bólu, i po co to wszystko? Po nic. Zabierają ci dziecko i zostawiają na jego miejsce takie... coś. Gorsze od upośledzonego, bo nie twoje. A twój mąż zniknął, jesteś na garnuszku u brata i wszyscy o tym wiedzą.

Dotknął motyla na swym policzku, przesunął cienkimi, białymi palcami po rombach rozpostartych skrzydeł.

–Wszyscy o tym wiedzą.

–Zamknij się – rzuciła Sarah.

–Zastanawiam się, dlaczego mnie nie udusiła.

–Jet!

–Albo nie wsadziła do worka i nie wyrzuciła do rzeki. Wiedziałaś, że z początku nie chcieli jej zostawić ze mną samej? Mogła jednak znaleźć okazję, ale nie zrobiła tego.

–Nadal byłeś jej dzieckiem – wyszeptała stłumionym głosem Sarah. – No wiesz, to się liczy. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo.

–Sam nie wiem. Czy byłem jej dzieckiem? – Jet pokręcił głową z dziwnie bezbronną miną. – Co się dzieje w czyimś sercu? Nie mam pojęcia. Obserwowałem was, ludzi, przez całe życie, i nadal nic o tym nie wiem. Doprowadzało mnie kiedyś do szaleństwa nieustanne zastanawianie się nad tym, co właściwie myślicie i czujecie. W końcu dałem sobie z tym spokój.

–Co za „nas”? – zapytała Sarah cierpkim głosem. – Znowu chcesz mi wcisnąć, że nie jesteś przedstawicielem gatunku ludzkiego? Jakie to męczące.

Jet uśmiechnął się półgębkiem.

–Jeśli ty czujesz się zmęczona, zastanów się, jak bardzo męczy to mnie.

–Liczą się uczynki, Jet. Bez względu na to, co czuła ciotka Sophie, nie udusiła cię. Mogła to zrobić, ale nie zrobiła. Cieszę się z tego – dodała ze skrępowaniem.

Jet roześmiał się cicho.

–Aha, pewnie faktycznie się cieszysz. Przynajmniej odrobinę. Przepraszam cię. Masz własne problemy. Nie musisz wysłuchiwać mojego narzekania.

–Właściwie to przyjemna odmiana, słyszeć, jak się użalasz – zauważyła Sarah. – Z reguły skarżysz się tylko na nas. Dzięki temu wydajesz się bardziej...

–Ludzki? – zapytał sucho Jet.

Jęknęła.

–O nie, Jet. O to nigdy bym cię nie posądziła.

Przez bardzo długą chwilę przyjaciel Jewel nie odezwał się ani słowem. Przenosił tylko wzrok z kart Pendletona na własne i z powrotem.

–Nieźle – stwierdził na koniec. Powoli, bardzo powoli, położył swoje karty na stole koszulkami do góry.

–Chyba już wystarczy, co? – wymamrotał Pendleton, zrywając się z miejsca. – Napijcie się jeszcze trochę szampana?

–Dwieście lat, tak? – zapytał przyjaciel Jewel. – Jestem ci winien dwieście lat życia.

Pendleton wzruszył ramionami.

–Nieważne.

Ręka mu drżała, gdy nalewał sobie następną szklaneczkę szampana. Przełknął go niczym wodę z lodem.

–Nie uważasz, że to wystarczy? – zapytała Jewel z drwiną w głosie. – Nie dasz rady wstać, a co dopiero tańczyć ze mną.

–M... może i masz rację - przyznał Pendleton. – A jakbyś tak poszła z...

–Albertem – zasugerowała Jewel, śmiejąc się radośnie. – Och, zdecydowanie z Albertem.

–Świetnie. J... jakbyś tak poszła z Albertem? Znajdę was później. Po... potrzeba mi tylko kilku minut, żeby przestało mi się kręcić w głowie.

Jąkał się, a przecież nigdy nie był bardziej trzeźwy, nie w ciągu tych sześciu miesięcy, odkąd ją poznał. Spokojny jak mogiła i trzeźwy jak trup.

–Nie... hm... nie przejmuj się stawką – dodał. – To była tylko przyjacielska partyjka.

Albert uśmiechnął się. Chłodno, jak rasowy tygrys.

–Nigdy nie zapominam o długach – wymruczał.

Gdy tylko zaczęli schodzić na dół, Pendleton przystąpił do pakowania. Wepchnął do walizki trochę ubrań, zostawiając złote spinki i elegancki kapelusz. Trzy książki Crowleya, których marginesy były gęsto pokryte notatkami, wepchnął do eleganckiego kominka i spryskał płynem ze złotej zapalniczki. Stanęły w ogniu jak skrzydła ciem.

Po dziesięciu minutach był już gotowy. Włożył długi płaszcz. Jego biały, jedwabny szalik był splamiony potem. Drzwiami, czy schodami ewakuacyjnymi? Nie bądź durniem, powtarzał sobie. Nie ma powodu do paniki. Na pewno są w sali balowej. Nawet jeśli cię zobaczy, to co z tego? Powiesz jej, że idziesz po papierosy.

Nie do windy, za duży tłok. Zejdź schodami; jeśli usłyszysz kroki, możesz się schować na półpiętrze.

Gdy wpychał piękne skórzane rękawiczki do kieszeni kaszmirowego płaszcza, jego wzrok padł na karty nieznanego, które wciąż leżały na stole koszulkami do góry.

Stanął jak sparaliżowany. Wyciągnął nagle rękę i odwrócił je.

Królewski strit. Nie kolor, ale pięciokartowy strit, najsilniejszy układ po fulu.

Serce zatłukło mu boleśnie w piersi.

Królewski strit. Zaczynający się od asa karo.

–Chryste! – zawołała Sarah, spoglądając na Dantego.

Jet odwrócił się nagle, podążając za jej wzrokiem.

Jego brat siedział przed lustrem, kołysząc się w przód i w tył. Oczy miał zamknięte, a wargi zaciśnięte, jakby cierpiał ból. Prawą dłoń zwinął w pięść na wyposażonej w zadziory przynęcie. Nie przestawał jej zaciskać, aż kostki mu zbieleły. Spomiędzy palców sączyła się krew.

–Karty nieboszczyka – wyszeptał.

Portret

Boże Narodzenie 1960.

To jest napisane na odwrocie zdjęcia, starannym, okrągłym pismem matki. Czarno-biała fotografia w nienajlepszym stanie. Wygląda jak odbielona: czerń poszarzała

już, a biały brzeg poźółkł. Choć nie ja zrobiłem to zdjęcie, jest jednym z najcenniejszych w mojej kolekcji.

Przed kominkiem stoją dwie pary: po lewej Gwen i Anton Ratkay, a po prawej ciotka Sophie i Pendleton. Obie kobiety są w ósmym miesiącu ciąży. Ustawily się w trzech czwartych profilu, z mężami po bokach. Ich brzuchy niemal się ze sobą stykają.

Uśmiech Antona Ratkaya nie wygląda naturalnie. Minęły dwa lata, odkąd ukończył medycynę. Pracuje jak szatan, by zdobyć pacjentów w okolicy, która woli mieć do czynienia ze starym doktorem Thompsonem. Ten jednak sposobi się już do przejścia na emeryturę, odstąpił więc ojcu część zadań. Po Nowym Roku całkowicie zrezygnuje z wykonywania sekcji.

Aż trudno uwierzyć, że matka była kiedyś taka ładna. Jej typowo szkocką twarz otacza ruda grzywka. Poranne mdłości, które miały ustąpić po pierwszym trymestrze, nadal się utrzymują, nawet po obiedzie, ale choć wokół oczu dostrzega się zmęczenie, jej twarz lśni inteligencją i rezolutną wesołością. Ma dwadzieścia sześć lat; inteligentna, ładna córka episkopalnego pastora. W ostateczności mogłaby zagrać Annę w „Perswazjach”, choć ciąża i pięć lat małżeństwa postarzyły ją za bardzo, by nadawała się do roli Elżbiety w „Dumie i uprzedzeniu”, po dziś dzień jej ulubionej książce.

Uśmiech ciotki Sophie jest promienny.

To boli.

Jest promienny, ponieważ ma trzydzieści sześć lat i zaszła w ciążę. Zbyt barwna, pełna ironii i ekscentryczna, jak na ten prowincjonalny okres amerykańskiej historii, pogodziła się już z myślą, że zostanie starą panną, gdy w jej życie wdarł się Pendleton, który oświadczył się jej w samym środku zmiany, gdy była zajęta mieszaniem koktajli w „Top Hat”. Jest sześć cali wyższa od matki. Podczas gdy Gwen ma na sobie biały fartuch z praktycznymi kieszeniami, Sophie wdziała fantazyjną szyfonową suknię o bufiastych rękawach, a na nią włożyła jedną ze swych węgierskich kamizelek, na której wyszyto gęstwinę olbrzymich kwiatów: fiołków, maków i róż. Trzyma w ręku papierosa, jak gangster, i uśmiecha się niczym gwiazda filmowa.

(Nie pal! – krzyczę w środku. – Ja tu jestem! Jak możesz podejmować takie ryzyko? – Ale ona oczywiście nie zdaje sobie z tego sprawy. To lekarz namówił ją, żeby zaczęła palić, „dla uspokojenia”. Ma zamiar otoczyć dziecko najlepszą jak tylko się da opieką, karmić je z najbardziej higienicznych butelek, zabrać je do Europy, żeby poszerzyć jego horyzonty. Nie posiada się z radości, że donosiła ciążę do ósmego miesiąca, i nigdy nie kwestionowała impulsu, który zabraniał jej wypytywać swe

monety o dziecko. Gdy myśli o przyszłości, niemal nie zauważa własnego niepokoju).

A Pendleton? Elegancki czterdziestoletni mężczyzna o nieskazitelnych włosach, ubrany w smoking. Anton w swej wełnianej kamizelce wygląda przy nim niechlujnie.

Czy tylko dzięki temu, co wiem, dostrzegam w jego oczach i niepewnym uśmiešku dręczący strach?

Co się wydarzyło?

Wiedział, że oszukiwał podczas gry w pokera z homunkulusem Jewel; wiedział, że tamten był tego świadomy; zdawał sobie sprawę, że przegrał swe pierworodne dziecko, jak więc mógł do tego dopuścić? Jak mógł wtedy stać u boku ciężarnej żony?

Podaję, że go nabrała. Ciotka Sophie nigdy nie pozwalała, by pragnienia innych stawały jej na drodze. Jakże łatwo mogła powiedzieć, że jest bezpłodna, ma przewiązane jajowody albo założoną spiralkę. Mężczyzna pragnie uniknąć zakładania prezerwatywy, co czyni go łatwowiernym w takich przypadkach.

Sophie promienieje. Jej uśmiech przykuwa uwagę. Nie sposób odwrócić od niego wzroku.

Nie znalazłem tego zdjęcia przez przypadek. Matka mi je podsunęła. Zastała mnie w salonie, na tydzień przed fatalnym Dniem Dziękczynienia. Dopiero co zwinąłem żaluzje fortu przed kolejną zimą.

–Wiem, że interesujesz się zdjęciami – odezwała się. – Właśnie robiłam porządki w swoich albumach i przyszło mi do głowy, że może chciałbyś przejrzeć niektóre z tych starszych.

Powiedziała to od niechcienia, lecz jej oczy miały dziwnie poważny wyraz. Zwróciłem na to wówczas uwagę.

Nie przypadkiem znalazłem to zdjęcie. Matka chciała, żebym je zobaczył i zaczął o nim myśleć.

Zastanawiam się, co nią kierowało? Czy owego dnia, zajęty dłubaniną w forcie, wyglądałem aż tak żałośnie? Wydawałem się aż tak samotny bez Dantego? Już od pewnego czasu zastanawiałem się nad swym miejscem w rodzinie. Sądziłem, że nie rzuca się to w oczy, ale Gwendolyn ma bystry wzrok. Niewiele umyka jej uwagi. To byłoby bardzo do niej podobne: zdradzić tajemnicę ukradkiem, robiąc przy tym jak najmniej hałasu. Całkiem jak jedna z dobrze wychowanych bohaterek ksiązek panny Austen.

Może mnie kocha.

W dzisiejszych czasach nawet cuda są możliwe.

Dante siedział przed lustrem. Krew z zaciśniętej pięści ściekała mu po rękę.

–O mój Boże! – krzyknęła Sarah, podbiegając do brata. – Dante! Dante! Nic ci nie jest? Przynieś miskę wody! – krzyknęła do Jeta.

–A jeżeli w ten sposób wszystko zepsujemy i będzie musiał zaczynać od nowa...

–Daj mi wodę i ręcznik, do cholery.

Jet przez dłuższą chwilę stał, dygocząc, po czym wybiegł bez słowa z pokoju. Sarah objęła dłońmi twarz brata.

–Dante? Dante, spójrz na mnie.

Zamrugał i pokręcił głową.

–S... Sarah?

Był oszołomiony, zmarszczył brwi i popatrzył na własną dłoń.

–O, kurwa! – wrzasnął, otwierając pięść. Przynęta zwisała mu z ręki. Jej haczyki wbiły się w dłoń i palce. – O, kurwa, wyciągnij to! Wyciągnij!

–Siedź spokojnie – warknęła Sarah, przyglądając się obrażeniom przez zmrużone powieki.

–Au!

Zatrzymała się na moment, nachyliła i pocałowała go szybko w czubek głowy.

–Idiota. – Westchnęła. – Nie oczekuj ode mnie współczucia – dodała, usuwając pierwszy haczyk. – Każdy, kto jest na tyle głupi, by zrobić coś podobnego, zasługuje na to, co go spotkało.

Dante przygryzł wargę, by nie jęczeć z bólu, gdy siostra wyjmowała zadziory z jego dłoni.

Gdy usunęła ostatni, wrywając go z ciała u podstawy kciuka, wrócił Jet z miednicą ciepłej wody oraz ścierką do naczyń.

–Matka mnie przyłapała – wymamrotał. – Powiedziałem jej, że jeszcze rozmawiamy. Odparła, że jest cholernie późno i jeśli chcemy sobie pogadać, możemy to, u licha,

robić w kuchni.

Sarah jęknęła, zanurzając dłoń Dantego w wodzie.

–Przynieś trochę spirytusu do nacierania, dobra? Chyba wciąż stoi w szafce z lekarstwami. Jeśli go nie znajdziesz, może być jakiś inny środek odkażający. Bóg jeden wie, gdzie była ta przynęta.

–W paszczy szczupaka – odparł Jet z uśmiechem, od którego zadrżał jego motyl. Weselość jednak ustąpiła miejsca niepewności, gdy ujrzał nagły wyraz zdumienia na twarzy Dantego.

–Hej, D. Na co się gapisz?

–Romby! Kara!

Wyciągnął dłoń, jak gdyby chciał przebiec nią po znamieniu wytrawionym na policzku Jeta. Skrzydła motyla tworzyła plątanina rombów. Sarah złapała Dantego za rękę i wsadziła ją z powrotem do wody.

–Homunkulus Jewel – wyszeptał Dante. – Jego znak.

Gdy Jet przyniósł spirytus, Sarah nasączyła nim rożek ścierki.

–Będzie szczypało – ostrzegła z pełną zawziętości satysfakcją.

Miała rację.

Gdy ranę już oczyszczono i Dantemu skończył się zapas przekleństw, zabandażowała mu zranioną dłoń. Następnie wymknęli się do kuchni, gdzie mogli porozmawiać, nie przeszkadzając starszym.

–Wszystkie te piski i jęki! – zwrócił się Jet do Dantego, który siedział ze skwaszoną miną. – Miałem wrażenie, że słyszę pudła pod maszyną do prasowania kaczek.

–A co byś powiedział na to, żeby ci sprasować gębę? – odwarknął Dante.

–Czy będziesz musiał zaczynać od nowa? – zapytała Sarah.

Popatrzył na nią pustym wzrokiem.

–Co?

–Jet mówił, że jeśli nie pozwolimy ci poharatać sobie dłoni, będziesz musiał wszystko powtórzyć.

Dante spojrział na brata bez entuzjazmu.

–Cóż za troskliwość.

–Nie można było tego wykluczyć.

Dantemu opadły ramiona.

–Aha. Aha, masz rację. Bóg jeden wie, że nie mam ochoty tam wracać.

Pot spływający mu po twarzy niczym lodowata woda, gdy nieznajomy popatrzył na swe karty. Szok, kiedy opuściła go odwaga, gdy po raz pierwszy od wielu lat ujrzał siebie wyraźnie i pojął, że nie jest już młody. Że nigdy już nie będzie młody.

Oczy Jewel, lśniące i twarde jak diamenty.

–Nie chcę tego powtarzać.

Otarł z czoła zimny pot. Skrzywił się, gdy jego dłoń przeszyły igielki bólu. Przed chwilą siedział przed lustrem, czytając plugawy dziennik życia kogoś innego. Czuł się stary i zdemoralizowany.

–Co właściwie robiłeś? – zapytała Sarah.

–To samo, co od... Boże, która godzina? Po trzeciej! – Dante jęknął. – Spać! Boże, muszę się trochę przespać.

Jeszcze pięć dni.

Poznał prawdę, poznał ją, do licha, ale jak mógł wszystko naprawić, kiedy w oczach mu się dwoiło?

Jeszcze pięć dni.

Westchnął.

–Chyba wiem już trochę więcej o tym, co spotkało Jeta. Trzeba teraz odszukać anielicę imieniem Jewel.

Najpierw jednak muszę się przespać, pomyślał nieco później, leżąc w łóżku. Jet i Sarah już sobie poszli. Koniecznie muszę się przespać.

Nakrył się poduszką. Jasne światło w pokoju nie pozwalało mu zasnąć, lecz również powstrzymywało go przed wrzeszczeniem ze strachu. Coś za coś.

Rano natychmiast wyruszą z Jetem na poszukiwania informacji o tej anielicy, Jewel.

W niedzielę nic nie będzie otwarte przed dziewiątą, więc przy odrobinie szczęścia będzie mógł pospać do wpół do ósmej. Zostanie mu jeszcze trochę ponad cztery i pół dnia.

Cztery i pół dnia.

–Śpij! Śpij, do cholery!

Zacisnął dłonie na poduszce i owinął ją sobie wokół uszu.

Nie mógł oddychać.

Usiadł z jękiem na łóżku i popatrzył przygnębiony na lustro nad komodą. Nie dostrzegł nic poza starym, marmurowym blatem, kilkoma plamami krwi, grubym, białym ogryzkiem świecy oraz odbiciem rozczochranego, łysiejącego, nerwowego wraka o podpuchniętych oczach, któremu przydałoby się golenie.

Jęknął raz jeszcze i powłókł się ku wyłącznikowi niczym zombie na kacu.

–Kit z tym – powiedział, gasząc światło. Czy jego wyobraźnia mogłaby stworzyć coś gorszego niż to, co już dziś widział?

Z łatwością.

Spróbował małego eksperymentu myślowego – wyobraził sobie tłustego pająka biegnącego po jego martwym gardle.

Też coś.

–Hura! – wymamrotał. Wreszcie udało mu się przepalić bezpiecznik grozy. Zwalił się z powrotem do łóżka.

Jeśli chodzi o wytropienie przyjaciela Jewel, mężczyzny, którego, żartując, nazwała Albertem, to mogło być trudniejsze. Jeśli nawet uda mu się ją odnaleźć, nie ma gwarancji, że nadal utrzymują ze sobą kontakt.

Może zdołają odnaleźć jego trop w hotelu. W mieście nie mogło być zbyt wiele aż tak eleganckich. Był pewien, że jeśli zobaczy ten apartament – albo podobny do niego – rozpozna go.

Tłumaczył sobie jednak, że upłynęło trzydzieści lat. Fajnie było mówić, że czas jest uwieczniony na szkiełkach mikroskopowych grubości jednej sekundy, w pełni zamiennych i tak dalej, niewykluczone jednak, że hotel został zburzony lub zmienił się nie do poznania. To samo mogło zresztą dotyczyć Alberta.

Skrzywił się z bólu, zaciskając powieki. Śpij! Śpij, ty idioto! Boże, czuję się jak

wczorajszy kotlet. Pewnie też tak smakuje. Uch. Pora pozbyć się tego fioła na punkcie anatomii. Życie to coś więcej niż mięsisty organizm.

Niewiele więcej. Nie twoje życie.

(- Dlaczego nie? – zapytał go Jet. – Już z nim prawie skończyłeś).

Jęknął i znów przewrócił się na drugi bok. Proszę bardzo. Proszę. Bardzo. Co robimy, kiedy musimy zasnąć? Kiedy musimy się odprężyć? – zadał sobie pytanie.

Z zawziętą determinacją złapał się za członek.

Zatrzepotał mu miękko w rękę. Najwyraźniej w śmiertelnej chorobie i chronicznym przerażeniu było coś, co tłumilo stare, dobre libido.

Fatalnie, pomyślał ze złością, nie przestając poruszać dłonią. To głupie ciało potrafi sprawić, że czuję głód i zmęczenie, niech więc się wykaże i w tej sytuacji.

Jest – pomyślał markotnie – wyczuwając pierwsze oznaki sztywności.

A teraz, kto? Gina z sąsiedniego laboratorium? Nie, ostatnio zbyt często. Stephanie? Nie, upłynęło za mało czasu, odkąd rzuciła mnie dla tego księgowego z brodą. Bezimienna, spragniona nauki czternastoletnia nimfomanka z końskim ogonem?

Skrzywił twarz, pomyślawszy mimo woli, jakby się czuł, gdyby ciągnęła mu lachę dziewczynka z aparatem ortodontycznym na zębach. Zdecydowanie nie. Poza tym, to zbyt niesmaczne.

Coś agresywnego, pobudzającego archaiczne instynkty gwałciciela? Zadrżał. Boże, nie. Nie w tej chwili. Nic perwersyjnego ani brutalnego. Nic, co dotykałoby mrocznych obszarów jego wnętrza. Czasami to było w porządku – ostatecznie od tego jest fantazja. Ale nie w tej chwili. Chryste, nie w tej chwili.

Laura.

Westchnął z ulgą. No pewnie, Laura.

Na dole coś zdecydowanie się poruszyło. Wszyscy, którzy są za wyobrażaniem sobie Laury, proszę unieść ręce.

Laura uśmiechnięta, z pociągłą, chińską twarzą okoloną krótką, czarną grzywką, nosząca dziwaczne, kołyszące się kolczyki w kształcie drapaczy chmur. Laura w kimonie – czy znano je też w Chinach, czy może to tylko japoński strój? – śmiejąca się do niego nad zastawą, która należała do jej babci. Jej gibkie ciało, spowite w

jedwab, podwójnie ekscytujące z uwagi na to, że znali się tak długo a mimo to nie spali ze sobą.

Laura pochylająca się – słyszałyby szelest materiału, widziałyby jej otwarte oczy – tak jest, patrzyłaby na niego z uśmiechem na twarzy. Nie zamknęłyby migdałowych oczu. Nie poczułaby się zażenowana kontaktem wzrokowym. Laura pochylająca się nad nim...

Oddychał już dość szybko. Łóżko pod nim użało się ze skrzypieniem...

Laura pochylająca się. Rozchylające się jedwabne klapy i odsłonięta mała, kołysząca się, smagła pierś. Dotknąłby jej koniuszka palcami...

o tak...

A podczas pocałunku jej wąskie usta uśmiechnęłyby się pod jego wargami, on zaś otoczyłby jej pierś dłonią i powiedział:

o...

i powiedział:

o! o! o!

Czy wyjdiesz za mnie?! Wyjdiesz za mnie?! Wyjdiesz!

Aaaaaach!

Och. Och. Oooch...

...Wreszcie, wreszcie, po trzech bezsennych dobach, pogrążał się w drzemce zwinięty pod kocami. Ciepły ciężar snu zalewał go ze wszystkich stron niczym rzeka. Pogrążał się, pogrążał, odpływał...

Wyjdiesz za mnie?

Człowiek, niczym światełko w nocy,

zapala się i gaśnie

Heraklit

Portret

To zdjęcie miało kluczowe znaczenie dla mojej kariery. Zdobyło pierwszą nagrodę w konkursie, co umożliwiło mi znalezienie stałego zajęcia w charakterze fotografa pracującego dla dwóch największych gazet w Mieście. Wiem też z całą pewnością, że kosztowało kogoś życie.

Wiele nocy spędzam poza domem, chodząc po Mieście, by oglądać je w czerni i bieli. Za dnia jest hałaśliwe i zatłoczone. Wygląda absurdalnie z milionami kłębiących się istot. Nocą, na czysto czarnym tle, rozgrywające się historie rysują się wyraźniej. Jego podstawowe elementy uwidaczniają się lepiej – śródmieście z jego kontynentami i kanionami; rzeka, wstążka lasu biegnąca przez serce Miasta, na której obszarze w kartonowych pudłach lub pod rozwieszonymi na drzewach plastikowymi workami mieszkają włóczędzy. Przypominające ogród Westwood, gdzie wille zasadzono w pełnych godności szeregach, a z każdego podjazdu kielkuje volvo. Peter Street i Scrubs – pustynie asfaltu i tłuczonego szkła.

Istnieje klasa pieszych tworzących swego rodzaju wspólnotę. Nie jesteśmy pijakami, włóczęgami, dziwkami, gliniarzami, księżmi, wracającymi z przyjęć ani pracującymi na nocną zmianę, a jedynie outsiderami. W rzadkich przypadkach, gdy się spotykamy, pozdrawiamy się ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy albo szybkim ukłonem. Każde z nas jednak strzeże swej samotności. Jesteśmy niewidzialni i nie sposób nas dotknąć.

W moim przypadku, potężną ochronę stanowi motyl. Wielokrotnie pozwalał mi odwiedzać okolice, w które żaden biały nie powinien się zapuszczać po zmierzchu. Talizmany, amulety-pamiątki, laleczki voodoo, piekielne znaki i Pięć Symboli; prawie wszystkie czarodziejskie przedmioty, które nie pochodzą z Chin, wywodzą się ze slumsów. Nie bez powodu slumsy stanowią kloakę wściekłości i strachu. Jątrzy się w nich magia. Policja i rząd wycofały się stamtąd, nie informując o tym nikogo, etap za etapem, rok za rokiem, i pozostawiły mieszkańców ich złym snom. W domach, wzniesionych w ramach programu Wielkiego Społeczeństwa Johnsona, straszy. Czai się tam śmiertelna groza. Nikt nie wie, ilu ludzi rocznie zabijają minotaury.

Widziałem, jak nastoletni chłopcy, którzy zastrzeliliby Dantego bez chwili zastanowienia, cofali się przede mną ze strachem w oczach, żegnając się jak

katolicy. W odległości jednej przecznicy od Peter Street, na jednej z moich regularnych tras, mieszka staruszka, która co noc zostawia trzy oliwki jako ofiarę dla mnie.

Zjadam je zawsze, gdy tamtędy przechodzę.

To właśnie w Scrubs zrobiłem pewnej nocy zdjęcie dwóch chłopaków. Jeden z nich klęczał, jako ofiara egzekucji, za zardzewiałym camaro, z czołem na jezdni i dłońmi splecionymi za szyją. Drugi stał za nim z pistoletem w dłoni, przyciskając wylot lufy do tyłu głowy ofiary.

Była trzecia nad ranem, gdy wyszedłem z za rogu i praktycznie nadziałem się na tę egzekucję. Wszyscy zamarli – ja, chłopak z pistoletem, pozostali członkowie gangu; wszyscy poza skazańcem, który nie przestał kląć po cichu.

–Kurwa.

Chłopak z pistoletem spoglądał na mnie z bezradną wściekłością, podobnie jak ja na niego. Mógł mieć z piętnaście lat.

Mógł mieć z piętnaście lat i było piekielnie niesprawiedliwe, że natrafiłem na niego akurat w tej chwili. Że musiał stawić czoło nawiedzeniu, kiedy miał na głowie inne sprawy.

Popatrzyłem na niego i nie znalazłem w nim nic ludzkiego.

Ktoś lepszy ode mnie mógłby coś w nim dostrzec, jakąś iskrę boskości, ja jednak widziałem tylko piętnastoletniego zabójcę, odrażającego, nienaturalnego potwora. Rozdeptałbym go jak skorpiona, gdybym mógł.

Ale ja tylko uniosłem aparat, nastawiłem ostrość i nacisnąłem spust. Robiłem, jedno za drugim, zdjęcie chłopaka stojącego z pistoletem w dłoni. Jedno za drugim, a jego tępy gniew narastał. Wpatrywał się we mnie ze skończoną nienawiścią, aż wreszcie zgiął palec i rozwalił ofierze czaszkę, strzelając raz za razem. Wpakował mu w głowę dziewięć nabojów, cały czas patrząc na mnie, patrząc na mnie, wiedząc, że go złapano, wiedząc, że jest już trupem i nic nie może na to poradzić.

Czuł, że zaniosę zdjęcia na policję, wsadzą go do więzienia i nie mógł nic na to poradzić. Byłem dla niego magicznym stworem, mniej ludzkim niż nieszczęśnik, którego mózg przed chwilą rozprysnął się na jezdni. Niczym więcej niż instrumentem jego losu.

Proces był szybki i paskudny. Kazali mi zeznawać. Oskarżenie wniosło, by sądzić chłopaka jako dorosłego, a obronie nie chciało się sprzeciwiać. Cała rozprawa trwała czterdzieści minut. Skazano go na dożywocie.

Usłyszałem później, że zginął w więzieniu. Każdego z nowych więźniów poddają serii prób, a on uzyskał zbyt wysoki wynik w teście na anielstwo. Rezultaty są, rzekomo, poufne, lecz więzienie to najstraszliwsze ze wszystkich miejsc – kiedy powstaje minotaur, nie ma dla niego różnicy między więźniami a przedstawicielami władzy. Dlatego wyniki testu na anielstwo zawsze przeciekają, broń w jakiś sposób trafia do rąk innego więźnia, a zabójcy nigdy nie udaje się schwytać.

Nazwałem to zdjęcie „Minotaury”.

Tyle że nie możemy za to winić magii. Mówią o niej teraz wszystkie nagłówki, niczym o modnej chorobie, ale to nie magia uniemożliwia zdobycie wykształcenia czarnym, Latynosom i biednej białej hołocie. To nie magia powoduje, że nie jesteśmy w stanie zaangażować się w utworzenie porządnych, przyzwoicie płatnych miejsc pracy. To nie magia sprawia, że czterech z pięciu czarnych chłopców wychowuje się bez ojców. Nie magia stworzyła gangi. Zrobiliśmy to sami.

To nie są odmieńcy, to nasze dzieci.

Czarno-białym zdjęciem skazałem jedno z nich na śmierć.

Jet spojrzał przez celownik aparatu niczym snajper i skierował go na pagodę, stojącą pośrodku sadzawki z karpiami za Kościołem Episkopalnym Dwunastu Snów. Obok niego, na ławce parkowej, siedział Dante, który ukrył zmęczoną głowę w dłoniach. Wpatrywał się w pokrytą dawno przekwitłymi lotosami i liliami wodnymi wodę o barwie gliny. Od czasu do czasu któraś z roślin drgała, gdy potrącała ją wielka ryba, poszukująca okruchów chleba.

Trzask. Aparat Jeta zafurkotał, przesuwając film.

–To był beznadziejny pomysł – stwierdził.

–Nabożeństwo zaraz się skończy – upierał się Dante. – Potem przyjdzie tu nakarmić karpie. Zawsze to robi w niedzielę rano.

–Byłeś tu z nią?

–Nie, ale jestem pewien, że tak mówiła.

–A co, jeśli jest za zimno? – Jet westchnął. – Posłuchaj, D., nie chcę być złośliwy, ale zgodnie z własnymi obliczeniami nie masz za dużo czasu...

–Jestem ci bardzo wdzięczny. Zdaję sobie z tego sprawę.

–Powinniśmy zrobić coś sensownego. Na przykład zadzwonić do Cechu Aniołów.

–No to zrób to! Na rogu jest automat. Zapytaj ich o Jewel. Bądź detektywem. Ale ja muszę pogadać z Laurą, dobra?

Jet jęknął.

–Jeśli mogę ci służyć przyjacielską radą, to nie sądzę, by podobne wyznanie zrobiło na niej szczególnie dobre wrażenie.

–A kto cię, kurwa, pytał? – warknął Dante.

Jet wzruszył ramionami. Dante odwrócił wzrok. Wydawało się, że jasno świecące słońce w ogóle nie dostarcza ciepła. W mętnej, szarej toni kłębiły się omeny. Lilie wodne drżały od ich dotyku.

Kościół Dwunastu Snów znajdował się na granicy między obskurnym właściwym śródmieściem a chińską dzielnicą, która stawała się bogata. We wzniesionych w latach czterdziestych i pięćdziesiątych domach z czerwonej cegły mieściły się sklepy zielarskie oraz papiernicze, spółdzielnia samopomocy, garstka piekarni oraz parę sklepów mięsnych, gdzie na wystawach wisiały sprasowane kaczkę. Miejscowe radiostacje ogłaszały się na wysokich tablicach, a tuż za kościelnym ogrodzeniem, z szeregiem zwiędłych, jesiennych bambusów, budynek „New China Times” w ciszy odpoczywał po trudach związanych z wydrukowaniem sobotniego dodatku handlowego.

Jet popatrzył na miejski krajobraz.

–Laura jest architektem, prawda? I to dobrym.

–Ehe.

–Zadawałeś sobie kiedyś pytanie, dlaczego mieszka w małej, taniej norze w twoim domu?

–Skąd, u licha, mam wiedzieć?

Jet wciąż się przyglądał zarysom wznoszących się wokół nich budynków.

–O to mi właśnie chodzi.

Dante spojrział na niego wilkiem.

Gong w budynku „China Times” obwieścił południe i strumień parafian wylał się z kościoła do ogrodu. Stare kobiety w poliestrowych spodniach zatrzymały się na schodach, żeby pogadać, a grupka dzieci pognęła krętymi ścieżkami w stronę górującej nad wodą małej pagody. Tam usiadły, kołysząc się na bambusowych

poręczach i waląc się nawzajem po plecach.

Laura zawsze się skarżyła, że skoro jedno z jej rodziców pochodziło z Szanghaju, a drugie z Kansas City, powinna się cechować wybitną, eurazjatycką urodą. Była jednak wysoka i pogodna, a jej ruchy nie były zbyt skoordynowane. W najlepszych chwilach udawało się jej osiągnąć wygląd „profesjonalny” w pracy, a „niedojrzały” w stroju wieczorowym.

Kiedy dostrzegła, że w kościelnym ogrodzie czeka na nią Dante, zatrzymała się i wybałuszyła oczy niczym zdumiona marionetka, uśmiechająca się i pociągająca za prostą, czarną grzywkę w parodii zaskoczenia. Miała na sobie czarną skórzaną kurtkę lotniczą, niebieskie džinsy oraz czarny golf, a do tego srebrne kolczyki o kształcie Chrysler Tower – długie na cal kopie sławnego drapacza chmur zbudowanego w stylu art deco. W dłoni trzymała brązową papierową torbę, był w niej z pewnością chleb dla karpi. Oczy miała chińskie, szczęki z Kansas, a twarz raczej wyrazistą niż piękną. Zrobiła typową dla siebie minę babuni, spoglądając na Dantego nad oprawkami małych, okrągłych okularów.

–Jesteś taki... biały!

Wydęła szerokie wargi w wyrazie lekkiego zaniepokojenia, spoglądając na spacerujące po ogrodzie rodziny. Było wśród nich, rzecz jasna, sporo mieszanych, lecz Dante, nie wiadomo dlaczego, poczuł się straszliwie wysoki, blady i węgierski.

–Cóż może zapowiadać ten omen o rybiej twarzy?

Zajrzała zaniepokojona do torebki, jakby chciała skonsultować się z wyrocznią, po czym rzuciła Dantemu okruch chleba nerwowym, babcinym ruchem.

–Obserwuję tubylców – wyjaśnił. Zwykle wymienianie z nią żartów było dla niego najłatwiejszą rzeczą na świecie, teraz jednak potrzebował całego swego obycia, by stać w ogrodzie Kościoła Episkopalnego Dwunastu Snów niczym poważna, łysiejaca, rudowłosa ryba.

Laura roześmiała się.

–Co cię tu sprowadza, poganinie? Czy w tłumie wiernych poszukujesz podejrzanych o włamanie? – Skierowała bystre spojrzenie na Jeta, który wciąż siedział na ławce nad wodą. – Cześć, Jet! Dawno się nie widzieliśmy.

–Chciałem się z tobą zobaczyć – powiedział ze skrępowaniem Dante.

–Cały długi weekend z rodziną to zbyt wiele, co?

Roześmiał się nerwowo.

–Chyba tak. Nie mogę się ich pozbyć – dodał, wskazując głową w stronę ławki.

Uśmiechnęła się, spoglądając z zaciekawieniem to na jednego, to na drugiego z braci.

–Hej, Jet, ty też jesteś ateistą?

–Obawiam się, że tak – odpowiedział jej ze śmiechem.

–Jakie to osobliwe! Poza Dantem nie znam ani jednego, który byłby w moim wieku. No wiesz, większość z nich to staruszkowie. Po wojnie trudno było utrzymać niewiarę.

–To zasługa mojego ojca – wyjaśnił Dante. – Chodzi o etykę czy coś takiego.

–Sarah odłącza się od trzódki – zauważył Jet. – Czasem przyłapuję ją, jak dotyka swojej kamei na szczęście. Szuka dobrego Boga, który byłby do kupienia za umiarkowaną cenę.

Dante poderwał się. Chciał go zapytać: Jesteś pewien?". Jet jednak z pewnością wiedział, co mówi. Zawsze był świetnie zorientowany w podobnych sprawach.

A Dante nigdy.

Jet wyszczerzył zęby.

–Ale Dante i ja nie ustajemy w walce. Ostatni akolici ginącej niewiary.

Laura odwzajemniła jego uśmiech.

–Przyszliście tu zburzyć świątynię, czy chcecie tylko popробować nawracać nieniewiernych?

–Nic z tych rzeczy – odparł Jet. – Właściwie, to potrzebna mu twoja pomoc.

Laura zmarszczyła brwi.

–Czy chodzi o następną dziewczynę, którą mam poinformować o tajemniczej chorobie? – zapytała. – Jeśli tak, możesz o tym zapomnieć. Nie będę już opowiadać podobnych pierdoł, chyba że wymyślisz jakąś lepszą historyjkę. No wiesz, na koniec musiałam jej powiedzieć, że pod wpływem urazu zostałeś impotentem.

–Impotentem!

–Potrzebny mu ktoś, kto mówi po chińsku – wtrącił gładko Jet.

Zamrugnęła, wsadziła rękę do torebki i rzuciła garść okruchów do sadzawki o barwie gliny.

–A po co?

–Chodzi o aniołów.

–Oho! – Laura uniosła brwi, spoglądając na Dantego z zainteresowaniem. – Nie sądziłam, że zdecydujesz się wreszcie na skok do basenu.

–Popchnięto mnie – odparł markotnie Dante.

Popatrzyła na niego z nagłym niepokojem.

–Ojej. Kiedy ostatnio byłeś u lekarza?

–Czemu pytasz? Wyglądam na chorego?

–Hm, nie, ale ta anielica, która przyszła z gliniarzami, pytała mnie o to. Myślała, że wybierasz się na operację albo coś... – Laura urwała, widząc, że Dante pobladł.

Bracia wymienili przeciągłe spojrzenia, po czym Jet wybuchnął śmiechem.

Sukinsyn, pomyślał Dante. Proszę bardzo.

–Posłuchaj, Lauro, jest coś, co muszę ci powiedzieć najpierw.

Wyciągnął ręce i ujął w nie dłonie Laury. W idealnej sytuacji, kobieta, którą kochasz, rozplywa się w takiej chwili w twoich ramionach, gotowa wysłuchać twego wyznania.

Zamarła, ostrożna i bez uśmiechu.

Dantego zabolęło serce, gdy ujrzał, że się cofnęła. Rumieniec na jego twarzy pogłębił się. Chryste, już zaczęłaś umierać, powiedział sobie gwałtownie. Okaż odrobinę panowania nad sobą.

–Wysłuchaj mnie, Lauro, naprawdę trudno jest to wytłumaczyć, ale sądzę, że niedługo umrę – bardzo niedługo – i po prostu muszę ci powiedzieć, że cię kocham. Kochałem cię już od dawna, tylko byłem za głupi, żeby to zrozumieć. Wiem, że to właściwie nie ma już znaczenia, ale musiałem ci to wyznać. Przepraszam.

Lilie wodne zadrżały i zakołysały się na powierzchni. Kawałki unoszącego się na niej chleba znikwały jeden za drugim w głębi stawu, jak gdyby porywały je niewidzialne dłonie.

–Umrzesz? – Cofnęła się gniewnie od niego. – Co to, do licha, ma znaczyć?

–Umrze. Zejdzie. Zgaśnie. Wyzionie ducha – pośpieszył z pomocą Jet. – Dokona żywota. Odejdzie.

–Tro... trochę trudno to wytłumaczyć – wyjąkał Dante.

–To nie tłumacz! – krzyknęła. Odwróciła się i zaczęła odchodzić. – Boże, jeśli to ma być żałobna mowa samobójcza, mam nadzieję, kurwa mać, że nie oczekujesz ode mnie współczucia.

–Zaśnie na wieki. Opuści ten świat. – Jet wpatrywał się w staw. – Mam wrażenie, że mój tekst brzmi: „A nie mówiłem”.

–Zamknij się.

Dante pognał za Laurą.

**–Nie, posłuchaj, nie chodzi o samobójstwo – przemawiał do tyłu jej skórzanej kurtki.
– To raczej, hmm, medyczna sprawa. Rak.**

–To najtańsza ze wszystkich tanich, uwodzicielskich sztuczek – warknęła, maszerując wąską zwirową ścieżką, jakby jej nawierzchnia była twarzą Dantego: chrzęst, chrzęst, chrzęst. – Nie mogę sobie wyobrazić, liczyłeś na to, że ci się ze mną uda. Znam twoje teksty, ty gówniarzu. Jeśli chciałabym używać do dekoracji zużytych prezerwatyw, to to, co wyrzucasz do śmieci, wystarczyłoby, żeby ozdobić Empire State Building.

–To nieuczciwe – odrzekł rozgniewany Dante, łapiąc ją za ramię. – To ja, Dante. Wiesz, że nigdy nie próbowałbym cię poderwać.

(Jet skrzywił twarz. Fenomenalnie, D. Tym tekstem z pewnością zdobędziesz przyjaźń każdej kobiety).

–Nie dotykaj mnie – prychnęła. Odwróciła się i strąciła z ramienia rękę Dantego tak gwałtownie, że zeszywniała mu od łokcia w dół.

Poniewczasie przypomniał sobie, że Laura chodzi na jakieś kursy sztuki walki.

Do tego była to prawa ręka – zakończona zabandażowaną dłonią, w której niedawno ścisnął przynętę. Au, au, au, wróciło mu w niej czucie.

Nie poprawiło to jego stanu.

Zatrzymali się, spoglądając na siebie wściekle. Taktowne, chińskie pary omijały ich z obu stron niczym woda opływająca skałę.

–Chyba złamałaś mi rękę – wymamrotał.

–Nie bądź beksą.

Patrzyli na siebie jeszcze przez chwilę.

–Chryste, Dante. Co niby powinnam zrobić? – zapytała wreszcie Laura, nim odwróciła się i ruszyła przed siebie. – Zemdleć? Paść ci w ramiona i wyznać skrywaną namiętność?

–Poszukać łubków? – zasugerował Dante, uśmiechając się półgębkiem.

Przygryzła wargę, by powstrzymać uśmiech.

–Boli? – zapytała, ściskając jego przedramię.

Pisnął.

–Trochę – wydyszał.

–Beksa.

Zatrzymała się i wychyliła, z pięściami wepchniętymi w kieszenie kurtki, nad sadzawkę.

–Chryste, Dante, prawie mnie nie znasz.

–Codzienne wspólne picie herbaty się nie liczy, hę?

–Opowiadanie dziewczynie o pieprzeniu się z innymi dziewczynami nie wystarczy, by poznać jej serce.

–To niesprawiedliwe.

–Niesprawiedliwe? – zapytała ostrym tonem. – To ciekawe. Powiedz mi, dokąd teraz idę, hę?

Zamrugnął powiekami.

–Hm, nie wiem. Pewnie do domu.

–Dokąd jeżdżę w każdą niedzielę po kościele?

–W każdą niedzielę? No, nie...

–W każdą niedzielę – powtórzyła z goryczą. – Tak jest, w każdą pierdoloną niedzielę po kościele. Dokąd jeżdżę, co? Dokąd?

Spoglądał na nią bezradnie.

–Dokąd, do cholery!

Odwróciła się z niesmakiem.

–Powiedziałem ci, że nie wiem – rzekł cicho. – Chciałbym to wiedzieć, ale nie wiem. Chciałbym naprawić wiele błędów, ale nie mam czasu...

–Nie opowiadaj mi takich głupot – ostrzegła go.

–Nie mam już czasu. Jezu, Lauro... Niczego... Niczego od ciebie nie żądam. Na nic nie liczę. Chciałem tylko powiedzieć, co czuję.

–To tanie. Po co, do cholery, mi to mówiłeś? Dlaczego po prostu sobie nie umarłeś i nie przysłałeś zaproszenia na pogrzeb? Po co to było?

Dante westchnął.

–To właśnie radził mi Jet.

–Trzeba go było posłuchać.

Jeśli nadal będę to słyszał, to się wkurzę, pomyślał.

–Dobra, zrobiłem z siebie głęba i zepsułem ci dzień, ale, kurde, zostały mi cztery dni życia. Mam chyba prawo do odrobiny urazy.

Spoglądała na niego wilkiem przez dłuższą chwilę.

–Nie wspominając już o strachu, gniewie, próbie wyparcia i targowania się – dodała.

Zachichotali.

–O Boże, nie śmieję się, to zbyt okropne – wyszeptała. – Boże, jak mogę żartować?

–Moja matka powiedziałaby, że to jedyna możliwa reakcja.

–Założę się, że teraz się nie śmieje.

–Jeszcze jej nic nie powiedziałem.

Wyciągnął rękę, by ująć dłoń Laury. Jego posiniaczone ramię przeszył gwałtowny ból, co sprawiło, że zmienił zamiar.

–Zabierz mnie ze sobą – poprosił.

–Słucham?

–To jest targowanie się – wyjaśnił pośpiesznie. – Następuje po wyparciu, a przed akceptacją. Zabierz mnie tam, gdzie jeździsz w każdą niedzielę po kościele.

Cztery i pół dnia. Wiem, wiem, niech to diabli. Ale to jedna z tych spraw, które powinienem uporządkować, prawda?

–Myślałam, że potrzebna ci moja pomoc w jakimś anielskim interesie. Znajomość chińskiego.

Dogonił ich Jet.

–I fakt, że jesteś stryjeczną wnuczką Chen Dai Feia – dorzucił.

Dante niecierpliwie pokręcił głową.

–To wszystko może poczekać. Najpierw zabierz mnie ze sobą.

Pokręciła głową z niedowierzaniem. Drapacze chmur zawirowały jak szalone. Po policzkach spłynęły jej łzy. Otarła je gniewnie.

–To nie był szczególnie gładki podryw, ty sukinsynu.

Nigdy dotąd nie widział, żeby płakała.

–Hej – powiedział cicho. – Ale skuteczny, co?

Jechali odwiedzić matkę Laury.

–Dom to maszyna do mieszkania. Tak powiedział Le Corbusier.

Prowadziła swój mały elegant vehicles wąskimi uliczkami chińskiej dzielnicy, kierując się ku trasie wylotowej. Dante siedział obok niej, pocierając ukradkiem posiniaczone prawe ramię. Jet zmył się taktownie. Miał się z nimi spotkać później, w mieszkaniu Dantego.

Gdy mknęli przez śródmieście, wskazała ręką na otaczające ich biurowce.

–Maszyny do mieszkania. Makabryczne, prawda? Chen Dai Fei mawiał, że budynek jest jak suknia nierządniczy. Ekspozuje silne strony i ukrywa słabe. Znasz takie stare powiedzenie, że to kobieta powinna nosić suknię, a nie suknia kobietę? Z architekturą jest tak samo. Dom musi sprawiać, by jego mieszkańcy czuli się piękni i pogodni. Wszystko to kwestia hierarchii wartości: czy dopasowuje się ludzi do maszyn, czy maszyny do ludzi?

Budynek Chryslera – kropla w stylu art deco wisząca obok jej policzka – zawirował, gdy spojrzała na Dantego.

–Kapuiesz?

–Hm, chyba tak.

–To mój stryjeczny dziadek wymyślił wielki symbol – zburzenie Muru i wybrukowanie uzyskanymi z niego kamieniami Wschodniej Bramy Dozwolonego Miasta oraz Krętej Drogi. Dlatego właśnie tata wyruszył w świat z pierwszą falą urbanistów.

Dante zmarszczył brwi.

–Dlaczego chciał wyjechać z idealnego miasta?

–Nie chciał. – Wzruszyła ramionami. – Ale Chinom potrzebny był eksport. Kraj chciał zademonstrować światu swe talenty i naprawdę bardzo potrzebował twardej zachodniej waluty. Stryjek Chen kazał mu wyjechać, a on, jako dobry bratanek, posłuchał. Był rok 1961. Dozwolone Miasto funkcjonowało już od trzech lat. Wystarczająco długo, żeby osiągnąć rezultaty, których mandarynat potrzebował, by dowieść światu słuszności tej idei. Statystyki dotyczące produktywności i przestępczości. Właściwie był to tylko dodatek. Wystarczyło, żeby zaprosili gości i pozwolili im tam pomieszkać przez tydzień czy dwa. Spotkać się z ludźmi. Pochodzić po ogrodach. – Wzruszyła ramionami. – To zniszczyło ojca. Przyjazd tutaj. Tyle się napracował, a potem musiał opuścić idealne miasto i zamieszkać w podobnej okolicy.

Wskazała ręką na otaczający ich pstrokaty zestaw drapaczy chmur, butików, bluesowych pubów i sex-shopów.

–To tak, jak wygnanie z raj.

–Aha. – Roześmiała się. – Oczywiście Amerykanie za cholerę nie zamierzali pozwolić, żeby żółtki wybudowały idealne miasto przed nimi! Pamiętaj, że to były czasy Kennedy'ego i Johnsona. Wielkie Społeczeństwo. Ale gdy tylko spróbowali zaprojektować własne, zrobili to na planie szachownicy, który zachwyciłby Le Corbusiera. Luksusowe więzienie, jak mawiał ojciec. Całkiem jak fabryki Henry'ego Forda; typowa dla Amerykanów metoda, to kazać ludziom przystosować się do maszyn. Dozwolone Miasto dowiodło, że szczęśliwy robotnik jest bez porównania bardziej produktywny. Do tej pory jedynie lewicowo-liberalni socjologowie przejmowali się tym, czy dobrym pomysłem jest traktowanie ludzi jak łożyska kulkowe. Ale, widzisz, magia wzięła Amerykanów z zaskoczenia. Ameryka była wielkim imperium Wieku Rozumu. Po prostu nie potrafią tu właściwie wykorzystać aniołów. W Chinach od tysiącleci pomagano sobie feng shui przy projektowaniu

domów i ogrodów. W tamtejszym społeczeństwie magowie już przedtem mieli ściśle określone miejsce i im silniejsza stawała się magia, tym lepszy robiono z nich użytek.

–Dlatego to dobrze, że znasz chiński – stwierdził Dante, starając się pozbiierać myśli.

Skinęła głową.

–A jeszcze lepiej, że jestem spokrewniona z jednym z członków wewnętrznego kręgu Dozwolonego Miasta. Wśród aniołów panuje moda na chińszczyznę. – Ponownie spojrzała na Dantego. – Nie chodzi o to, że chińscy aniołowie są potężniejsi od innych. Są tylko mniej zmarginalizowani. Mają miejsce w społeczeństwie, pełnią w nim jakąś funkcję.

–Zamiast przesrywać życie bez sensu – rzucił z przekąsem Dante.

Wzruszyła ramionami.

–Ty to powiedziałaś, nie ja.

Była to jednak prawda. To kolejny powód, dla którego nigdy nie próbował poderwać Laury. Nie chodziło o to, że obawiał się zbliżenia z nią, lecz o to, że wiedział, iż nie będzie zainteresowana. Tak wyglądała gorzka rzeczywistość, uświadomił sobie. Jako przyjaciel, staruszek Dante mógł być całkiem zabawny. Ale jako mąż, facet, który nie ma nasrane w głowie, facet na którym można polegać?

Któremu powierzyłabyś wychowanie swych dzieci?

Bez wygłupów. Laura nigdy nawet by nie pomyślała o związaniu się z mężczyzną mającym tyle poczucia kierunku, co motyl.

Ta myśl sprawiła, że zacisnął powieki, czując do siebie wstręt. Dzieląca ich dwoje przepaść nigdy nie wydawała się większa niż teraz.

Laura ma dobry zawód i wizję własnej przyszłości. Może się przysłużyć społeczeństwu. A jedyną rzeczą, którą ja mogę dać, jest siedmifuntowy worek białego jedwabiu, zżerający moje narządy wewnętrzne, pomyślał z goryczą.

Laura skręciła w wysypaną żwirem drogę, wiodącą do małego parku obsadzonego wiecznie zielonymi drzewami, pogodnego i pięknego jak cmentarz. Nigdy nie widział, by jej twarz była tak opanowana i pozbawiona wyrazu.

–Witaj w Domu Opieki „Siedem Cedrów” – powiedziała. – Matka jest w środku.

–Dom starców stanowi dla architekta interesujące wyzwanie – zauważyła Laura,

podpisując się w recepcji. – „Płynne przejścia” są w porządku, ale tutaj nie można oddzielać od siebie poszczególnych obszarów przez różnicę poziomów.

Dante uniósł brwi.

–Złamana szyjki kości udowej – wyjaśniła zwięźle. – Wszelkie schody czy rampy zmieniłyby ten budynek w maszynę do umierania. W jeszcze większym stopniu niż jest nią w tej chwili.

Poprowadziła go szerokim, krętym głównym korytarzem z recepcji (przyjemnego atrium rozświetlonego dziennym światłem).

–To jedna z metod – stwierdziła. – Sale odchodzą od centralnej arterii, która rozszerza się, tworząc hol, a potem zakręca. Budynek zmienia się przez to w labirynt, ale za to każdy mały zestaw pokoi zapewnia większą prywatność, bez konieczności wprowadzania ciężkich drzwi czy niebezpiecznych stopni.

Zatrzymała się i tupnęła stopą w podłogę.

–Dywan robiony na zamówienie – stwierdziła.

Gdy Dante mu się przyjrzał, zobaczył, że wzór jest dziwny – na zewnątrz dwa intensywnie brązowe szlaczki, a w środku szeroki złoty pas.

–Rzecz jasna, dywan lepiej amortyzuje upadek niż kafelki, ale musi być wyjątkowo płaski, żeby w najmniejszym stopniu nie utrudniał chodzenia. Zestaw kolorów ma maksymalizować kontrast, co ułatwia życie ludziom, których wzrok szwankuje. Trzymając się złotego pasa, unikają obijania się o ściany. Nieodpowiedni poziom kontrastu przestraszyłby ich. Gdyby centralny pas był naprawdę ciemny, mieliby wrażenie, że znajdują się w rowie, a gdyby był zbyt jasny, wydawałoby im się, że balansują na krawędzi.

Jakaś staruszka mijiała ich truchtem, jakby uczestniczyła w niekończącym się maratonie. Dante pomyślał, że jest chuda. Przerażliwie chuda i wyniszczona.

Przypomniawszy sobie ten sam wyraz na twarzy babci, gdy leżała w swym ciemnym pokoju pod wielką narzutą, tą, która cała była wyszyta w ogromne maki. W pomieszczeniu unosiła się woń kurzu i lakieru do włosów. Babcia również pachniała inaczej – już nie czosnkiem, papryką i porto, ale raczej moczem i zwiędłymi kwiatami. W ogóle nie patrzyła na Dantego, który stał obok łóżka, lecz jej stare, chude palce bawiły się mankietem jego koszuli. Pocięrały go, pociągały za niego i przesuwały między opuszkami, aż wreszcie chłopak uciekł od niej, jak gdyby była czarownicą z bajki. Wybiegł na dwór, pognął ku rzece, usiadł na molo ze zwieszonymi nogami i rozplakał się.

Jet został. Dante zanadto się przestraszył, ale Jet został aż do samego końca, do tajemniczej chwili, gdy świece zgasły i ostatnia wstęga dymu wzbiła się pod sufit.

Staruszka z domu opieki przemknęła obok nich z mamrotaniem. Prawą dłonią nieustannie szarpała kołnierzyk bluzki bezmyślnym, mechanicznym ruchem, z którego najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy. Dante zadrżał.

–Dlaczego to robią?

–Starają się coś wymacać – wyjaśniła Laura. – Zmysł dotyku też na starość szwankuje. Nie wiedziałeś o tym? To jest pani Clithe. Nie potrafi już wyczuć sztucców. Nie pamięta, do czego służy łyżka, widelec czy nóż. Personel robi, co może, ale ona ostatnio nie je zbyt dużo. W kółko biega po korytarzach. Mówią, że rocznie zużywa trzy pary trampków.

–Jezu.

Popatrzył na Laurę. Jej twarz nadal była nieruchoma i nic nie wyrażała.

Zajrzawszy przez otwarte drzwi jednego z apartamentów, Dante zobaczył staruszkę, który leżał na łóżku zasłuchany w głosy dobiegające z niewidocznego telewizora. Przypięto go do pościeli dwoma zapinanymi na rzepy pasami, przypominającymi pasy bezpieczeństwa w samochodzie.

–To pan Silverstein. Lubił stąd zwiewać – wyjaśniła Laura. – Personel spędzał pół dnia, szukając go po terenie.

–I dlatego go przywiązali?

Pokręciła głową.

–Płacą im za to, żeby go ganił. Ale jego stan za bardzo się już pogorszył. Przez większość czasu jest agresywny. Dla niego jest teraz rok 1944. Nie jest pewien, gdzie się znajduje, ale wie, że jest tu uwięziony. Personel to naziści, którzy zagazowali resztę jego rodziny. Czekają, kiedy zaczną go torturować.

–Paranoja.

Wydęła wargi.

–To najlepsza i najbardziej logiczna teoria, jaką potrafił stworzyć, Dante. Jak inaczej wyjaśnić, dlaczego dwudziestoczteroletniego Żyda z Warszawy przywiązano do łóżka w domu, w którym wszyscy poza nim są starzy, słabi i bezużyteczni?

Czas przypomina zestaw szkiełek mikroskopowych, pomyślał Dante. Zostało ich

jednak tylko kilka, a reszta to kupa potłuczonego szkła. Jak zbudować życie wokół paru chwil i garstki faktów?

Jak wskrzesić człowieka na podstawie kości kciuka i wyblakłej fotografii?

–To dlatego mieszkasz w tym samym domu co ja, prawda? – zapytał cicho. Omiótł spojrzeniem robiony na zamówienie dywan i piękny park, widoczny za szerokimi oknami każdego z holi. Po drugiej stronie korytarza cierpliwa pielęgniarka pomagała jakiemuś staruszkowi dotrzeć do łazienki. – To tu znikają twoje pieniądze.

Nie spojrzała na niego.

–Oto apartament mojej matki.

Sally Chen siedziała za wypolerowanym stołem z wiśni, nakrytym białym, koronkowym obrusem. Przed nią leżał otwarty album ze zdjęciami. Usiłowała chwycić w palce folię pokrywającą jedną ze stron. Wreszcie udało się jej zerwać ją z lepkim, ostrym dźwiękiem. Następnie wyjęła z albumu jedno zdjęcie i dodała je do leżącego obok stosu. Było ich już tam z tuzin.

Matka Laury pochodziła z Kansas. Przeniosła się do wielkiego miasta i poznała Chen Shoyu, gdy pracowała jako sekretarka w firmie architektonicznej, która zatrudniła go jako wysoko opłacanego konsultanta. Czas, niczym preriowy wicher, zerwał z niej wielkowiejskie naleciałości, pozostawiając ją ogorzałą, kościstą i wychudzoną.

„Ostatnio nie je zbyt dużo” – przemknęło Dantemu przez głowę.

–Cześć, mamó. To ja, Laura.

Podniosła wzrok. Wreszcie ich zauważyła. Zamrugła, jakby próbując zebrać myśli. Uśmiechnęła się z roztargnieniem.

–Moja córka też ma na imię Laura. Czy to nie dziwne?

Pociągnęła twarz Laury nie wyrażała nic.

Pani Chen przechyliła głowę w bok i przesunęła grubokościstą dłonią po rzadkich, posiwiałych włosach.

–Kogoś mi pani przypomina – wymamrotała. – Och, oczywiście – dodała zawstydzona. – Jest pani nową żoną Billa. Jaka byłam głupia.

–Nie, to jest ciotka Cindy.

Gdy z twarzy matki zniknął uśmiech, Laura podeszła szybko do stołu.

–To jest mój przyjaciel, Dante – oznajmiła. – Co dzisiaj porabiasz?

Sally Chen z wyraźną ulgą spojrzała na album.

–Oglądam zdjęcia. Nie mam tu dużo do roboty, ale lubię te fotografie. Tylko ktoś pomieszał swoje z moimi i staram się je posegregować. – Popatrzyła na Dantego, próbując włączyć go do rozmowy. – Tak bardzo podnoszą mnie na duchu. Żal mi pomyśleć, że ktoś zgubił swoje!

Zająknęła się. Jej oczy nabrały nieobecnego wyrazu. Nadal patrzyła na Dantego, wiedział jednak, że właściwie go nie widzi. Mówienie sprawiało jej trudność. Robiła to, ponieważ uważała, że tak należy, ale większa część jej energii była skierowana gdzie indziej. Wsłuchuje się, pomyślał nagle Dante. Wsłuchuje się w coś ukrytego głęboko w jej wnętrzu. Ból. Ból i szum krwi, obolałe stawy i rozkład narządów wewnętrznych. Wsłuchiwała się we własną zgniliznę.

Pomyślał o białym worku, który powoli rósł w jego brzuchu. Co by było, gdyby całymi latami musiał patrzeć na rozwijającego się tam raka? Czy nie otaczałaby go wtedy taka sama aura roztargnienia? Czy robiłyby chociaż tyle, co matka Laury? Czy raczej skuliłby się, zdolny myśleć jedynie o degradacji własnego ciała?

–To wina personelu – wymamrotała staruszka. – Wszystko kładą nie tam, gdzie trzeba. I do tego kradną – dodała z goryczą. – I nie chcą przekazywać wiadomości. Nigdy nic mi nie przekazują od Shoyu. Schodzę do recepcji trzy albo cztery razy dziennie i słucham, tylko słucham, jak odbierają telefony, ale są bardzo sprytni.

Laura delikatnym ruchem rozłożyła zdjęcia, które jej matka wyjęła z albumu. Na wszystkich znajdowała się ona: trzynastoletnia Laura z końskim ogonem, odziana w szorty i zdmuchująca świeczki z urodzinowego tortu; Laura na uroczystości ukończenia szkoły średniej, uniwersytetu i instytutu architektury. Wszystkie zdjęcia, na których miała więcej niż sześć czy siedem lat.

–Jestem pewna, że robią, co mogą – powiedziała łagodnym tonem.

Jej matka przygryzła wargę.

–I jak on sobie poradzi? – wyszeptała. – Nie wie, co dać jej na obiad. Mówi, że powinna jeść w barze samoobsługowym. Idiota. Nie rozumie, co to znaczy dziewczynka z baru. Inne dzieci będą jej dokuczać. Powiedzą, że matka jej nie kocha.

–Nic jej nie będzie – uspokajała ją Laura.

Pan Chen zmarł w osiemdziesiątym piątym. Jego prochy wysłano samolotem do Chin.

–Co Laura sobie pomyśli? – ciągnęła Sally Chen płaczliwym głosem. – Dlaczego mama nie przychodzi już do domu? Ona ma sześć lat! – Łzy popłynęły jej z oczu. Zasłoniła je chudą dłonią o długich palcach. – Dlaczego mama nie dzwoni? Myśli, że jej nie Kocham. Zapomniała o mnie.

–Nie zapomniała.

–Każdej nocy modlę się i pytam Boga: Jak długo jeszcze muszę tu zostać? Jak długo, słodki Jezu? Jak długo?"

Laura ujęła w ramiona siwą głowę matki.

Mieszkała w małej norze w biednej dzielnicy, żeby staruszka miała opiekę. I raz w tygodniu (albo dwa razy, albo pięć, Dante tego nie wiedział) przyjeżdżała tu i narażała się na coś takiego.

Dlaczego?

Spojrzał na to oczami anioła i poczuł, że zrozumienie otworzyło się w jego wnętrzu (gdzie krew przepływała z szumem przez dawno wyschnięte żyły).

To miejsce dawało Laurze siłę. Nie jej praca czy tytuł, ale właśnie to. Głowa matki w jej ramionach zmuszała ją do zostawienia dzieciństwa za sobą, czego Dante nigdy nie uczynił.

Jakże pusty musiał się jej wydawać. Laura, która co tydzień mierzyła się z czymś takim, nie mogła nie gardzić facetem, który nie potrafi stawić czoła samemu sobie.

Po chwili łzy przestały płynąć i stare dłonie Sally Chen raz jeszcze sięgnęły po rodzinny album. Nad zdjęciami nachyliły się z szeptem dwie głowy: jedna kruczoczarna, a druga szpakowata.

Przed końcem albumu na jednej ze stron ukazało się zdjęcie matki Laury zrobione zaledwie dwa albo trzy lata temu, kiedy jeszcze mieszkała w rodzinnym domu. Sally Chen zawahała się i ujęła w palce folię, spoglądając ze zmarszczonymi brwiami na nieznaną. Nie poznaje siebie, pomyślał Dante. Sądzi, że wciąż ma trzydzieści cztery lata i małą córeczkę, i dziękuje Bogu oraz swym gwiazdom za nowe życie, które znalazła. Spogląda w lustro rodzinnego albumu i nie rozpoznaje twarzy, którą tam widzi.

Jaka jednak tajemnica skłoniła ją, do złapania nagle za księgę, wyciągnięcia zdjęcia i podarcia go na kawałeczki, nim Laura zdążyła zareagować? Darła je i darła na kolorowe skrawki. Jej zapadnięte policzki zarumieniły się z oburzenia, a oddech stał się jeszcze bardziej chrapliwy.

–Ona nie jest potworem – powiedziała Laura, gdy wychodzili.

–Słucham?

–Widziałem, jak na nią patrzyłeś. Nie jest potworem ani dziwolągami. – W jej czarnych oczach można było dostrzec melancholię. – Jest starą kobietą, która cierpi na otępienie. Takie jest życie. Mnie też to czeka.

–Niekoniecznie – odparł Dante. – Bez względu na geny i takie rzeczy, minie jeszcze dużo czasu, nim...

Laura otworzyła drzwi dla pasażera i okrążyła samochód, by wsiąść z drugiej strony. Z przodu namalowała parę oczu, żeby lepiej widzieć zagrażające jej wypadki.

–Takie rzeczy trzeba sprawdzać przed oświadczeniami – zauważyła, uśmiechając się bez wesołości. – Tak samo, jak przed kupnem ogląda się używany wóz, żeby się upewnić, czy nie zżera go rdza.

Otworzyła drzwi i wśliznęła się do środka.

–U mnie w domu, na szafce z wotami, stoi czarka, w której tkwią trzy pióra.

–Pamiętam – potwierdził Dante. Ujrzał oczyma wyobraźni jej piękne mieszkanie, całe z wiśni i mosiądzu, i trzy pióra, ułożone w czarce niczym kwiaty, prawie, lecz nie do końca, łamiące subtelną harmonię, którą tam stworzyła.

–To pióra jastrzębia, którego matka zastrzeliła, kiedy miała czternaście lat. To był jastrząb ciemnogłowy. Myśleli, że mógł porwać jedną z ich kur. Często latał w pobliżu farmy. Tak czy inaczej, pewnego dnia mama go zastrzeliła. Strąciła go z jasnego nieba za pomocą własnej dwudziestki dwójki. No wiesz, zapytałam ją, dlaczego zatrzymała pióra. Stąd znam tę historię. – Twarz Laury, zwykle bardzo wyrazista, teraz była pusta. – Wychowywała się w małym miasteczku na Środkowym Zachodzie. Kradła książki z biblioteki, ponieważ bibliotekarze nie pozwalali jej wypożyczyć nic, czego nie umieszczono w dziale dla dzieci. Lato było gorące i niesiony wiatrem kurz zatykał jej gardło. Czasami miała wrażenie, że dusi się, gdy wstaje, kiedy tylko wstaje... Zapytałam ją, dlaczego zastrzeliła ptaka. Wiesz, co mi odpowiedziała? „Dlatego, że był wolny”.

Dante delikatnie dotknął wątku jej poczucia winy. Podążył nim na stopach anioła w głąb jej mroku.

–W Chinach do dziś byłaby w domu, prawda? – zapytał cicho.

–Nie jesteśmy w Chinach – odpowiedziała, przekręcając klucz w stacyjce.

Gwałtowna jak jastrząb.

Do Hadesu z każdego miejsca prowadzi ta sama droga

Anaksagoras

Dantego i Jeta nie było, niedzielną kolację spożywano więc w milczeniu. Po skończonym posiłku i umyciu naczyń, Sarah, działając jak automat, zamknęła drzwi lodówki, które otworzyła jakaś mała dłoń. Chwilę później odwróciła się gwałtownie. Serce podeszło jej do gardła. Przekonała się jednak, że znowu jest sama. Mimo to na podłodze wyraźnie widać było ślady zostawione przez zabłocone trampki. Ich wielkość sugerowała mniej więcej ośmioletnie dziecko. Biegły od lodówki do drzwi kuchennych.

Ten widok przyprawił ją o dreszcz. Skóra ją zaświerzbiła, a potem ścierpła. Stała nieruchoma i zlodowaciała niczym mała dziewczynka zamieniona w szkło – krucha i pusta w środku.

W nagłym olśnieniu dostrzegła, że wokół niej kształtuje się swego rodzaju bajka. Dante i inni aniołowie dostrzegali jedynie jej początek. To był nowy świat: świat węgierskich baśni jej babci, świat czarownic, mówiących zwierząt i płaczących posągów, omenów, wilków i złych macoch. Niczym dziewczynka, która zabłądziła w lesie, stała w kuchni zamieniona w szkło. Magia, której tak bardzo bał się Dante, sphywała po niej z szumem jak deszcz, zasłaniała jej widok na piękny, racjonalny świat rodziców, uderzała w jej szklane ręce i nogi, spełzała po szklanych policzkach. Noc wstawała coraz większa, mknąc przez jej serce niczym rzeka.

O Boże, jej córeczka.

Zmusiła się do wykonania jakiegokolwiek ruchu.

Coś pękło w jej wnętrzu. Córeczka.

W piersi Sarah eksplodowały odłamki żalu. Nie mogła tego znieść. Jak miała to znieść? Nie mogła, bez jakiejś pomocy. Zawsze była dumna ze swej twardości, lecz od chwili, gdy Dante znalazł w swej sypialni zwłoki, coś uczyniło ją słabą, zademonstrowało jej, jak kruche jest w rzeczywistości jej życie, a potem roztrzaskało je na drobne kawałeczki.

Jak szalona zaczęła szukać ciotki Sophie. Sprawdziła na parterze i w piwnicy, a potem pognęła na górę. Waliła w drzwi, ale nie usłyszała odpowiedzi. Pobiegnęła z powrotem do salonu. Coś – ciche skrzypnięcie dobiegające z tylnego ganku, dźwięk przywodzący na myśl małe ciało opierające się o parawan – przyciągnęło ją do kuchennych drzwi. Spojrzała w stronę przystani i zobaczyła, że ciotka Sophie stoi na

molo.

Na dworze było zimno. Zapadał już zmierzch. Przebiegła przez ogród i wpadła na pomost. Jej stopy zabębniły na deskach. Znalazła ciotkę Sophie, która patrzyła na rzekę, spowita w grubą wełnianą płaszcz.

Sarah dyszała ciężko, wypełniając chłodne powietrze obłokami szarej pary.

–Muszę z tobą porozmawiać.

Starsza kobieta nawet się nie odwróciła.

–Muszę porozmawiać – powtórzyła Sarah ze łzami w oczach. – Muszę z kimś porozmawiać, a nikt oprócz ciebie mnie nie zrozumie.

Za domem, najwyższe klony wznosiły nagie konary na tle bladego horyzontu, lecz w dolinie zapadł już mrok. Rzeka toczyła przed nimi fale, szeroka i cicha, szemrząc do drewnianych filarów pomostu oraz ciepłego brzegu. Na jej środku, niczym śpiący na plecach olbrzym, leżała Three Hawk Island. Na tle wąskiego pasa błękitu nad ich głowami ciężko trzepotała skrzydłami wrona. Ptak niczym dym zniknął w mrocznej gęstwinie na południowym brzegu.

Ciotka Sophie wreszcie się poruszyła. Deski skrzypnęły pod jej trampkami. Głowę owinęła sobie chustką „na babuszkę” dla ochrony przed zimnem. Między jej palcami drżał niedopałek. Wyrzuciła go do rzeki.

–Cholerne ptaszyska – wymamrotała.

–Wiem o Pendletonie – oznajmiła Sarah. – I o Jecie.

–Proszę, proszę. – Wciąż patrzyła na rzekę. – To więcej, niż mogę powiedzieć o sobie.

–Nie zimno ci w ręce? – zapytała Sarah. – Czemu nie wsadysz ich do kieszeni?

Ciotka Sophie nie wsadziła rąk do kieszeni.

–Płaczesz – zauważyła. Wetknęła rękę za pazuchę i wyciągnęła paczkę papierosów. Targnął nią atak kaszlu. Gdy minął, pogrzebała w paczce i wyciągnęła z niej papierosa. Jej stare, grube, pokryte wątrobowymi plamami dłonie drżały. Włożyła go do ust i zapaliła zapałkę, która z sykiem strzeliła iskrami.

–No dobra – powiedziała wreszcie. – Mów.

To papierosa zapamiętała Sarah: jego gorzki zapach; kaszel ciotki Sophie; czerwony koniuszek migoczący w mroku, coraz jaśniej w miarę zapadania nocy. W

ogóle nie wbiła się jej w pamięć twarz staruszki; jej kasznięć, chrząknięć i dosadne, cierpkie przekleństwa dobiegały z cienia pod chustką, a koniuszek papierosa tańczył, żarzył się, opadał, przygasał i nikał niczym świetlik mrugający nad niezgłębioną rzeką.

–Miałam dziewiętnaście lat – zaczęła Sarah. – Dojrzewałam chyba bardzo wolno, bo dopiero wtedy osiągnęłam wiek cielęcy. Odłożyłam to sobie na później i musiałam solidnie wkuwać, żeby opanować materiał.

–Pamiętam. – Ciotka Sophie kasznęła; z przekąsem, o ile coś takiego jest możliwe.
– Lawrence, zgadza się?

–Tak jest – odrzekła Sarah. – Jeden Bóg wie, dlaczego zadałam się z tym czymś. Nie rozumiem teraz, co w tym było pociągającego.

Koniuszek papierosa zakolysał się przy akompaniamencie astmatycznego chichotu.

–Rzecz pewnie w tym, że to coś jako jedyne wykazało zainteresowanie pójściem do łóżka z nie potrafiącą zachować się w towarzystwie grubaską, wystarczająco inteligentną, by budzić strach. Więc ja i to coś przespaliśmy się ze sobą.

–To było przed tym, jak twój ojciec kazał mu przestać się z tobą spotykać, czy później?

–Och, później. Z całą pewnością później.

–Ha! Mówiłam Antonowi, że głupio postąpił.

Sarah przerwała zaskoczona. A więc rozmawiali na jej temat? Oczywiście, że rozmawiali. Skąd u dzieci brała się ta osobliwa ślepotą, przekonanie, że rodzice przestają istnieć, gdy tylko znikają im z oczu? Z pewnością spierali się o nią: mama i ciotka Sophie podczas gotowania, mama i tata w łóżku. Tata i ciotka Sophie w każdej chwili, która odpowiadała im obojgu. W tych czasach w domu często zdarzały się kłótnie.

Milcząca noc osnuwała ją niczym deszcz.

–Przespaliśmy się ze sobą – powtórzyła, czując kurcz we wszystkich mięśniach brzucha. – I zaszłam w ciążę.

–Dupki mają mocną spermę – zauważyła ciotka Sophie. – Z porządnym facetem możesz być bezpieczna przez lata, ale prawdziwy sukinsyn zrobi ci bachora w trymiga.

–Oczywiście, natychmiast z nim zerwałam.

–Z tym czymś.

–Z tym czymś. Z Lawrence. Bez względu na to, czy chciałam zatrzymać dziecko, z całą pewnością nie miałam zamiaru... Tak czy inaczej, Lawrence poszedł w odstawkę. Nie wiedziałam, co zrobię z dzieckiem. Byłam jak sparaliżowana. Przez dwa tygodnie snułam się po domu jak zombie. Raz dotarłam aż pod drzwi mamy, ale nie potrafiłam zdobyć się na to, by wejść do środka.

–Powiedziałaś jej o tym?

–Później – wyszeptała Sarah. Zamknęła oczy. – Przez cały dzień chodziłam jak oszołomiona, a nocą modliłam się, żeby dziecko umarło. – W jej sercu płonęły wszystkie twierdze obronne. – Modliłam się, żeby umarło. I tak się stało.

Koniuszek papierosa zamarł na długą chwilę, czerwony jak Mars, jedyny punkt światła na tle wielkiej, ruchomej ciemności rzeki i spowitej mrokiem doliny.

Ciotka Sophie westchnęła.

Drewniane molo skrzypiało, pod kołyszącą się Sarah w tył i w przód.

–Kiedy poroniłam, byłam już w siódmym tygodniu ciąży. Minęło sześć tygodni i dwa dni. Ból był niewiarygodny. Połknęłam całą garść tabletek tylenolu z zapasów ojca, ale nie mogłam powstrzymać płaczu. Mama znalazła mnie w wannie w środku nocy – wyszeptała. – Siedziałam w wannie i płakałam, całą spódnicę miałam zalaną krwią.

–Jezus Maria.

Ciotka Sophie odwróciła się i ujęła w obie dłonie jej rękę.

–Cicho, Sarah. Nie zrobiłaś nic złego, kochanie.

–Zabiłam własną córkę. – Zacisnęła powieki, jak gdyby mogło to w jakiś sposób powstrzymać płacz. – Chciałam, żeby umarła i tak się stało.

Rzeka toczyła swe wody, a stare molo skrzypiało smutno w zapadającym mroku. Sarah wbiła wzrok w ciemność, patrząc, jak wypełnia ona dolinę rzeki i wylewa się na zewnątrz, a błękitne niebo przybiera barwę wronich skrzydeł.

–Miałaby teraz osiem lat – powiedziała.

Ciotka Sophie zakasłała i zaklęła.

–To nie twoja wina – odrzekła, potrząsając gniewnie Sarah. – Takie rzeczy się zdarzają. To nie twoja wina, do cholery. Jasne?

–Nie moja? Skąd wiesz? Umysł i ciało są ze sobą ściśle powiązane. Tak mówi tata.

Ciotka Sophie odkaszlnęła i splunęła.

–Dobry Boże, dziewczyno. On wie o tym najmniej.

Sarah otworzyła oczy i wpatrywała się wściekle w ciemność.

–Jeśli to nie moja wina, to dlaczego wróciła? – Odwróciła się, by spojrzeć ciotce Sophie prosto w twarz. – Nie opowiadaj mi takich pierdoł, dobra? Zwróciłam się do ciebie dlatego, że wiesz, co to znaczy stracić dziecko. Dlatego, że straciłaś Jeta. Nie mów mi, że to nie moja wina. To mi w niczym nie pomoże. Wyjaśnij mi tylko, jak nie popaść w obłąd, dobra? Powiedz mi, jak przetrwać? Nie mogę tego znieść. Nie mogę. Bóg wie, że nie zniosę następnego razu. Jeśli zobaczę ją jeszcze raz, rzucę się do tej pieprzonej rzeki.

Koniuszek papierosa rozjarzył się, gdy ciotka Sophie zaciągnęła się mocno. Sarah usłyszała jak zaskwierczał. Potem długie westchnienie; obłoczki dymu i pary w zimnym powietrzu.

Ciotka Sophie ujęła niedopałek w dwa drżące palce i wyrzuciła go do rzeki.

–Nie wiem, co ci powiedzieć – rzekła.

–Myślisz czasem o Pendletonie? Naprawdę o nim myślisz?

–Aha. Czasem myślę – odpowiedziała ciotka Sophie bardzo powoli. Jej głos dobiegał z głęboko ukrytego miejsca, niewidocznego dla Sarah. – Tak jest. Czasem myślę.

–A czy zdarza ci się patrzeć na Jeta? – pytała Sarah. – Czy patrzysz na niego i mówisz sobie: „Mój Boże, co zrobiłam? Co stworzyłam? Jak mogłam tak bardzo spieprzyć robotę?”.

Ciotka Sophie nie odpowiedziała.

–Jak możesz to wytrzymać? – Sarah płakała zbyt rozpaczliwie, by jej głos mógł zachować siłę goryczy. Załamał się i ochrypl. – Powiedz mi, jak mam funkcjonować, ciociu Sophie. W ciągu ostatnich trzech dni trzykrotnie widziałam swoją córkę. Naprawdę muszę się tego dowiedzieć, do diabła. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

Przez długą chwilę ciotka Sophie milczała.

–Nie wiem – odparła wreszcie. – Nie wiem, jak w ogóle udaje nam się żyć. Pewnie jesteśmy za głupi, żeby wiedzieć lepiej.

A Sarah była zbyt słaba, zbyt słaba, zraniona i wycieńczona, by oprzeć się i nie wpaść w wielkie ramiona ciotki. Drżała i zanosiła się łkaniem, kiedy staruszka obejmowała ją wśród zimnej nocy. Była zbyt słaba, by oprzeć się ciotce Sophie, gdy ta odwróciła ją i poprowadziła przez molo, a potem ścieżką przez ogród. Wielkie, tłuste ramiona niezawodnie dodawały jej otuchy i były tym, czym wypiek białego chleba czy odgłos maszyny do szycia w sąsiednim pokoju. Poprowadziła ją do domu, którego okna żółto lśniły w ciemności. Sarah była zbyt zmęczona, by pójść z powrotem nad rzekę. Zbyt zmęczona, żeby zrobić cokolwiek innego, niż wejść wreszcie po schodach i wrócić do domu.

Portret

Oto zdjęcia anielicy Jewel. Wygrzebałem je w archiwach prasowych. Dwudziestosześcioletnia Jewel, wsparta na czyimś ramieniu, w dziale towarzyskim; trzydziestojednoletnia Jewel przedstawiająca wniosek dowodowy uzgodniony z drugą stroną na procesie Liama Strattona, Przekonującego Sprzedawcy, oskarżonego o nadużycia w handlu obligacjami. Trzydziestopięcioletnia Jewel uznawana za królową miejskiego Cechu Aniołów, na kolorowym zdjęciu wykorzystanym przez „Time” w artykule z pierwszej strony o zdumiewającym aniele Tristanie Chu, człowieku roku 1975.

Obraz Jewel można zobaczyć w „Perdicie” Gainsborough: delikatna, owalna twarz z małymi, zaciśniętymi ustami, zaskakująco grubymi brwiami i ciemnymi oczyma, których wyraz przeszywa dreszczem aż do szpiku kości. Patrząc w nie, to jak spoglądać w lufę naładowanego pistoletu – groźba jest tak samo oczywista.

Ową posępną aurę dostrzega się nawet na najstarszych zdjęciach. Najbardziej niepokojąca jest, gdy Jewel się uśmiecha. Można zrozumieć, co widział w niej Pendleton. Spragnionej mocy ćmie, którą był, musiała się wydawać świecą płonąca jasnym, żywym ogniem.

Biedny Pendleton. Biedny, głupi, cholerny, tchórzliwy zdrajca Pendleton.

Dostałem to, na co zasłużył.

Biura Cechu Aniołów znajdowały się w obszernym wiktoriańskim budynku, który ongiś stanowił własność znanego truciciela. W latach siedemdziesiątych jakiś dziennikarz nazwał ten dom Piekłem, ponieważ zawsze można tam było znaleźć synod posępnych aniołów. Nazwa się przyjęła.

Jet i Laura podążali za Dantem, który wspiął się na ganek, a potem stanął niezdecydowany przed ciężkimi dębowymi drzwiami. Przez całe życie starał się ze wszystkich sił ignorować w sobie anioła, lecz tutaj, na progu Piekła, zaczął się zastanawiać, czy czas, kiedy mógł to robić, nie minął.

Niewykluczone – myśli tej towarzyszył nagły atak niespodziewanej tęsknoty – niewykluczone, że mógł być dumny z tego, co nosił w swym wnętrzu. Może istniało miejsce, w którym mógłby się szczyścić swą magią, zamiast skrywać ją, jak Jet jeden ze swych brudnych sekretów.

Pokręcił głową, zaskoczony własnymi myślami, otworzył drzwi Piekła i wszedł do długiego, ciemnego korytarza.

Gdzieś w panującym wewnątrz mroku zadźwięczał mały dzwoneczek, oznajmiając ich wejście.

Dante z ostrym sykiem wciągnął powietrze przez zęby.

–Wygląda jak skład starzyzny – zauważyła Laura.

Lubiła, gdy otaczała ją pewna harmonia, tu zaś nie było nic harmonijnego. Z umocowanych na ścianie kołków zwisał zestaw płaszczy, szalików i kurtek. Wyżej biegły dwie długie półki, po jednej z obu stron, zapchane najrozmaitszymi przedmiotami. Wiekowe lalki z popękkanymi porcelanowymi twarzami, łyżwy dla małych dziewczynek, płyty bez opakowań i zdezelowane gramofony, radia z przepalonymi lampami, uszyta z aksamitu sukienka dla dwunastolatki, udająca suknię wieczorową, oraz słoje do konserw zawierający starą kolekcję kulek. Smętne pozostałości setki żywotów.

–Jesteś pewien, że to właściwy adres? – zapytała.

–Jak najbardziej – wyszeptał Dante.

Wszędzie wokół niego kołysały się i wzdychały duchy. Ze wszystkich zepsutych zabawek, wszystkich stłuczonych filiżanek przesączały się w gęste powietrze ich sekrety.

–Czy nie czujesz wspomnień?

Zadrżał, gdy anioł w jego wnętrzu przebudził się i zaczął poruszać.

–To... to taki żart – wyjaśnił wreszcie. – Dla ciebie to tylko śmieci. Ale jeśli ktoś jest aniołem...

Z każdym oddechem wciągał w płuca przyprawiający o zawrót głowy aromat wspomnień, złożony z żądz i zastarzałej złości, czułości i zielonej furii. Pragnął zamknąć oczy, zatkać uszy, otoczyć głowę ramionami i ukryć się.

–To magiczne przedmioty – ciągnął. Nie był w stanie patrzeć na ułożone na półkach graty. – Każdy z nich jest jak sen. Sen, którego nie sposób nie śnić, gdy przechodzi

się obok.

Nieemożliwe, żeby cały dom tak wyglądał, powtarzał sobie. Który z aniołów mógłby to wytrzymać?

A jaka mogła być Jewel, anielica, która go stworzyła? Ta, którą w swej głupocie starał się odnaleźć? Łaknęła owych duchów, połykała je w całości. To przez nią w Piekło tliły się wspomnienia i dawne uczucia.

Wyczuwał idącego obok Jeta, chłodnego i pustego niczym lustro. Aparat fotograficzny podskakiwał mu na piersi niby amulet demona pełen skradzionych dusz. Jet uniósł go, by zrobić zdjęcie korytarza.

–Żart? – wyszeptał. – Nie słyszę, żebyś się śmiał, D. Gdzie się podziało twoje poczucie humoru?

–Zostało na podłodze przystani – odrzekł Dante, krzywiąc twarz. – Razem z mnóstwem innych zalet.

(Zobaczył, jak wieżowce Laury zakręciły się, zakręciły; jej długa dłoń z nie gojącą się raną pozostawioną przez szpon matki, jej długa dłoń sięgnęła, sięgnęła ku dnu zaśniedziałej klatki dla ptaków stojącej po prawej stronie. Leżały tam nożyczki o czarnym uchwycie, wokół których owinięty był długi kosmyk jasnych włosów. Ich jasne, lśniące ostrza wyglądały atrakcyjnie. Laura sięgnęła po nie przez otwarte drzwi klatki).

–Na miłość Boską, nie dotykaj tego! – syknął Dante, łapiąc ją za rękę.

Odskoczyła do tyłu, przestraszona i rozgniewana. Uniosła dłoń i zacisnęła ją w pięść. Przez krótką chwilę myślał, że znowu uderzy go w posiniaczone ramię, powstrzymała się jednak.

–Chodź stąd – poprosił. Po chwili sztywnego oporu pozwoliła, by powiódł ją w głąb korytarza.

Otworzyły się drzwi, ukazując kobietę o ostrych rysach, odzianą w skromny jedwabny strój.

–Witajcie w Piekło – powiedziała z napięciem w głosie. Nie uśmiechała się. – Jestem dzisiaj wergiliuszem.

Jet zachichotał.

–A to jest Dante! – zawołał, przedstawiając brata. – Szukał pani już od...

–Dante! – Kobieta otworzyła szerzej oczy. – Hm... proszę chwilę zaczekać. Niech pan nie odchodzi!

Usłyszeli odgłos kroków oddalających się po niewidocznych schodach.

Jet spoglądał w ślad za nią.

–Już od dość dawna potrzebował wergiliusza – dokończył. – Hej, D., mam wrażenie, że się tu ciebie spodziewali.

–Niech to szlag – odparł słabym głosem Dante.

–To była ta anielica, która przyszła z glinami do twojego mieszkania – zauważyła Laura. – Jestem o tym przekonana. – Przyjrzała się Dantemu zamyślona. – Tamtej nocy z całą pewnością coś ukrywała. Aniołowie robią to bardzo często, kiedy sądzą, że któryś z ich koleżków jest zamieszany w przestępstwo. Tak przynajmniej twierdził ten gliniarz.

Jet zmarszczył brwi.

–Wiesz co, jeśli któryś z tutejszych aniołów potrafi z dużą dozą pewności przepowiadać przyszłość, faktycznie mogą się nas spodziewać. – Potrząsnął głową. – Czy to nie ciekawe uczucie? Ktoś inny może wiedzieć, co zrobimy, kiedy sami jeszcze o tym nie wiemy.

Drzwi otworzyły się i kobieta wróciła. Towarzyszył jej mężczyzna w średnim wieku; Chińczyk. Miał wąską, ostro zakończoną głowę, a palce suche i eteryczne. Wszystko w nim wydawało się Dantemu eteryczne, całkiem jakby pod jego skórą zamiast nasączonych wodą narządów i mięśni kryło się coś znacznie bardziej ulotnego i naelektryzowanego. Przybysz wyciągnął rękę. Gdy wymienili uścisk dłoni, ramieniem Dantego targnął potężny wstrząs. Po jego ciele przemknęło z mrowieniem coś przypominającego błyskawicę.

–Dobry wieczór – powiedział nieznajomy po angielsku bez śladu obcego akcentu. – Nazywam się Tristan Chu.

W pokoju za jego plecami siedziało pięcioro czy sześcioro aniołów, którzy patrzyli na nich. Dante zastanawiał się, czy któryś z nich wie, jak zakończy się ta wizyta. O ile monety ciotki Sophie stanowiły typowy przykład przepowiadania przyszłości, to nie mogli wiedzieć na pewno. Nie ze wszystkimi szczegółami.

Wciąż był rozdygotany wskutek dotknięcia Chu. Poczuł, że coś rozciągnęło się i poruszyło w białym worku, który miał w brzuchu.

Znieruchomiał na jego rozkaz.

Jet skinął głową, przyglądając się Chu.

–Był pan jednym z uczniów Jewel. Pamiętam pana ze zdjęć.

Chu zwrócił się w jego stronę. Miły uśmiech, który miał na podorędziu, znikł z sykiem wypuszczanego z płuc powietrza. Wyciągnął rękę i przebiegł lekko palcami po znamieniu w kształcie motyla niczym niewidomy czytający pismo Braille'a.

–Chodzi o pana – stwierdził bez ogródek.

–Łapy przy sobie – warknął Jet, odtrącając rękę tamtego. Rozległ się cichy świst – wszyscy siedzący w pokoju aniołowie głęboko zaczerpnęli tchu.

Chu zadrżał, spoglądając na koniuszki swych palców. Były czerwone, jak gdyby poparzył je dotyk motyla Jeta.

–Bardzo przepraszam – wyszeptał. – Zachowałem się nieuprzejmie.

Laura otrząsnęła się już ze zdumienia wywołanego spotkaniem.

–Tristan Chu! Zawsze chciałam panu powiedzieć, jak bardzo podziwiam pańskie projekty! Stadion też, oczywiście, ale przede wszystkim szpital.

Chu uśmiechnął się półgębkiem.

–To wybryk historii, że szpital znalazł się w cieniu tego głupiego fiaska, na którym rozgrywają World Series. Ale ostatecznie przewaga gospodarzy była faktem na długo przed tym, nim wybudowano Harmony Stadium. – Wzruszył ramionami. – Po prostu... dałem jej silniejszy wyraz.

Dezorientacja Dantego musiała się uwidocznic na jego twarzy, gdyż Jet nachylił się nad nim i wyszeptał:

–Pamiętasz World Series w siedemdziesiątym piątym? Indians wygrali u siebie siódmy mecz serii, za każdym razem odbijając piłkę na home run.

–Ale szpital, w którym pacjenci naprawdę zdrowieją! – ciągnęła Laura. – To dzieło kalibru Dozwolonego Miasta.

Dante nie był pewien, czy kiedykolwiek dotąd widział u niej zachwyty. Poczuł się z tego powodu nieswojo.

–Laura Chen. Stryjeczna wnuczka Chen Dai Feia – dodał z naciskiem.

–Aha – wyszeptał Chen. Pokłonił się niezbyt głęboko. – Niech pani przypomni o mnie swemu czcigodnemu stryjkowi. Minęły – zmarszczył brwi – trzy lata, odkąd

ostatnio z nim rozmawiałem.

Chen Dai Fei zmarł w roku 1977. Laura jednak była pewna, że Tristan Chu doskonale o tym wie.

–Przyszedłem zobaczyć się z Jewel – powiedział Dante.

–Aha. – Chu rozpostarł dłonie delikatnym ruchem. – Niestety nikt jej nie widział już od wielu dni... A spod jej drzwi sączy się swego rodzaju obłęd. – Zawahał się. – Bardzo dużo się od niej nauczyłem, wiele lat temu. W zeszłym tygodniu przyśniła mi się w bardzo mroczny sposób. Tak mroczny, że przyleciałem pierwszym samolotem z Cleveland. – Chu przerwał by raz jeszcze spojrzeć na Dantego. – Śniło mi się, że poszła do piekła... i że pan był tam z nią.

–Ja? – pisnął Dante.

Chu wzruszył ramionami.

–Odźwierny o oczach diabła, którego cień miał na twarzy motyla.

Zwrócił się w stronę Jeta.

–Niech mi pan powie, czy pan jest aniołem czy homunkulusem?

Dante znał swego bliźniaka wystarczająco dobrze, by dostrzec gniew kryjący się za jego uniesionymi brwiami. Patrzył, jak Jet unosi aparat i robi Tristanowi Chu zdjęcie – *Trzask!*

–Czy mam tylko taki wybór?

Chu zamrugał powiekami, oślepiiony błyskiem.

–Niech pan już tego nie robi – powiedział cicho.

–Wiecie, co sobie (*Trzask!*) myślę – ciągnął Jet, ignorując go. Flesz rozbłysł niczym błyskawica, łapiąc Chu na tle zepsutych zabawek i starych mebli. – Myślę, że to nasz (*Trzask!*) przyjaciel włamał się do mieszkania Dantego.

Laura zmrużyła oczy. Nagle zaczęła się zastanawiać. Popatrzyła na Chu, czekając, by zaprzeczył temu oskarżeniu.

Ten, nie przestając mrugać, zdjął okulary w złotych oprawkach i przetarł je ręką z surowego jedwabiu.

–Czułem się zaniepokojony – wyjaśnił.

–Jakie to ujmujące – zauważył Jet. – Taka troska u dawnego ucznia.

–Jewel żądała od swych wychowanków pewnych... ofiar – ciągnął Chu. Ignorował teraz Jeta, zwracając się bezpośrednio do Dantego. – Miała coś, co do mnie należało. Można by niemal powiedzieć, że to część mnie. – Zmarszczył brwi. – Oczywiście to nie miało większego prawa czuć się zdradzone niż, powiedzmy, przywara, z której bym wyrósł. Niemniej, zawsze wyczuwałem u tego... daru pewną urazę do mnie. Poznanie jego obecnego nastroju jest dla mnie bardzo ważne.

–Boi się pan wejść do jej pokoju – powiedział powoli Dante. – Sądzi pan, że coś się jej stało.

Hurra! – krzyknęła pewna część jego jaźni. Cóż, wobec tego nie ma sensu iść dalej tym tropem. Ani zostawać na dłużej w tym starym, upiornym budynku. A skoro już o tym mowa, to wezwijmy gliny, niech wsadzą tego butnego sukinsyna Chu za włamanie.

Zrobił, co mógł. Nie można powiedzieć, by nie dołożył wszelkich starań. A ostatecznie, jeśli Jet dawał sobie dotąd radę, nie wiedząc, co wydarzyło się w chwili jego narodzin, kilka lat więcej mu nie zaszkodzi...

Ponownie dopadł go ból brzucha, ostre ukłucie, które sprawiło, że wstrzymał oddech.

–Zawrzyjmy ugodę – zaproponował, krzywiąc się z bólu.

–Ugodę! – krzyknęła Laura. – Niech zawiera ugodę z prokuratorem okręgowym. Grzebał w twoich rzeczach, Dante!

Przywołał ducha swego dawnego uroku i zbył całą niemiłą sprawę machnięciem dłoni.

–Sama powtarzałaś mi setki razy, że nie ma tam nic, co warto by ukraść. – Wzruszył ramionami. – On może nam opowiedzieć o przyjacielu Jewel. Homunkulusie, który załatwił Pendletona.

Wypowiedziawszy te słowa, Dante zdał sobie sprawę, jak niewiele o nim wie. Czy istota, którą Jewel żartem nazwała Albertem, wciąż miała trzydzieści parę lat, czy też zbliżała się już do sześćdziesiątki i włosy jej siwiały? Czy czas skradł z jej oczu zimne iskierki? Czy jej palce ślizgały się, pozbawione czucia, gdy brała w nie karty, czy nie mogła ich utrzymać podczas tasowania?

Chu wzruszył ramionami.

–Chodzi panu o Szalbierza. Kombinatora. To był jej pierwszy prawdziwy

homunkulus. Słyszałem o nim. Nie wiem, gdzie się podziewa. – Przesunął wzrok z Dantego na Jeta i z powrotem. – Mógłbym go odnaleźć, pod warunkiem, że zejdzie pan do gabinetu w piwnicy i zajrzy do pokoju Jewel.

–A może mógłby pan go znaleźć, gdybym podszedł do telefonu i zawiadomił policję o włamaniu – zauważył miłym głosem Jet.

Chu wzruszył ramionami.

–Nie powiedziałbym panu tego, co chce pan usłyszeć, przynajmniej dopóki bym się nie upewnił, że moi bardzo drodzy adwokaci nie są drożsi od pańskich. – Oszacował Dantego szybkim spojrzeniem. – Coś mi jednak mówi, że nie ma pan wiele czasu.

Dante popatrzył na przyjaciół. Laura pokręciła głową.

Jet zachował bierność. Czekał, tak jak robił to zawsze, aż Dante dotrzyma obietnicy.

Tym razem go nie zdradzę, pomyślał Dante. Bóg mi świadkiem.

–Zgoda – powiedział.

Chu skinął głową.

–W porządku. Oczywiście muszę pana ostrzec, że gabinet Jewel to niebezpieczne miejsce. – Wskazał dłonią na walające się przy wejściu do Piekła zdruzgotane sny, zamaskowane jako stare rupiecie. – Bez porównania bardziej podstępne i niebezpieczne niż to tutaj. Mam nadzieję, że nie poczuje się pan urażony, ale sądzę, że dokonał pan właściwego... nie, jedynego wyboru. Ma pan tam przeznaczenie.

Jet uniósł brwi.

–Chciał pan powiedzieć, że to przeznaczenie ma jego.

*Nikt z tych, którzy w młodości powzięli sąd,
że nie ma bogów,
nie dochował na starość wiary swym przekonaniom*

Platon

Zeszli na dół krętą klatką schodową, która była oświetlona pojedynczą, żółtą lampą. Kurczyła się ona nad ich głowami, tak jak niebo z pewnością uciekało przed spadającym Lucyferem. Droga była wąska i ciasna. Na jej końcu na Dantego czekała woń śmierci – czarnej ziemi, talku, moczu, kompostu. Świec.

W pewnej chwili zatrzymał się i Jet wpadł na niego. W ciemności, gdzie nikt go nie widział, złapał dłoń bliźniaczego brata i ścisnął ją tak długo, aż poczuł, że w palcach wróciło mu krążenie. Kiedy ponownie ruszył naprzód, szli za nim tylko Laura i Jet. Tristan Chu, wraz z garstką innych aniołów, czekał w ciemnościach za ich plecami.

Na dole, spod zamkniętych drzwi Jewel, padał wąski strumień rozbłyskującego i przygasającego światła. Jego drżące brzegi przesuwaly się nieustannie niczym linia brzegowa wzburzonego morza. Niespokojne powietrze za zamkniętymi drzwiami wzdychało dziwnie to głośniejsz, to ciszej. Odgłosy te przypominały Dantemu dźwięczne bzyczenie owadów latem, dawno temu, gdy obaj z Jetem pijani od upału leżeli w swym forcie, ukołysani przypominającą morskie pływy pieśnią cykad, rozbrzmiewającą wśród wierzbowych liści.

–Jezu Chryste – wydyszała Laura. – Co tu się dzieje?

Wargi Dantego były zupełnie suche.

–Chyba powinienem otworzyć drzwi – wyszeptał. Anioł w nim rozpostarł jasne skrzydła i otworzył straszliwe oczy. Dante zapragnął uciec stąd. Chciał popijać sobie wino, oglądać baseball i zapomnieć o tym wszystkim, zapomnieć o samotności Jeta, skrywanej żalobie Sarah i zwłokach pochowanych w błotnistej glebie Three Hawk Island.

Nie było to możliwe. Czuł, jak jego życie pęka, rozdarte niczym jedwabny kokon, otwiera się, by ukryty w jego wnętrzu anioł o jasnych skrzydłach mógł się wydostać na zewnątrz.

W mroku, za jego plecami, rozległ się chichot Jeta.

–Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie.

–Spierdalaj – odparł Dante i otworzył drzwi.

Wokół niego, niczym ulewa kwiatowych płatków, eksplodowały maleńkie skrzydła. Jego wrzask ucichł nagle, gdy coś trzepoczącego wypełniło mu usta. Wypłuł to, klnąc. Zamachał ramionami. Były wszędzie: nawałnica motyli wypadających z gabinetu Jewel, przelatujących obok niego i znikających w ciemności. Frunęły wciąż w górę niczym rozdygotane skrawki jedwabiu, złote i zielone, kobaltowoniebieskie i krwistoszkarłatne. Gdy przemknęły obok czekających na schodach aniołów, rozległa się kolejna salwa krzyków i przekleństw. Dobrze im tak, pomyślał Dante ze złością. Mam nadzieję, że te sukinsyny się nimi udławiają. Potem wypadają na zewnątrz, wyobraził sobie, wylatując przez drzwi niczym jedwabna chusteczka iluzjonisty wyciągana z czarnego cylindra.

Potop słabł powoli. Motyle pokryły wszystko w pokoju jak odrobiny kurzu. Motyle na regałach i oszklonych szafkach, motyle wielkości znaczków pocztowych na sekretarzyku. Potwory rozmiarów dłoni Dantego siedzące na biurku i poruszające powoli skrzydłami. Maleńkie i opasłe, piękności o koronkowych skrzydłach łączące na cienkich nóżkach: z każdym jego krokiem wzbijały się w powietrze niczym kurz z wiekowego dywanu. Pokrywały wszystkie powierzchnie, stopy i kotary. Poruszały kruchymi skrzydłami. Każdy naznaczony był osobliwym romboidalnym wzorem.

Jewel odeszła, zamieniona w motyle. Zostały po niej ubrania. Owady wlażyły do wieczorowych pantofelek stojących pod biurkiem, wcisnęły się – uwięzione i miotające skrzydłami – do nylonowych pończoch leżących luźno na podłodze. Pełzały po rąbku spódnicy, która leżała zmięta na krześle za biurkiem. Ich niewidoczne skrzydła poruszały się pod białą bluzką powieszoną na jego oparciu. Jedwab drżał, jak gdyby nadal osłaniał bijące serce.

Oszołomiony widokiem tego szaleństwa Dante zdał sobie sprawę, że po wyjściu z gabinetu nie będzie już tym samym człowiekiem, co przedtem. Wszędzie wały się kłębki mrocznych spraw, wspomnienia nagich uczuć. Spowijały go, lepkie jak pajęcza nić. Czuł, że rozdzierają się jak bibuła, gdy tylko się poruszył.

Stał sparaliżowany szokiem, poddając pokój oględzinom. Naprzeciw niego znajdowało się biurko Jewel, solidna wiktoriańska konstrukcja z nasączonego olejem do konserwacji brązowego drewna. Szuflady były zamykane na długie żelazne klucze. Nad głową Dantego majaczyły wysokie regały, na których spoczywały osobliwe trofea. Jedno z nich mogło być maską o kosmatych brwiach i okrągłych oczach, to zakrywaną, to częściowo odsłanianą przez migotanie motyli skrzydeł. Widział też wypchanego tropikalnego ptaka. Jego jaskrawe jak klejnoty pióra zwisały z najwyższej półki, przyćmione kurzem. Oszklone szafki na wygiętych nogach zawierały niezliczone szeregi karafek, kałamarzy, poźółkłych fotografii, a nade

wszystko lalek: porcelanowych i mosiężnych, wyrzeźbionych z hebanu lalek z namalowanymi uśmiechami, skórzanych marionetek z Indonezji z długimi, cienkim rękami; dziewczynek, chłopców i potworów, lalek z tkaniny, słomy i wosku, nowych, sfatygowanych bądź też uszkodzonych z jakichś nieznanych powodów. Wyglądających przez okna ponurego wiktoriańskiego domu dla lalek niczym pacjentki zakładu dla obłąkanych.

–To Tristan Chu – wyszeptała Laura, wskazując na jedną z większych, siedzącą na biurku Jewel – chudego chłopca o sztywnych, czarnych włosach i szklanych oczach wprawionych w porcelanową twarz.

Nie, niezupełnie siedzi, zdał sobie sprawę Dante, przyjrzawszy się dokładnie. Z tułowia lalki wyrastały jedynie głowa i ramiona. Starannie pozbawiono ją nóg. Zauważył je leżące wysoko na półce, która stała za krzesłem Jewel.

Niedostrzegalnie, z wielką rozwagą, ukryty zegar odmierzał upływające sekundy. Tik. Tak. Tik. Tak. Czas unosił się z westchnieniem niczym wilgotne owadzie skrzydła.

Za biurkiem, szara wełniana spódnica i biała jedwabna bluzka Jewel wzdęły się, kipiąc od motyli. Poruszone papierowymi skrzydłami powietrze zaczęło szeptać. *O Boże – łkało. O Boże, O Boże, O Boże.*

Święty, święty, święty.

Lalka na biurku klasnęła nagle porcelanowymi dłońmi, miażdżąc uwięzionego między nimi motyla.

Laura pisnęła. Dante krzyknął. Jet zaklął.

Wąski uśmiech odsłonił jeden złoty ząb. Lalka sztywnymi palcami zdrapała martwego owada z dłoni.

–Dobrze jej tak – wymamrotała. Podniosła wzrok na Dantego. – Oddaj mi nogi.

–Chryste Panie.

Lalka odwróciła głowę, wskazując na półkę na ścianie, gdzie leżały jej kończyny. Obie stopy odziane były w lśniące buciki z lakierowanej skóry. Każdy z nich zdobiła srebrna sprzączka.

–Szybko. Zanim wróci Chu. Oddaj mi nogi.

–Jezus Maria.

Motyle wionęły obłędem, tak mocno, że Dante prawie nie mógł oddychać. Czuł, że jego umysł trzepocze w rytm ich tętna.

Na chwiejnych nogach wycofał się z gabinetu i wbiegł na schody. Jet i Laura podążyli za nim. Lalka ma rację, pomyślał z wściekłością. Jewel dostała to, na co zasłużyła. Próbowwała uwolnić anioła w sobie, a ten wydostał się wreszcie, trzepocząc skrzydłami. Całkiem jak w opowieści Owidiusza: bóg sięgnął płynnym ruchem w dół i twoje życie eksplodowało, rozpierzchnęło się na cienkich nóżkach i papierowych skrzydełkach.

Na górze, na parterze Piekła, motyle lądowały na antykach, balansowały na ramionach porzuconych gramofonów, siadały na złotej klatce dla ptaków.

Tristan Chu stał z rozpostartymi ramionami. Na obu jego dłoniach owady poruszały miarowo skrzydłami. Jego wąska twarz miała srogi wyraz.

–Tak odeszła największa z anielic epoki.

–Sama tego chciała – odrzekł z wściekłością Dante. Całe jego ciało drżało. Zatoczył ręką krąg, wskazując na chmury motyli pełzających po jedwabnych obiciach, spadających z wyściełanych krzeseł... odbitych na policzku Jeta. – Nie prosz o to, czego wolałbyś nie dostać.

Chu popatrzył na niego z zainteresowaniem.

–Seneka – wyjaśnił Jet. – To jedna z ulubionych maksym ojca.

Anioł skinął głową, po czym spojrzał pytająco na Dantego.

–A czy to...

Dantemu zbierało się na wymioty.

–Nigdzie nie pójdzie.

–Aha. – Wyjął z wewnętrznej kieszeni jedwabnej marynarki pozłacany pistolecik o dużym kalibrze. – Świetnie.

Jet stanął tuż za Dantem, a Laura przed nim. Niepostrzeżenie rozstawiła stopy, gotowa do walki. Na jej dłoniach i włosach siadały motyle.

–Czy mogę państwa na chwilę przeprosić? – zapytał uprzejmie Chu. Odwrócił się i zszedł po schodach. Usłyszeli głuchy trzask pistoletu i hałas taki, jakby dwanaście talerzy roztrzaskało się o kamienną podłogę.

W chwilę później Chu wrócił na górę, poprawiając klapy swej pięknie uszytej

marynarki.

Delikatnie otoczył ręką ozdobionego rombem motyla, który przysiadł mu na dłoni. Następnie wrócił z powagą do salonu. Inni aniołowie rozstąpili się przed nim, gdy skierował się do stojącego z tyłu stołu, na którym znajdował się ekspres do kawy. Po chwili wrócił ze spodkiem ciepłej wody, do której wrzucił trzy torebki cukru. Postawił osłodzony płyn na jednej z półek umieszczonej w długim korytarzu wejściowym. Motyle usiadły na brzegu spodka i zaczęły pić.

Dante wycofał się, wiedząc, że musi opuścić wypełniony odorem dawnych tajemnic pałac aniołów. Laura odwróciła się i podążyła za nim. Oboje pośpiesznie wypadli na zewnątrz.

Jet jednak zatrzymał się i uniósł aparat, by zrobić zdjęcie posilającym się owadom.

– Dobranoc, mamusiu – powiedział. Zdmuchnął delikatnie motyla z obiektywu, który zasłonił pokrywką. – Miłych snów.

Na dole rozległo się urywane skrobanie, zupełnie jakby po kamiennej podłodze przesuwano stłuczone naczynia.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę mrocznych drzwi, za którymi znajdowały się schody wiodące do piwnicy.

– Zastanawiam się nad moim bratem – powiedział powoli Jet, zwracając się do Tristana Chu. – Jewel miała talent do homunkulusów. Pan pewnie do architektury. Pani talent to zapewne tropienie – dodał, spoglądając na anielicę, która towarzyszyła policjantom w mieszkaniu Dantego.

Zaczął kiwać głową.

– Ale Dante, Dante jest dobry ze wszystkim, co martwe. W ciągu kilku ostatnich dni wszędzie wokół niego pojawiały się duchy.

Z dołu dobiegło parę skrobnięć. Brzęk. Stukot.

Jet roześmiał się cicho, myśląc o tym, jak Dante przywołał ciało na swej komodzie, a potem widmo Pendletona. Zdał sobie sprawę, co obecność jego brata mogła oznaczać dla niespokojnego ducha tłukącego się po piwnicy.

W oczach Tristana Chu rozkwitły pierwsze oznaki prawdziwego strachu.

– Jest wskrzesicielem – wyszeptał Jet, spoglądając na Chińczyka bez śladu sympatii. – Jest nim czy tego chce, czy nie. I spójrzcie, zmarli powstają z grobu w jego obecności.

–Co ci zajęło tyle czasu? – zapytała zniecierpliwiona Laura, gdy chwilę później Jet podbiegł truchtem do samochodu. – Miałeś coś do obgadania z Chu?

–Składałem ostatnie wyrazy szacunku – odparł.

Zaczął się tłumaczyć, lecz leżący na tylnym siedzeniu Dante stracił wątek. Wszystkie siły, jakie mu zostały, włożył w zejście do pokoju Jewel. Był wówczas wściekły, przerażony i bliski szaleństwa, teraz zaś, po tych wszystkich przeżyciach ogarnęło go takie zmęczenie, że nie można tego było opisać słowami. Czuł się zupełnie niezdolny do oporu, niczym meduza, tak jakby ukryty w jego brzuchu worek wysłał mu z kości wszystkie substancje odżywcze, pozostawiając za spoiwo jedynie chrząstki i skórę.

Pogrążył się we śnie. Jet i Laura cicho rozmawiali na przednim siedzeniu. Latarnie uliczne przyływały i odpływały niczym kolejne tyknięcia Dziadka Zegara.

Przypomniawszy sobie, jak jeździli nocą długim brązowym samochodem, oldsmobilem albo impalą – Jet by to pamiętał. Rzucane przez latarnie cienie przemykały nad nimi, powiększając się i odpływając w dal. Wracali do domu z kina albo – rzadziej – restauracji. Zawsze siedzieli na tylnym siedzeniu we dwóch – on i Jet. Nogi mieli tak krótkie, że mogli nimi wymachiwać, nie dotykając oparcia przed sobą. Winyłowe obicie było suche i gładkie niczym skóra węża. W oparciu znajdowała się popielniczka. Mała metalowa pokrywka skrzypiała przy otwieraniu i zatrząskiwiała się, gdy ją puszczał. Pociągnięcie, skrzypnięcie, trzask. Pociągnięcie, skrzypnięcie, trzask. Doprowadzało to ojca do szaleństwa.

Pociągnięcie, skrzypnięcie, trzask.

Wyczuwał gniew doktora Ratkaya emanujący z przedniego siedzenia niby złowieszczą chmurę. Nie potrafiłby odpowiedzieć, dlaczego wciąż wymachuje nogami i strzela popielniczką. Pochylał głowę i robił to, jak chłopiec pogrążony w beztroskiej zabawie, gdy nad jego głową zbierała się burza.

Pogrążony w snach Dante unosił się na skrzydłach anioła. Jakaś jego część pozostała jednak w gabinecie Jewel. Czy raczej to ów gabinet był teraz w jego wnętrzu niczym pajęczyna wypełniająca mu ciało. Fragment jego jaźni wciąż się tam szamał, papierowe skrzydła tłukły się jak umierające serce.

Obudził się, zdyszany od niespokojnych wizji, gdy samochód Laury zatrzymał się na wysypanym żwirze podjeździe domu jego rodziców. W chwilę później poczuł na łokciu dłoń Jeta. Brat pomógł mu wstać.

Wzdrygnął się, poczuwszy zimne, jesienne powietrze. Boże, jaki jest zmęczony. Chciałby rozjaśnić sobie umysł na tyle, by móc powiedzieć Laurze coś uspokajającego, lecz sen był trucizną w jego krwi, utrudniał mu myślenie,

przeszkadzał w mówieniu. Niewykluczone, że obiecał, iż spotka się z nią jutro, ale nie był tego pewien.

Nagle znaleźli się w korytarzu. Jet szedł pewnie, choć ukradkiem, Dante zaś opierał się o ścianę jak pijany. Zmiażdżył przy tym filcowy kapelusz wiszący na wieszaku. Zewsząd otaczały go płaszcze, kapelusze i parasole.

Kapelusz?

Ojciec od lat nie nosił nic takiego. Dante przyjrzał się nakryciu głowy, starając się je zidentyfikować. Aha, to Pendletona, pomyślał z ulgą. To wszystko wyjaśniało. Szykowny filcowy kapelusz Pendletona, ten, który włożył, wychodząc z eleganckiego apartamentu hotelowego. Dziwne, że przedtem go nie zauważyłem, pomyślał. Mógłbym go wykorzystać, kiedy sondowałem jego przeszłość.

Coś ukrytego w czarnym wełnianym płaszczu ciotki Sophie ucisnęło go boleśnie w biodro. Zamrugał powiekami, wsunął rękę do jednej kieszeni i wydobył stamtąd garść kamieni. Wpatrywał się w nie jak głupi. Dlaczego ciotka Sophie miałaby nosić kamienie w kieszeni? Gdy wreszcie podniósł wzrok, zobaczył, że Jet patrzy na niego, a jego ciemne, przymrużone oczy mają zamyślony wyraz.

To coś dla niego oznacza, pomyślał.

W tej chwili nie obchodziło go jednak nic poza snem. Schował z powrotem kamienie tam, gdzie je znalazł, i powłókł się na górę, do łóżka. Uderzył głową o poduszkę i runął w otchłań.

Spadając z obszarów świadomości w pozbawioną snów głębię, minął siebie, nadal uwięzionego w gabinecie Jewel.

Tym razem nie było tam motyli. Siedziała za biurkiem, ubrana w białą bluzkę i szarą, wełnianą spódnicę. W pomieszczeniu znajdowały się jeszcze trzy meble, na których można było spocząć: wygodny brązowy fotel, twarde dębowe krzesło obok sekretarzyka oraz mały sosnowy taboret naprzeciwko koszmarne domku dla lalek. Dante chciał usiąść w fotelu...

Morderstwo!

...i zatrzymał się jak wryty, gdy zawyło w nim przerażenie. Serce zabiło mu jak szalone. Poczł suchość w ustach. Podniósł się bardzo powoli i usiadł nieśpiesznie na dębowym krześle za sekretarzykiem. Było twarde, ale przynajmniej nie spowijała go pajęczyna grozy. Popatrzył raz jeszcze na złowieszczy brązowy mebel i przeszył go dreszcz.

To test – powiedziała Jewel. – Potrafię wiele powiedzieć o danej osobie na

podstawie tego, gdzie usiądzie.

–Czy jest aniołem.

Wzruszyła ramionami.

I inne rzeczy. Istnieją aniołowie, którzy usiedliby w fotelu, wiedząc to, co pan.

–A pani?

Mam własne miejsce – odparła Jewel rozparta jak na tronie, na stojącym za biurkiem wiktoriańskim potworze o wysokim oparciu. Za plecami kobiety stał wysoki regał wznoszący się nad jej skrytą w cieniu twarzą.

–Ale gdyby była pani kimś innym. Gościem, który poczuł to po raz pierwszy. Czy usiadłaby pani w fotelu, żeby się popisać, czy też tu, gdzie ja siedzę, by zademonstrować całą swą wolę i niezachwianą determinację? A może przycupnęłaby pani na taborecie, żeby pobawić się lalkami?

Pyta pan poważnie?

Skinął głową.

Mówiąc poważnie, zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, żeby nigdy nie przejść przez te drzwi – odparła.

Dante przyglądał się, jak na jej szyi trzepocze para nieopisanie pięknych, lśniących niczym klejnoty skrzydeł. Spod bluzki wylazł motyl.

Jestem śmiertelnie groźną anielicą – wyszeptała Jewel. W ślad za pierwszym owadem pojawił się drugi. Potem z siwiejących włosów kobiety wy dostał się trzeci, który zaczął się zsuwać wzdłuż jej ramienia.

Nie ma pan dzieci, prawda? – zapytała ostrym tonem.

–Nie – wyszeptał Dante.

Pokręciła głową, z której wypadł kolejny motyl.

To jedyna zasada, której przestrzegam – stwierdziła stanowczo. – *Proszę bardzo, niech pan ryzykuje na własny rachunek, jeśli pan chce, ale nie miesza do tego dzieci. Z reguły nie pozwalam zejść tu, na dół, żadnemu aniołowi, dopóki się nie upewnię, że jest bezdzietny, ale dzisiaj jestem taka...*

Głos Jewel ucichł. Niepewność przestłoniła jej oczy niczym zaćma.

–Nie mam dzieci – zapewnił szeptem.

Skinęła powoli głową, wyciągając rękę.

To niech mi pan poda dłoń – mruknęła. – Niech mi pan poda dłoń, a odcisnę pańskie palce na Bogu.

Całkiem jak Jet, który odciska na mnie swe tajemnice, pomyślał Dante.

Posunął się już jednak zbyt daleko, by się cofnąć. Był w pułapce i zaczynało mu brakować czasu.

Wyciągnął rękę.

Kiedyż to nie ma w nas śmierci?

Żywi i zmarli są tym samym,

podobnie jak przebudzeni i śpiący,

młodzi i starzy.

Heraklit

Portret

Zgodnie z powszechnie obowiązującą zasadą, nigdy formalnie nie skodyfikowaną, lecz mimo to niezmienną jak prawo grawitacji, w każdym albumie musi się znajdować zdjęcie ulubionego zwierzątka.

Moim ulubionym zwierzątkiem jest kolonia rdzy. Trzymam ją w szklanym słoiku nad kaloryferem. Jeśli należycie ją podlewać, ciepło wspomaga jej trawienie. Jako podkładki użyłem starego gwoźdźca. Zdzieralem papier z klamerek do zamykania plastikowych torebek, żeby wyhodować odrośle. Staram się raz na tydzień dać jej coś fajnego do jedzenia: parę jej ulubionych smakołyków, jeśli jestem w dobrym humorze, a spinacz biurowy, miedziany i trudny do strawienia, jeśli jestem w złym. Na Dzień Ojca dostaje ode mnie pinezkę, a na Boże Narodzenie pokrywkę puszek po konserwach. W Dzień Dziękczynienia wrzucam do słoika cały kłębek wiórków stalowych.

Sądzę, że dzięki rdzy można wysnuć jakiś morał. Nasze ciała rozkładają się, atakowane od wewnątrz przez własne wolne rodniki. Nasze umysły również się kruszą w miarę narastania potęgi magii. Czytałem w niedzielnym wydaniu „Timesa”, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat liczba schizofreników w populacji podwoiła się, a w ciągu pięciu kolejnych oczekuje się następnego podwojenia. Z serc naszych wielkich miast wyłazi i szerzy się zgnilizna. Żyjemy w świecie trawionym powolną korozją. Wszyscy rdzewiejemy od środka.

Jeśli dokładnie się przyjrzeć, we wszystkim można odkryć pewien morał. Ja z reguły się przyglądam – być może zbyt często. Może wystarczy, jak powiem, że lubię moją małą kolonię. Chociaż nie jest żywa, rośnie – to przykład dla nas wszystkich! Wpływa dobrze na mój humor. Tym razem zdjęcie jest kolorowe, gdyż rdza ma piękny czerwony odcień.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, Sarah wpadła do pokoju Dantego. Jet podązał tuż za nią. Odsunęła szeroko zasłony, co spowodowało, że pomieszczenie załało blade

jesienne światło.

Dante zamrugał.

–Siostrzyczko?

Nadal był senny i dezorientowany, lecz uspokoił się, widząc, że pokój wygląda tak samo jak zawsze, a za oknem wstał zwykły dzień.

Fragmenty snu niczym karaluchy pierzchły do ciemnych zakamarków jego umysłu.

Był zadowolony, że się obudził.

–To się musi skończyć – syknęła Sarah.

Twarz jej zbieiała od wysiłku i bezsenności.

–To nie tylko jego wina – uspokajał ją Jet. – Tym razem.

–Nie mieszaj się do tego! – krzyknęła. – Chodzi ci tylko o to, żeby odnaleźć duszę, ojca, czy co tam swoim zdaniem zgubiłeś. Guzik cię obchodzi, co się stanie z nami.

Dante z wysiłkiem usiadł na łóżku. Kurczę blade. Ostatni raz spał w ubraniu, kiedy miał dwanaście lat. Płócienna koszula była przygnębiająco wymięta, a jedna spinka z niej wypadła. Grzebał długo w pościeli, dopóki jej nie znalazł.

–Co się musi skończyć?

–To! Twoje anielstwo, którym przywołujesz te wszystkie duchy!

Potał powieki, po czym przebiegł dłonią po szatańskich brwiach i łysiejącym czole.

–O jakie właściwie anielstwo ci chodzi?

Jet zachichotał.

–Wygląda na to, że z ciebie prawdziwa puszka Pandory, Dante. Odkąd cię otworzyliśmy w piątek, wylatują z ciebie najróżniejsze okropieństwa.

Dawka adrenaliny niczym lodowata woda wypełniła mu żyły, rozbudzając go boleśnie.

–Kapelusz Pendletona – wymamrotał. Jet popatrzył na niego, unosząc czarną brew. – Na wieszaku na dole – wyjaśnił Dante. – Zobaczyłem go, jak wracaliśmy nocą, ale byłem za bardzo zmęczony, żeby jasno myśleć. Musi mieć przeszło trzydzieści lat. Czy widział go ktoś jeszcze?

Jet wypadł z pokoju. Wrócił po kilku sekundach.

–Faktycznie. Wisi sobie na wieszaku. Drogi filcowy kapelusz z atlasową podszewką, którego tu nigdy nie widziano.

–Boże. Mam nadzieję, że ciotka Sophie go nie zauważy – mruknęła Sarah. – Obrączka jej wystarczy.

–Chyba już zauważyła – szepnął Dante. Ogarnęła go groza na wspomnienie czarnego, wełnianego płaszcza ciotki, ciężkiego od kamieni.

Ile zabrakło, by weszła do rzeki, żeby odnaleźć mroczne miejsce, w którym uwolniłaby stare rany od bólu?

Tak właśnie odszedł Pendleton, prawda? Rzucił się do rzeki, gdy ujrzał, na niemowlęcym policzku Jeta, ozdobionego rombem motyla i zrozumiał, że przegrał w karty duszę pierwородnego syna.

Sarah ciężko usiadła na jego łóżku.

–Chcesz powiedzieć, że nawet nie wiedziałeś, co wyrabiasz?

Uśmiechnął się słabo.

–Ale niespodzianka, co?

–W takim razie, czy możemy cię wysłać do egzorcysty, psychoanalityka, pralni chemicznej albo gdzieś? Prześladowuje mnie duch, i to mi się raczej nie podoba.

Świetnie, pomyślał Dante. Jeszcze jeden sposób na zatrucie życia własnej rodziny.

–Chcesz o tym porozmawiać?

–Nieszczególnie – odparła krótko. – Chciałabym się tylko dowiedzieć, co mamy zrobić teraz.

–Ja też mam ducha – zaczął ostrożnie Dante, starając się połapać w tym, co się działo w nim, w środku. Od chwili sekcji zalewały go fale wspomnień. Teraz jednak, gdy postawił ostateczny krok, wchodząc do gabinetu Jewel, zaczął również wyczuwać przyszłość. Rozrastała się ona w ciele terażniejszości jak rak.

–Jewel dostała się w nocy do mojego wnętrza – wyjaśnił, spoglądając na Jeta. – Kiedy byliśmy w jej pokoju w klubie aniołów.

–Chryste.

Jego brat dotknął motyla na swym policzku.

–Może wywołałem jej ducha, tak jak wtedy, gdy wciągnąłem w siebie Pendletona. Jest teraz we mnie. Nie tylko wtedy, kiedy się koncentruję, ale przez cały czas. Siedzi w środku jak pasożyt.

–Albo torbiel.

Skinął z niechęcią głową. Możliwe, że to Jewel czaiła się w mięsistym białym worku ukrytym w jego brzuchu; Jewel niczym pajęczycza z potomstwem, czekająca na moment wyklucia.

Kłęczała obok niego (pod jego skórą, pod mięśniami brzucha, wewnątrz tajemnego mięsa ukrytego w samym środku), gdy patrzyli oboje na domek dla lalek. Delikatnie, bardzo delikatnie, rozłupała go, by pokazać Dantemu jego samego. Leżał w salonie zwinięty u stóp Dziadka Zegara.

Owo wspomnienie wbiło się w niego niczym skalpel, przecięło gładko skórę i zatopiło ponownie, w czasie tuż po jego trzecich urodzinach.

Tik. Tak. Tik. Zapachy dywanu: kurz i popiół ze starych papierosów. Szorstki dotyk włosów na policzku.

Dziadek Zegar dzieli czas podobnie jak przestrzeń. Każdym tyknięciem odejmuje z twego życia sekundę. Tik. I pewnego dnia matka umrze. Tak. I ojciec umrze. Tik. Ciotka Sophie umrze. Tak. Jet umrze. Tik.

Ja też umrę.

Tak.

Umrę.

Tik.

Miał trzy lata. Klepnął dłonią w dywan, by zobaczyć, jak pyłki tańczą w snopie słonecznych promieni.

Śmierć wypełniła go po brzegi i przelała się przez nie. Nie był w stanie jej uchwycić, czuł tylko, jak go zalewa, olbrzymia, mglista i straszliwa.

Tak.

Miał trzy lata i leżał z głową na dywanie, już umierający, obserwując, jak pyłki przelatują przez snop światła i znowu nikną w cieniu.

Światło i ciemność.

Unoszenie się i opadanie.

Tik.

Zaczynasz podejrzewać to, co już wiesz.

Palce Jewel zamknęły się wokół jego palców, napięte jak drut.

Jeszcze zrobię z ciebie anioła.

–Czy możliwe, żeby to Jewel wywoływała duchy? – zapytała Sarah.

Dante zmarszczył brwi.

–Nie sądzę – odparł powoli. – Jej specjalnością były homunkulusy. Istnieje tu pewne podobieństwo, ale to nie to samo. Skupiała się na jakiejś wizji, może osobowości albo archetypie, i tak długo medytowała nad nią, aż przebudziła ją do życia. To jednak były byty, które istniały już wcześniej w świecie cieni.

–W zbiorowej podświadomości – zasugerował Jet.

–Tak jest! Tak jest. Ale ta druga sprawa... to wywoływanie duchów prawdziwych ludzi: sądzę, że ja to robię. Istnieje swego rodzaju... pole czy coś takiego.

–Efekt Łazarza – zaintonowała Sarah. – Bomba. Jesteśmy uwięzieni w odcinku *Strefy mroku*.

–Ale co z Pendletonem? – dopytywał się Jet. – Co ze mną?

–Pendleton przegrał cię w karty z homunkulusem – mruknął Dante, usiłując przywołać wspomnienie, które nie należało do niego. Było to tak, jakby próbował czytać drobny druk w półmroku, mając na nosie okulary przeznaczone dla kogoś innego. – Jewel nazywała go Albertem, ale jego prawdziwe imię brzmiało Szalbierz. Przyjrzała się Pendletonowi i to, co w nim zobaczyła – krętacza, kombinatora – stało się załączkiem jej homunkulusa. Ale oczywiście Szalbierz nie był człowiekiem: był szybszy, cwańszy i bardziej bezlitosny od Pendletona.

Dante podniósł wzrok.

–Przez pewien czas działał w Mieście jako kombinator, ale potem coś się zmieniło. Kiedy Jewel widziała go po raz ostatni, prowadził na wschodnim brzegu małą księgarnię o nazwie „Tanie Książki”.

Jet złapał za książkę telefoniczną. Z ust wyrwał mu się cichy, dziwaczny śmiech.

– „Tanie Książki: U Nas Kupisz Korzystnie”. – Przepisał adres i powoli zamknął książkę. – Może wybiorę się tam wkrótce z wizytą.

Dante poczuł, że ogarnia go niejasna ulga. Zbliżał się koniec, dzięki Bogu. Niemal wypełnił już swój obowiązek wobec Jeta. Boże, był taki zmęczony. Może to ukryta w jego wnętrzu narośl okradała go z całej energii, tak jak pług kradnie substancje odżywcze z ciała matki. Spokojnie, powiedział sobie. To już prawie koniec.

– Mam z tobą pójść?

Jet pokręcił głową.

– Zrobiłeś już wszystko, o co mógłbym cię prosić – odpowiedział powoli. – Gdybym wiedział, ile cię to będzie kosztowało, w ogóle nie poruszałbym tej sprawy.

– Wiedziałeś to – warknął z niecierpliwością Dante. Przypomniawszy sobie własne żebra wbijające mu się w plecy, gdy mocowali się w grobie na Three Hawk Island. Smak ziemi w ustach, smak własnej śmierci. – Wiedziałeś, co było pod kocem, do cholery. Teraz już za późno mówić „przepraszam”.

– Możliwe. – Jet zamknął ciemne oczy. – Ale cię przepraszam, Dante. Naprawdę.

Dante poczuł dłoń Sarah na swym ramieniu.

– Wszystko będzie w porządku – powiedziała, obejmując go. Pociągnęła nosem i uśmiechnęła się. – Przepraszam, że byłam taką beksą. Wszystko się jakoś ułoży, D. – Raz jeszcze ucisnęła jego bark. – Wszystko będzie dobrze.

– Dziękuję – odparł.

Sarah wyszła, lecz Jet został, dostrzegając prośbę w spojrzeniu brata. Dante, siedząc na łóżku, wciągał koszulę i wyglądał przez okno. Na rosnących na podwórku topolach kołysały się ostatnie kruche liście. Dalej widział nagi ogród ścięty wczesnym przymrozkiem. Jeszcze dalej, mroczną rzekę. Patrzył na nią przez całe życie. Płynęła nieustannie przed jego oczyma, toczyła swe wody w dół doliny, znikając w cieniach, poza zasięgiem jego wzroku. Bóg jeden wiedział, gdzie się kończyła. Pewnie w oceanie. Ginęła w czarnym ogromie Atlantyku.

– Dlaczego boimy się śmierci? – zapytał.

Jet podrapał się po brodzie.

– Mam wrażenie, że to rozsądna obawa.

– Kiedy jesteś wysoko, boisz się spaść. Kiedy widzisz igłę, boisz się bólu. Ale ze

śmiercią jest inaczej. Mam rację?

–Tak... chyba masz – przyznał Jet. Zawsze rozumiał, co chciał powiedzieć jego brat.

–Tu nie chodzi o konsekwencje – ciągnął Dante, marszcząc brwi. – Śmierć po prostu jest. To jedyny fakt, tkwiący w samym środku ciebie niczym serce. Jedyne, co wiesz. Boisz się jej jak, jak...

–Jak powinienes bać się Boga.

Dante skinął głową. Z emaliowanego pudełka na komodzie wydobył nową parę spinek, złotych, z okruchami gładzonego nefrytu.

–To jedyny fakt – powiedział wreszcie, spoglądając na rzekę. Ciemna i gładka, toczyła swe wody w dal, by wreszcie dotrzeć do oceanu. – Jedyne, co wiesz.

Tym, co na pewno wiedział Dante, było to, że musi porozmawiać z ojcem. Pomyślał skwaszony, że odkłada to, tak jak zawsze odkładał wszystko, co było nieprzyjemne. W napływie pogardy do siebie zmusił się do zejścia na parter, gdzie się dowiedział, że stary wyszedł zanieść mazidło na reumatyzm dla Jessa Beltona oraz amulet dla córeczki Julie Gregson. Matka postanowiła wykorzystać wyprzedaż po Dniu Dziękczynienia, żeby kupić ładnego indyka, a Sarah pojechała do miasta. Została tylko ciotka Sophie, która kręciła się po kuchni, zajęta pieczeniem jednego ze swych specjalnych tortów. Wszędzie leżały jajka, cytryny i miseczki z kwaśną śmietaną.

Dante wymknął się z powrotem na górę, sfrustrowany, lecz zarazem pełen ulgi. Kąpiel – oto czego potrzebował. Poleżeć sobie w wielkiej, ciepłej wannie, jakby znowu miał osiem lat.

Kurczę, pomyślał odkręciwszy kran. Trzeba było zadzwonić do laboratorium i zostawić wiadomość na automatycznej sekretarce: „Przepraszam, ale już tu nie przyjdę. No wiecie, niedługo umrę. Cześć”. Nie szkodzi. Wkrótce sami się pokapują.

Wszedł z radością do cudownie gorącej wody. Dręczyły go bóle w napiętych, po wielu dniach bliskiego panice stanu, mięśniach, zwłaszcza w plecach i barkach, gdy jednak aż po pierś zanurzył się pod powierzchnię, poczuł, że całe jego ciało westchnęło z przyjemności. Dotknął lekko brzucha, jak lekarz badający wyrostek. Był niemal pewien, że wyczuwa wypukłość.

Wsunął się powoli pod wodę, pozwalając, by zalała mu twarz. Z nosa uchodziło mu mnóstwo pęcherzyków. Kąpiel była cudownie relaksująca, ciepła jak krew.

Jeszcze trzy dni, pomyślał.

Z kurka od ciepłej wody wypadł motyl.

–Chryste! – zawołał Dante, patrząc jak porusza się i nasiąka. Jego zmięte skrzydła szybko przemokły. – Nie możesz robić czegoś mniej obrzydliwego?

Anioł nie jest mocą, lecz kanałem dla mocy. Jeśli masz w sobie różę, pojawia się róża. Jeśli guz, wyrasta guz.

Poszukał ręką mydła.

–Według twojej definicji aniołowie przypominają świrów – zauważył. – Moja siostra zna jeden kawał na ten temat. Mówi: „Pamiętasz Syna Sama? Tego, co zabił dwanaście osób i twierdził, że kazał mu to zrobić jego pies? Co to za głupi powód? Jeśli twój pies powie ci, żebyś rozwalił komuś łeb z pistoletu kalibru czterdzieści pięć, to co mu odpowiesz? NIEDOBRY PIESEK!”.

Jewel parsknęła śmiechem.

Fajny kawał.

Dante skrzywił twarz i wyłowił martwego motyla butelką szamponu. Wychylił się z wanny i strząsnął go do toalety.

Dlaczego trzy dni? – zapytała Jewel.

–Kiedy robiliśmy sekcję, zawarłem umowę. Tydzień na uporządkowanie spraw.

Umowę z kim?

–Po... po prostu umowę – odparł poirytowany Dante.

Ze sobą. Zawarłeś umowę ze sobą.

–A jeśli nawet, to co?

To ty uważasz, że umrzesz. Ty na to czekasz.

–A jak ty zginęłaś? – zapytał markotnie.

Nie chcę o tym rozmawiać.

–Czy to był któryś z twoich homunkulusów? Założę się, że tak. Po prostu nie potrafiłaś się zatrzymać, co? Co to był za homunkulus? Założę się, że Nemesis.

To nie był homunkulus.

Coś obcego zadrżało w głębi ciała Dantego.

–Trzeba było to coś zostawić w spokoju.

Tak. Ale wolna wola jest dla ludzi, nie dla aniołów. Ich wielkość polega na poddaniu się Wielkości. Im większy anioł, tym mniej ma swobody. Tym bardziej krępują go otaczające moce.

Światła w pokoju Jewel (głęboko w jego wnętrzu) przygasły. Nie siedziała już spokojnie za biurkiem, lecz chodziła nerwowo po gabinecie, przebiegała palcami po grzbiecie ulubionej książki albo dotykała lekko jednej z masek, jakby szukając ukojenia w tym, co знаła.

Czarodziej próbuje zapanować nad magią – stwierdziła. – Anioł zaś jest jej kanałem, łożyskiem. – Zwróciła się do niego. – Ona nie wywodzi się z ludzkich snów. Kapujesz? To nie tylko nasze wizje czy pragnienia. Ona istnieje naprawdę. To właśnie trzeba pojąć – wyszeptwała. – I... – ciągnęła z wysiłkiem – i istoty, które tam widzimy, również są rzeczywiste.

–Tak jak homunkulusy.

Pokręciła głową.

Tylko częściowo. Homunkulusy nas potrzebują. Odnajdujemy je i wyprowadzamy w światło. Istnieją jednak też inne istoty... Chu nigdy ich nie dotknął. Aster i jej banda nawet ich nie szukali. Nie odważyli się, mimo że im wszystko opowiedziałam. Nie byli w stanie nie zamknąć oczu. Ale w zeszłym roku po raz pierwszy dotknęłam czegoś, co potrafiło wyjść na świat o własnych siłach, a potem wrócić.

Zadrżała.

Wiesz, jak takie coś trzeba nazwać, prawda? – zapytała z cichym, przerażonym chichotem. Zatrzymała się przed biurkiem i popatrzyła na siedzącą na nim lalkę – ciemnooką lalkę o ludzkich włosach. Ta odwzajemniła jej spojrzenie szeroko otwartymi, czujnymi oczami.

Pod siłą jej spojrzenia koronkowe rękawiczki Jewel zaczęły drgać i trzepotać, przeradzając się w masę szarych, pełzających ciał.

Trzeba to nazwać bogiem.

Po obiedzie Dante złapał ojca w gabinecie.

–Możesz mi poświęcić minutkę?

Siedzący za biurkiem doktor Ratkay, zaskoczony podniósł wzrok.

–Właściwie to...

–To jest ważne.

Ojciec przymrużył powieki, westchnął i skinął głową. Dante wszedł do środka.

Jesteśmy do siebie podobni, pomyślał. Kiedy to się stało? Gdybym obejrzał album mamy, jakiego człowieka zobaczyłbym nad swoją kołyską?

Doktor Ratkay powoli obrócił się na krześle, by spojrzeć na syna.

–Słucham?

Dante głęboko zaczerpnął tchu.

–Tym, których Bóg chce zniszczyć, odbiera najpierw rozum. Niedługo umrę, tato. – Uciał sprzeciw ojca. – Umrę bardzo niedługo i chcę, żebyś mi obiecał, że mnie nie potniesz. Żadnej sekcji, żadnego balsamowania, żadnych... manipulacji.

Doktor Ratkay usiadł wygodniej, spoglądając uważnie na syna. Wydawał się mały, znacznie mniejszy niż Dante go zapamiętał. Masywne krzesło za biurkiem było teraz dla niego zbyt duże. Nabił fajkę. Jego palce poruszały się znacznie wolniej i precyzyjniej niż zwykle, jakby najmniejszy błąd mógł spowodować uszkodzenie narządu bądź przecięcie tętnicy.

–Zaczynałem karierę jako patolog – wyszeptał po chwili. – Chyba o tym wiesz. Czy mówiłem ci kiedyś, dlaczego wróciłem tutaj, żeby zostać lekarzem ogólnym?

Dante pokręcił głową i po raz pierwszy zastanowił się nad tą kwestią. Dlaczego Anton Ratkay, młody, bystry lekarz, który dopiero co otrzymał dyplom, wrócił do domu rodziców, przepełnionego mdłym zapachem powolnej śmierci matki? Stara, gruba kobieta, szarpiąca Dantego za rękaw, jej pozlepiane białe włosy; jej miękkie łóżko niczym pułapka, ruchome piaski. Przypomniał sobie Sally Chen w domu opieki, drącą własne zdjęcia na drobne kawałeczki, kolorowe kwadraciki, tak małe, że traciły wszelkie znaczenie.

–Patolodzy to najgorsi hipochondrycy – stwierdził po namyśle doktor Ratkay. – No wiesz, wszystko kończy się śmiercią. Nie istnieje nic takiego, jak przeziębienie, które minie, lekki przebieg zapalenia płuc, łagodny guz. Za każdym razem, gdy badają pacjenta, jest to przypadek śmiertelny. Żyją w ciągłym strachu. – Westchnął. – Strach, który drąży życie człowieka aż do najgłębszych otchłani, napęnia wszystko mrokiem śmierci i nie pozostawia czystą żadnej rozkoszy.

–Wergiliusz?

–Lukrecjusz.

Doktor Ratkay ubił tytoń w fajce. Palce mu drżały. Skóra nie przylegała do nich już tak, jak niegdyś. Zwisiała wokół kostek, pokryta plamami wątrobowymi, pożółkła ze starości i od dymu.

–Nie chciałem pokazywać dzieciom świata przez pryzmat patologii.

–Cóż, zrobiłeś, co mogłeś – zauważył Dante. – Z tą czaszką na biurku i innymi radosnymi naukami. Twoja historia drugiej wojny światowej przypominała katechizm, tato: „I nędza zrodziła Hitlera, a Hitler zrodził naloty, a naloty zrodziły Drezno, a Drezno zrodziło Oświęcim” i tak dalej, i tak dalej.

Doktor Ratkay zamrugał powiekami.

–Naprawdę taki byłem?

–A jak ci się zdaje?! – odparł Dante ze śmiechem i złością zarazem. – Czułem się, jakbym mieszkał z doktorem Mengele!

Doktor Ratkay wyciągnął zapalną z drewnianego pudełka i potarł nią o draskę drżącymi palcami.

–Nie chciałem tego – powiedział cicho. – Nie chciałem, żeby to tak wyszło. Ale... – W fajce rozżarzył się ogień. Małeńkie pasma tytoniu zapaliły się i zmieniły w popiół, przywodząc na myśl niemieckie wioski bombardowane przez lancastery. – Chciałem, żebyś o tym wiedział. To było dla mnie ważne.

–A co to właściwie za imię – Dante? Nie mogłeś mi po prostu kupić na osiemnaste urodziny biletu autobusowego do piekła?

–Chyba pojechaliśmy wtedy odwiedzić twoją ciotkę Glorię. O ile sobie przypominam, nie było widać większej różnicy.

Doktor Ratkay usadowił się wygodnie, wciągając dym. Jego twarz wydawała się chuda, bruzdy między brwiami głębsze niż te, które pamiętał Dante. Wyglądał na bardziej zmęczonego.

Westchnął.

–Zacząłem studia medyczne niecałe dziesięć lat po wojnie. Znaczącą część tego, co wiemy, zwłaszcza na temat fizjologii i leczenia urazów, zawdzięczamy badaniom przeprowadzonym właśnie podczas wojny. Zamykali wtedy psy w drewnianych budkach i wysadzali je w powietrze, żeby zbadać tego skutki. Wiedziałeś o tym?

Dante przełknął ślinę.

–Hm. Też tak na to zareagowałem. Ale w następnych latach, gdy już odbyłem staż i zacząłem praktykować tutaj, pojawiło się jeszcze okropniejsze pytanie – co zrobić z danymi, pochodzącymi z obozów śmierci? Przed chwilą wspomniałeś o Mengelem. Mnie z pewnością zawdzięczasz to, że znasz jego nazwisko. Niemniej, przeprowadził on w obozach wiele, hm, badań na ludziach. Tak samo, jak Japończycy. Tych, których poddawali eksperymentom nazywali „klocami”. – Krzesło zaskrzypiało, gdy doktor Ratkay pochylił się do przodu. – Kończynę jednego z „kloców” zanurzono w płynnym azocie i odłamano. Skutki były następujące...

–Dlaczego mi o tym opowiadasz?

Doktor wykonał gest fajką, wypełniając powietrze obłokami niebieskawego dymu.

–Dlatego, że takie właśnie jest życie, Dante! Jest w nim nie tylko miłość, trawa, łyżwy w zimie i dobra, mocna kawa z samego rana. – Pokręcił głową. – Mnie nikt tego nie powiedział. – Przerwał i wciągnął w płuca długi haust dymu. Zatrzymał dym tak długo, aż zaczął mu się wydostawać przez nozdrza, a następnie buchnął gwałtownie na zewnątrz, przesłaniając mu twarz. – Rodzice nie rozmawiali o nieprzyjemnych sprawach. Mój brat umarł na gorączkę malaryczną i nigdy o nim nie mówiliśmy. Lesliego zestrzelono nad Włochami, gdy skakał ze spadochronem, i przestał dla nas istnieć, nim jego ciało dotknęło ziemi. Zestrzelenie spadochroniarza jest sprzeczne z Konwencją Genewską – dodał, śmiejąc się z goryczą. – Tak jakbyśmy przestrzegali zasad. Jakbyśmy czekali, aż człowiek opadnie na ziemię, by podejść do niego, uścisnąć mu dłoń i odprowadzić go do wygodnego ośrodka, w którym zaczeka sobie na koniec wojny.

Prychnął pogardliwie. Gęsto otaczający mu głowę niebieski dym zawirował.

–Nigdy nie mówiliście o dziecku ciotki Sophie – zauważył oskarżycielskim tonem Dante. – Nigdy nie mówiliście o Jecie.

–Hm... nie. Nie mówiliśmy. – Doktor Ratkay kaszlnął zakłopotany. – Możliwe, że to był błąd. Twoja matka nie chciała ranić uczuć ciotki, a potem musieliśmy myśleć i o twoim bracie. Możliwe jednak, że to również był błąd. Opowiadanie tylko wesołych historii – to nie jest życie. To nie jest prawda. Zasługujecie na coś lepszego. Macie prawo wiedzieć.

–Trochę już na to za późno, nie sądzisz?

Doktor Ratkay gniewnie odłożył fajkę.

–Tak jest, to cały ty. Zawsze strzelasz z ukrycia. A mimo to przychodzisz do mnie, żeby mnie poinformować, że wkrótce umrzesz i mówisz: „Ojczy, ojczy, zraniłeś mnie.

Powiedziałeś mi, że wojna jest zła. Powiedziałeś mi, że śmierć jest straszna".

Dante się zaczerwienił.

–Nie chciałem...

Doktor Ratkay zakasłał. Suchy, dręczący spazm sprawiał wrażenie zbyt gwałtownego, by mogła mu podołać wąła klatka piersiowa i wąskie, przygarbione barki. Kiedy włosy zdążyły mu się tak przerzedzić? – zastanowił się Dante. Kiedy plecy zaczęły się garbić? Kiedy oczy przesłoniła mu zaćma i jeszcze coś więcej? Czyżby uważny wzrok chirurga zwrócił się wreszcie do wewnątrz?

–Istnieje tylko jedno antidotum na śmierć, Dante. Dzieci. Dziecko... rozumiesz, ono oszukuje czas. Przenosi w przyszłość fragment ciebie. Fragment nadziei, fragment wspomnień, kilka pasm twojego DNA. – Popatrzył na Dantego ze złością w starych, niebieskich oczach. – Pozwól, że zranię cię jeszcze bardziej, mój synu. Nie istnieje żaden Ojciec z wielką, białą brodą, który wszystko naprawi. Kiedy umrzesz, zgnijesz, a twoje życie zgnije razem z tobą.

Pochylił się do przodu, złapał Dantego za nadgarstek i przyciągnął do siebie, by poczuł woń fajkowego dymu i limonowego płynu po goleniu, żeby ujrzał niebieską szczecinę, upiorny cień na starzejącej się skórze ojca.

–Zraniłeś mnie! – wyszeptał, dygocząc. – Jak śmiesz mi mówić, że umrzesz? Co to za głupie gadanie? Ja też umrę, Dante. Zabijasz mnie tymi słowami. Rozumiesz? Ja też umrę.

Stare palce chwyciły gwałtownie nadgarstek Dantego. Doktor Ratkay podniósł się z krzesła powolnym, niepewnym ruchem, całkiem, jakby od chwili, gdy usiadł, postarzał się o wiele lat.

Uścisk powoli łagodniał.

–Ale posłuchaj, jestem już stary – powiedział cicho. – Mimo to, jestem twardy i chcę usłyszeć prawdę.

Objął syna delikatnie. Dante, zakłopotany tym, że jest od niego wyższy, pochylił się i poczuł znajomy zapach skóry ojca i jego wełnianej kamizelki.

–Już dobrze – wyszeptał doktor Ratkay. – Bez względu na to, co się stanie, wyjdziemy temu na spotkanie razem, hę? Spotkamy to razem.

W tym wspomnieniu ma trzy lata. Idzie obok taty. Była wtedy zima i gdy zeskoczył ze ścieżki, zapadł się w śnieg po kolana. Usiłował się z niego wygrzebać, ale każdą kończynę miał uwięzioną w kombinezonie, jak parówki w bułce hot doga. Miotał się w

śniegu, odgarniając go ze śmiechem rączkami w rękawiczkach z jednym palcem i nagle się przewrócił.

Poczuł zimno. Wypluwał śnieg, który także pokrył mu brwi i przedostał się do ciasno zawiązanego kaptura. Wytarł nos i pociągnął nim, spróbował się podnieść, poruszając kończynami w zdradliwym śniegu.

I wtedy ojciec pochylił się nad nim, uśmiechnięty i straszliwie silny. Wydobył go z zasy, a on się roześmiał. Ojciec zakręcił nim wkoło. Obaj śmiali się w aurze otaczającej ich zimy, a buchające im z ust obłoki pary mieszały się ze sobą. Ojciec był niestrudzony. Biały puch w dole, pod jego stopami, wirował. Dante był tak szczęśliwy, że nie potrzebował oddychać, to było lepsze niż urodziny, było doskonałe, to był lot, a on był bezpieczny – był jednym wielkim uśmiechem, w mocnych ramionach taty.

Był bezpieczny, bezpieczny i to miało trwać wiecznie.

Tego samego poniedziałkowego wieczoru, podczas którego Dante przeprowadził rozmowę z ojcem, doktor Ratkay odstawił kieliszek wytrawnego francuskiego wina i wstał z za stołu. Miał zamiar nastawić jakąś płytę, nagranie jednego z późnych kwartetów Beethovena w wykonaniu czeskiego zespołu, który bardzo podziwiał.

Zachwiał się jednak, zupełnie jakby całą uwagę skierował nagle ku swemu wnętrzu. Na jego ustach gwałtownie pojawiły się szkarłatne pęcherzyki. Potem trysnęła jasna, tętnicza krew. Padł na podłogę.

Przeżarta przez złośliwy guz tętnica pękła. Płuca szybko wypełniły się krwią.

Nie odzyskał już przytomności.

Największy ból sprawia ludziom wiedza połączona z bezsilnością

Herodot

Następnego dnia po śmierci Antona Ratkaya, Laura i ciotka Sophie stały obok siebie w jego domu, przygotowując na kuchennym blacie obiad. Laura sumiennie kroїła wielką czerwoną kapustę. Oto coś, co łączy Chińczyków z Węgrami, pomyślała. Perwersyjne upodobanie do kapusty. Zastanowiła się machinalnie, czy nie jest to winą Mongołów.

Ciotka Sophie przygotowywała sznycle. Palīła papierosa. Mówiła, trzymając go w ustach, albo ujmowała w dwa palce, maczając kolejne kawałki cielęciny w swym specjalnym cieście. Laura wciąż wyczekiwała na moment, gdy popiół z papierosa spadnie i rozsypie się niczym pieprz po sznyclowym cieście.

Właściwie nie spodziewała się, że tak to wyjdzie. Przyjechała ze względu na Dantego. Zwolniła się z pracy, gdy tylko zadzwonił Jet, by ją powiadomić, że doktor Ratkay zmarł w nocy. Przywiozła nawet papier na zaklęcia, a także tusz i pędzelki, na wypadek, gdyby Dante chciał spalić ofiarę za ojca. Ale Dante, którego zastała, był jednak niepokojąco zmieniony – uprzejmy, wynędzniały i straszliwie odległy. Wyglądało to tak, jakby wszystko, co w nim ciepłe i ludzkie, stało się pod wpływem śmierci ojca sztywne i lepkie.

–Przyjechałam pomóc – oznajmiła z werwą, myśląc: „Tak wygląda ktoś, o kim się mówi, że się postarzał przez jedną noc. Ta nagła pustka przypominająca dom, w którym nie ma ludzi”. Przypomniała sobie swojego ojca w pierwszych tygodniach po jego pierwszym wylewie – z inteligentnego, roześmianego mężczyzny. Przeobraził się w człowieka posępnego i wychudłego. Trudno mu się było podpisać, czy zawiązać sznurowadła.

Zamiast więc pocieszać Dantego, nie wiadomo jak, wylądowała w kuchni, by wysłuchać opowieści ciotki Sophie o ślubie jej młodszego brata.

–Ojciec Gwen był na próbie zupełnie spokojny, ale kiedy musiał naprawdę poprowadzić córkę do ołtarza! Przez całą drogę wspierał się na jej ramieniu. Za to matka zachowywała się zupełnie inaczej. Była staromodną nauczycielką o duszy sekatora. Uczyła mnie trzy lata i bałam się jej panicznie.

Tłuste ramiona ciotki Sophie zatrzęsły się, gdy staruszka ostrożnie włożyła sznycel do rondła. Smalec głośno zaskwierczał.

–Byłam wstrząśnięta, kiedy zobaczyłam, że przeplakała całą uroczystość... No ale,

wypiłam sobie sporo wina i zakręciło mi się w głowie. – Prychnęła. – Dodało mi to śmiałości. Dlatego zebrałam się na odwagę, podeszłam do niej i zapytałam: „Dlaczego pani płacze, pani Jones? Mój brat będzie doskonałym mężem dla pani córki!”

Ciotka Sophie przerwała, spoglądając uważnie na Laurę. Ta nigdy dotąd nie dostrzegła, jak osobliwy kolor mają jej oczy – połyskująca matowo szarość, przypominająca cynę. Charakteryzowało je to, co pan Chen nazywał „ciężkim spojrzeniem”. Laura czuła teraz ten ciężar nacechowany długimi latami śmiechu, żalu i wreszcie zdobytą wielkim kosztem cierpliwością.

–I wiesz, co odpowiedziała pani Jones? „Matki nie płaczą na ślubach dlatego, że są sentymentalne”, przy czym cały czas spoglądała na Antona i Gwen, którzy tańczyli ze sobą na środku sali, szczęśliwi jak dwa gołąbki, „płaczą, bo wiedzą, jak będzie ciężko”.

Ciotka Sophie odwróciła wzrok.

–Płaczą, bo wiedzą, jak będzie ciężko.

Szyncel zaskwierczał w rondlu. Z gabinetu doktora Ratkaya dobiegał cichy szept Gwen. Korzystała ze stojącego tam telefonu, żeby zaprosić na pogrzeb i stypę krewnych, przyjaciół oraz pacjentów z całego kraju. W salonie nieubłaganie tykał Dziadek Zegar.

Coś związanego ze śmiercią doktora Ratkaya sprawiało, że czas w umyśle Laury wyczyniał dziwne sztuczki. Wcześniej zdumiał ją starzec, który niczym duch zamieszkał w oczach Dantego. Teraz, gdy przyglądała się, jak ciotka Sophie zaciąga się papierosem – widziała pyską barmankę, którą musiała kiedyś być, popijającą z klientami, czy zalaną i zanoszącą się śmiechem na ślubie młodszego brata. Była kobietą, która z pewnością piła szkocką nie gin, która sama szła na strzelnicę podczas festynu, żeby wygrać lalkę, podczas gdy jej chłopak stał uśmiechnięty z tyłu.

Niemniej, po wszystkich tych latach, stała w kuchni i przygotowywała obiad, pogrążona w żałobie, lecz nie zamierzająca się poddać. Czyż nie tak wyglądają wszystkie ludzkie tragedie? – pomyślała Laura z nagłym przebłyskiem gniewu. Mężczyźni popadają w melancholię, pogrążają się w milczeniu i wycofują w głąb, gdy tylko napotkają coś, nad czym nie potrafią zapanować, a tymczasem w kuchni kobiety przygotowują następny posiłek, karmią dziecko i płaczą. Wszystko, co w życiu trudne, spada na nie. Nawet jej ojciec skapitulował. Poszedł sobie do nieba po zaledwie dwóch tygodniach walki z pierwszym wylewem, zostawiając żonę sam na sam z latami, które zżerały ją niczym rak.

Stała obok ciotki Sophie, czując pieczenie w oczach, i szatkowała kapustę.

Staruszka zakasłała gwałtownie, po czym splunęła do zlewu.

–To mi o czymś przypomina. Zdecydowałaś już, czy wyjdiesz za Dantego?

–Co? – zapiszczała Laura. – Czy za niego wyjdę? Oczywiście, że nie! On mi się nawet nie oświadczył!

–Jeszcze nie?

Ciotka Sophie pokręciła głową z pogardliwym prychnięciem.

–Dlaczego pytasz? Czy powiedział ci, że ma zamiar to zrobić?

Laura błyskawicznie cofnęła się myślami do ostatniej niedzieli, gdy Dante oznajmił, że ją kocha.

Ciotka Sophie mocno się zaciągnęła papierosem.

–Niezupełnie.

–No to co powiedział?

Mogłaby przysiąc, że dostrzegła w oczach ciotki Sophie błysk rozbawienia. Starsza kobieta zakasłała i machnęła ręką, za którą spłynęła wstęga dymu.

–Nic, nic. Przynajmniej mnie.

Laura przeszła ją wściekłym spojrzeniem.

–Oczywiście taka kobieta jak ty na pewno ma mnóstwo propozycji – ciągnęła ciotka Sophie łagodnym tonem. – Dobra praca. Piękne włosy. Ale jeśli chcesz założyć rodzinę, musisz się na to szybko zdecydować. – Wydawało się, że nie zauważyła, jak mocno Laura zmrużyła migdałowe oczy. – Jesteś już przecież starsza niż Gwen w chwili, gdy urodziła Sarah, a nie była wtedy wcale taka młodziutka! Niektórzy mówią, żeby poczekać do czasu, aż zdobędzie się na to pieniądze, ale osobiście uważam, że ważniejsza jest energia.

Przełożyła z rondla na półmisek kolejną parę sznycli.

Laura zgrzytnęła zębami. Najgorszy w tej horrendalnej rozmowie był fakt, że Sophie mówiła dokładnie to, co Laura sama sobie po cichu powtarzała przez ostatnich kilka miesięcy.

I, prawdę mówiąc, wyznanie Dantego nie przeszło u niej całkowicie bez echa. Co

prawda, wciąż była wściekła, gdy o tym myślała, ale gdy zobaczyła, jak popędził na ratunek Jetowi, a potem, jak rozpacza po śmierci ojca, zdała sobie sprawę z własnej samotności. Gdy poszedł z nią do domu opieki, popatrzyła na własną matkę oczami nieznanego i zdała sobie sprawę, jak bardzo nie chce się zestarzeć w samotności.

Rzecz jasna, Dante miał również zalety. Poczucie humoru, urok. Nie brakowało mu też rozumu, jeśli tylko zdecydował się wykorzystać go w jakimś celu. Gdyby tylko zdołał wyrobić w sobie jakąś... solidność. Mąż odpowiedni dla niej musiałby dawać sobie radę z presją znacznie silniejszą niż ta, z którą on w tej chwili walczy. Zbyt łatwo można go było rozbić na rozmaite kawałki.

Ale materiał jest bardzo obiecujący... Ostatecznie kocha ją, nieprawdaż? A jeśli już o tym mowa, to – powiedziała sobie z ironią – jest bardzo przystojny. Potencjalny partner powinien posiadać tę cechę, o ile to tylko możliwe.

Ciach, ciach, ciach – z wściekłością zaatakowała nadwerżoną już główkę kapusty.

–Może ci tego nie mówił, (ciach), ale jest przekonany, że wkrótce, (ciach!), umrze – warknęła. – To z pewnością stanowi przeszkodę we wszelkich planach małżeńskich.

Ciotka Sophie przez chwilę przyswajała sobie tę informację.

–Aha, więc tego się spodziewa?

Skinęła powoli głową i, nie wyjmując z ust papierosa, opłukała ręce, a następnie odwróciła się, by wyjąć z lodówki tort.

–Cytrynowy – oznajmiła, stawiając go na pokierszowanym stole, aby się ogrzał. – Ulubiony tort Gwen. Zrobiłam go wczoraj.

–Wczoraj? – Laura znów poczuła ciężar spojrzenia starych, szarych oczu ciotki Sophie. – Wiedziałaś – wykrztusiła. – Wiedziałaś, co się stanie z ojcem Dantego!

Staruszka wzruszyła ramionami.

–Domyślałam się.

Podeszła do kuchenki i przewróciła sznycel na drugą stronę.

–Twoje monety – skonstratowała Laura, przypominając sobie opowieści Dantego o jego ciotce węgierskiej wróżce.

Chwileczkę... Czy monety powiedziały ciotce Sophie coś ważnego o Dantem? Na przykład to, że ożeni się on z Laurą?

–Pamiętam, że byłam u was w Sylwestra i przepowiadałaś wtedy przyszłość – Laura

zmarszczyła brwi – ale mówiłaś, że wszystko będzie świetnie i że będzie to wspaniały rok.

Ciotka Sophie chrząknęła.

–Skłamałam. Co do diabła miałam im powiedzieć w Sylwestra? Po co psuć miłe przyjęcie?

Pokręciła głową i roztargnionym ruchem strąciła popiół do zlewu.

–Czy nie mogłaś czegoś zrobić? Kazać mu pójść do szpitala na badania albo coś w tym rodzaju?

–Zastanawiałam się nad tym, ale pomyślałam sobie – niech szlag trafi tego sukinsyna – warknęła ciotka Sophie.

Laura przełknęła ślinę.

–Przepraszam.

Oczywiście staruszka zrobiłaby wszystko, żeby uratować brata. Laura zaczerwieniła się i ponownie zajęła kapustą, choć poszatkowała ją już na cieniutkie plasterki.

–To nie jest takie proste, do cholery. Och, kiedy byłam młodsza często sobie myślałam: „Kurde, wiem, co to znaczy. Lepiej pobiegnę do Mary Furillo wybić jej z głowy ślub z tą mendą Jacksonem”; albo: „Powiem tylko Dantemu, żeby zostawił piłowanie Jetowi...”, ale nigdy nie można być pewnym, co mówią monety. Kapujesz? A im więcej się o czymś wie, tym trudniej temu zaradzić. I im gorsza wiadomość, tym mniej chętnie cię słuchają... – głos Sophie załamał się. – Pytałam o to kiedyś Antona – powiedziała po chwili. – Oczywiście nie używałam tak wielu słów. Zawsze był bardzo inteligentny. Nazwał to „efektem Kasandry”.

Przerwała i raz jeszcze zaciągnęła się ścisłanym w drżących palcach papierosem.

–Nic nie mogłam zrobić – dokończyła wreszcie.

Nic nie mogła zrobić. Nie tylko dla młodszego brata, co Laura wywnioskowała z jej zmęczonego tonu. Nic nie mogła zrobić ani dla Antona, ani Pendletona, ani dla Jeta, w żaden sposób nie była w stanie zaradzić tragediom swego długiego życia.

Ciotka Sophie stała przy kuchence, spoglądając w przeszłość.

–Kiedy byłam mała, nic podobnego nie istniało – zaczęła znowu. – Mój ojciec potrafił włożyć człowiekowi monetę do ucha i wyciągnąć mu ją z nosa, ale to była tylko sztuczka. Coś zabawnego. Ale kiedy magia jest rzeczywista, wszystkie zasady

przestają obowiązywać. Nie ma nic bezpiecznego. – Pokręciła głową. – Zgubiliśmy drogę... prorocy i aniołowie, zaklęcia, laleczki voodoo, pamiątki i magiczne gesty; na czym, do diabła, to się skończy, he? Pomyśl o Kolumbie i Magellanie. W przyszłości historycy mieli nazwać ich odkrywcami, ale wówczas oni tylko zgubili drogę. Wiemy tak dużo, a możemy zrobić tak niewiele. Poznajemy wszystkie te tajemnice i guzik nam to pomaga.

–Wiesz kogo mi przypominasz? – Laura odłożyła nóż i spojrzała ciotce Sophie prosto w oczy. – Przypominasz mi Jeta.

Jej spostrzeżenie nie zostało przyjęte zbyt dobrze, lecz godzinę później, gdy po obiedzie nie było śladu, a naczynia umyto, Laura wciąż zastanawiała się nad tą kwestią.

W rodzinie każdy był zwolennikiem mitu, który głosił, że Jet jest outsiderem. Odmieńcem. A przecież w oczach Laury był on jednym z Ratkayów, tak samo jak Dante, Sarah, czy ciotka Sophie. Miał pokój na parterze, tuż pod pokojem Dantego. Był autorem połowy zdjęć wiszących na ścianie w salonie: Dante wiosłujący na rzece, Sarah na uroczystości wręczenia dyplomów, starsi Ratkayowie pracujący w ogrodzie.

Na przykład zdjęcie czarnych topoli, ulubionych drzew pani Ratkay. Było ono czarno-białe i Jet, robiąc je, musiał leżeć na plecach, spoglądając prosto w konary wznoszących się wdzięcznie pod połyskliwe niebo drzew, których liście lśniły niczym monety. Niewątpliwie chciał tą fotografią zrobić przyjemność Gwendolyn. Czym właściwie różniła się ona od małego glinianego stojaka na ołówki, ustawionego na obramowaniu kominka (zbyt płytkiego, żeby trzymać w nim ołówki i dlatego wypełnionego monetami pozostałymi po Halloween), który Sarah zrobiła dla mamy na lekcjach wychowania plastycznego w pierwszej klasie?

Szczerze mówiąc, wszystko to spowodowało, że Laura stała się nerwowa i niecierpliwa. Zgodnie ze słowami Dantego, Jet przebywał w tej chwili w Mieście, szukając homunkulusa, który jego zdaniem ukradł mu duszę. Nie potrafiła pojąć, dlaczego zajmował się czymś równie absurdalnym w chwili, gdy powinien siedzieć w domu i dzielić ból z resztą rodziny. Miała ochotę dać mu kopa. Rodzina, prawdziwa rodzina z braćmi i siostrami, ciotkami i wujkami, cieniem starych wojen, opowieściami i tajemnicami, była zbyt cenna, by ją opuszczać w imię odrobiny samorealizacji.

Jej niecierpliwość wzmagaly wyrzuty sumienia, spowodowane tym, że nie poszła do pracy. Udało jej się wreszcie wybrać korzystną lokalizację dla solarium pana Hudsona, wróciła do swych początkowych planów i z przerażeniem odkryła, że jest w nich coś martwego. Co prawda, skrzydło, które naszkicowała, było jasne, przewiewne i atrakcyjne, lecz z jakiegoś powodu wydawało się... powierzchowne.

Szkopuł w tym, że właściwie nie wiedziała zbyt wiele o swym kliencie. Tutaj cały dom przesycala esencja Ratkayów. Zdjęcia Jeta i baseballowe trofeum zdobyte przez Dantego w szkole średniej; dwa stare plakaty reklamujące występy Sarah, zwinięte i wepchnięte za wieszak; woń barszczu i smażonej cebuli; historyczne powieści Gwendolyn, które otwarte leżały na co drugim stole; imponująca komoda w jadalni wypełniona butelkami whisky, bordo, ginu, sherry, tokaju i dobrego francuskiego wina. Niczym szkocka whisky starzejąca się powoli w dębowej beczulce, rodzina Ratkayów zestarzała się razem w tych ścianach.

Przestraszyła ją siostra Dantego, Sarah, która zbiegła po schodach i wpadła do salonu. Twarz miała zbieła. Płakała.

–Potrzebna mi twoja pomoc – powiedziała.

Spanie w pomieszczeniu bez luster przynosi pecha – to była pierwsza myśl, jaka nawiedziła Laurę po wejściu do pokoju Sarah.

Na łóżku leżała olbrzymia, wyszywana w kwiaty węgierska kołdra, w zestawieniu z zasłonami w czerwonej kratę sprawiało to lekko ironiczne wrażenie. Na serwantce spoczywała kolekcja pięknych lalek: angielska dziewczynka z niebieskimi oczyma i porcelanową twarzą, hiszpańska seniorita w czarnej sukni trzymająca w ręku karmazynowy wachlarz oraz lalka o ostrych rysach z niewiarygodną szopą włosów o barwie miedzi. Obok każdej z nich leżał mały stosik równo złożonych ubranek wraz z zestawem miniaturowych grzebieni, kokard, wstążek i spinek.

–Kiedy byłam na dole, usłyszałam tupanie – wyjaśniła cicho Sarah. – Nie miałam pojęcia, co to takiego, więc weszłam na górę, żeby sprawdzić. Gdy znalazłam się pod drzwiami, hałas stawał się coraz głośniejszy i towarzyszył mu pisk sprężyn. Kiedy otworzyłam drzwi, wszystko ucichło. Oto, co zobaczyłam.

Na podłodze u nóg łóżka leżała para zabłoconych butów. Były to brudnobiałe płócienne trampki, bardzo już znoszone. Mogłyby pasować na ośmioletnią dziewczynkę.

–Siostrzenica? – zasugerowała Laura. – Kuzynka? Ktoś, kto przyjechał na pogrzeb?

–To była moja córka – wyjaśniła Sarah.

–Nie wiedziałam, że masz...

–Nie mam. – Sarah zamknęła oczy. – Rzecz w tym, że nic nie wiemy o duchach. Nawet Dante nic nie kapuje. Wychowano nas na ateistów, z powodów moralnych. Nie jestem w stanie dłużej tego znosić. Od kilku dni pojawia się, kiedy tylko odwrócę wzrok.

–Chwileczkę – zaczęła zaniepokojona Laura. Nie miała najmniejszej ochoty wysłuchiwać zwierzeń Sarah. – Ja też nic nie wiem o duchach.

–Wiesz więcej od nas – odparła ze złością Sarah. – Słyszałam, jak Dante o tym opowiadał. Chińczycy wiedzą, co robić z aniołami. Mówił, że codziennie palicie ofiary, żeby przebłagać przodków.

–Zaczekaj no minutkę – sprzeciwiła się oburzona Laura. – Mówisz tak, jakbym dopiero co przyплыnęła łodzią z Wyspy Wielkanocnej.

–Jest oczywiste, co tu się dzieje. To tak, jak minotaur, tylko że zamiast strachu, który przywołuje potwora, mamy poczucie winy, i do mnie też ono wraca, ale to już wiem. Koniec lekcji. Idźcie do domu! – krzyknęła gwałtownie.

Laura wykrzywiła twarz. Mimo wszelkich wysiłków, nie udało jej się uniknąć poznania tajemnicy Sarah.

–Straszy cię duch – orzekła z rezygnacją.

–Właściwie nie straszy – odpowiedziała Sarah, raz jeszcze spoglądając na buty. – Raczej się naprzykrza.

Laura parsknęła śmiechem.

–Przynajmniej zdjęła buty, zanim zwała ci się na łóżko!

–Aha. – Sarah spróbowała się uśmiechnąć. – Nie wiem, gdzie się nauczyła dobrych manier.

–Nie od ojca, jak sądzę.

Sarah zachnęła się tylko.

Laura wyciągnęła rękę, by dotknąć rudowłosej lalki; zawahała się, popatrzyła na Sarah, pytając o pozwolenie.

Ta skinęła głową.

–Ojciec był szmatą. Za to miał niewiarygodnie niskie wymagania, jeśli chodzi o kobiety, co błędnie wzięłam za miłość. Jego prezerwatywy były jaskrawozielone i świeciły w ciemności. Nie żartuję. Pomyślałam sobie, że mogą być kłopoty, kiedy przeczytałam co było napisane drobnym drukiem na opakowaniu: „Atrapa. Nie używać podczas stosunku”.

Laura roześmiała się, czując wyrzuty sumienia.

Sarah przysiadła na brzegu łóżka, patrząc na rosnący za oknem szereg topoli.

–Formalnie było to poronienie, ale równie dobrze mogłaby to być aborcja. Przeciwnicy aborcji sądzą, że kobietom jest wszystko jedno. Wiedziałaś o tym? Uważają, że można pójść do kliniki podczas przerwy obiadowej, pogwizdując sobie wesoło, a potem pognać na następną randkę. – Dotknęła kamei, którą nosiła na bluzce. – No więc, to nie tak. Tego się nie zapomina.

Laura uniosła lalkę. Była dziwnie ciężka, znacznie cięższa niż tego oczekiwała. Jej ręce i nogi nie były okrągłutkie jak u wielu innych. Były to żyłaste, aktywne kończyny dwulatki. Ostro zakończony nos był zadarty w górę, a zielone, szklane oczy miały figlarny wyraz.

–Nie można powiedzieć, żebym była głupia – odezwała się Sarah. – Zawsze wiedziałam, jaką krzywdę sobie wyrządzam. Dokładnie znałam jej wiek. Obliczyłam dzień, w którym by się urodziła. Nie tylko przewidywaną datę, ale dodałam tydzień, bo pierwsze dziecko na ogół rodzi się później. Wiedziałam, że nie powinnam się zadręczać, ale musiałam to robić. Zasłużyłam na to. I co roku, kiedy nadchodziły jej urodziny, myślałam, że powinnam to jakoś uczcić: położyć kwiaty na jej grobie, wydać przyjęcie, upić się. Cokolwiek. W zeszłym roku musiałam akurat wystąpić w "Jokerze".

Laura popatrzyła na nią.

Sarah omal się nie roześmiała.

–Świetnie mi szło, aż do chwili, kiedy oplułam faceta w pierwszym rzędzie.

Laura uśmiechnęła się.

–Nie można powiedzieć, żeby się to nie zdarzało co roku dziesięciu tysiącom dziewczyn w tym kraju. Albo i więcej niż dziesięciu tysiącom – ciągnęła bez wytchnienia Sarah. – Boże, to właśnie mnie wkurza. Kto by pomyślał, że tak źle sobie z tym poradzę? Ja? Zawsze byłam twarda. Zawsze lubiłam walkę. A to nawet nie była prawdziwa tragedia. Nie tak, jak z ciotką Sophie, która straciła męża i syna, kiedy już obaj byli rzeczywiści. Istnieją kobiety, których autentyczne dzieci z krwi i kości wpadają pod samochody, są porywane albo... albo coś w tym rodzaju. I jakoś dają sobie z tym radę. A ja nie potrafię.

–Postrzegasz je tylko z zewnątrz – wyjaśniła cicho Laura. Zastanawiała się, co czuła, siedząc na kolanach matki. – Nawet kobiety, którym się powiodło, są nawiedzane przez własne duchy.

–Myśl o duchach zawsze mnie przerażała. Dante uważał, że to śmieszne. Opowiadał mi o nich, dopóki Jet nie kazał mu przestać, a potem leżałam godzinami w łóżku z

otwartymi oczami, nie gasząc światła. To niespełniona możliwość, rozumiesz? Niezależna sprawa. Dantego przeraża śmierć, ale ja myślę, że jeśli spłaciło się wszystkie długi, to nie jest znowu nic wielkiego. Wszyscy kopniemy w kalendarz. Ale odejść, zostawiając coś okropnie złego, co nie przestanie cię gryźć...

Zamknęła oczy.

Laura wcisnęła rękę do pudełeczka z rekwizytami dla lalek i wyciągnęła z niego maleńki grzebień z szylkretu. Przeciągnęła nim powoli przez długie, kasztanowe włosy lalki. Oczywiście z prawdziwym dzieckiem wyglądałoby to zupełnie inaczej. Prawdziwe dziecko nie usiedziało by tak długo. Wierciłoby się i kopało. Ale zawsze.

–Wiem, że nie jesteś anielicą, ale muszę coś zrobić. Zrozum mnie. Mama mnie teraz potrzebuje, a w takim stanie na nic jej się nie przydam. Potrzebuję niewątpliwie solidnej dawki psychoanalizy, ale nie mogę czekać aż dziesięć lat, nim wrócę do siebie. Bo przecież, Boże, co będzie, jeśli Dante ma rację i on też odejdzie? Kto ocali tę rodzinę?

Kobiety, pomyślała Laura. Te, które kroją w kuchni jarzyny i płaczą.

Włosy rozstępowały się opornie wokół zębów grzebienia niczym patoka, cała rzeka miodu, fala po fali. Oczywiście prawdziwe dziecko mogłoby zapragnąć ściąć włosy albo nosić baseballówkę czy wręcz być łyse. Nigdy nic nie wiadomo. Ale zawsze.

–Dlatego potrzebuję, hm, zaklęcia, rytuału, czegokolwiek. Czegoś, co ją odstraszy, tylko na kilka dni. Czegoś, co uśpi moją podświadomość, przynajmniej do pogrzebu. Później może znajdę czas. To przecież oczywiste, że tak nie może być zawsze.

Ale gdyby zasnęło, prawdziwe dziecko mogłoby wywierać podobne wrażenie, pomyślała Laura. Gdyby ułożyło się w zagięciu ręki. Gdyby spało, mogłoby się w ten sposób odchylić, podczas gdy matka czesałaby mu włosy, jednym powolnym, delikatnym pociągnięciem za drugim. Byłoby oczywiście cieplejsze. Ale zawsze.

–Ciągle sobie powtarzam, że muszę o tym zapomnieć, ale łatwiej to powiedzieć niż zrobić.

–Dlaczego?

Sarah zamrugnęła powiekami.

–Co, dlaczego?

–Dlaczego musisz o tym zapomnieć?

Laura delikatnie posadziła lalkę na serwantce. Sarah spoglądała na nią

zdezorientowana, tak jak kobieta wybita nagle ze snu.

–Na tym właśnie polega kłopot z wami, ateistami – ciągnęła poirytowana Laura. – Nie potraficie przestać myśleć o sobie. Ja, mnie, moje. Ja to zrobiłam, moja podświadomość, ja się zadręczam, ble ble ble. – Trąciła stopą parę trampek. – To nie ma nic wspólnego z tobą.

Sarah popatrzyła na nią bez wyrazu.

–Słucham?

Laura miała ochotę dać jej kopa.

–Nic nie kapujesz, prawda? W domu jest duch! – krzyknęła. – Przestań go traktować jak zły sen, coś, co sama wymyśliłaś. Sarah, to rzeczywista, prawdziwa dziewczynka. Tak samo prawdziwa jak ty. – Zrobiła swą najefektowniejszą minę Poirytowanej Azjatki. – Wy, okrągłooocy, jesteście bardzo tępi.

Sarah zamrugła powiekami.

–No więc, hmm... no dobra, jest realna. W takim razie, co mam zrobić?

–Pewnie dowiedzieć się, czego chce, i dać jej to. Czy nie tak przebługuje się duchy na zachodzie?

–Skąd mam wiedzieć, czego ona chce?

–Nie zgrywaj się – warknęła Laura. – To jest zupełnie oczywiste.

Barki Sarah zesztyniały, a potem opadły.

–Chce mnie – wyszeptwała. – Jak mam spełnić jej życzenie, Lauro? Zmarnowałam już swą jedyną szansę.

Laura wzruszyła ramionami.

–Radzę ci, byś była otwarta. Powie ci to, jeśli będzie mogła. – Chrząknęła, raz jeszcze trącając stopą trampki. – Mam wrażenie, że prędzej czy później dostanie to, czego chce.

Portret

Na tych zdjęciach (jest ich kilka tuzinów) potwór ma niespełna sześć stóp wzrostu. Jego zęby są małe, a pazury tępe. Nie ryczy. W gruncie rzeczy, kiedy go fotografowałem, spał, ale tego na zdjęciu nie zobaczycie.

Na tych zdjęciach nie widać mojej duszy, ukrytej w amulecie zawieszonym na szyi potwora. Nie nosi on nawet krawata. Ma na sobie wyświechtany, sympatycznie wyglądający garnitur z taniego, surowego jedwabiu, o wytartych mankietach.

Potwór nie zaczesuje już włosów do tyłu. Ongiś czarne i lśniące od brylantyny, są teraz siwe i przerzedzone. Dawniej jego uśmiech był ostry jak brzytwa, teraz odsłania jedynie zestaw tanich sztucznych zębów.

Albert, przyjaciel Jewel, Szalbierz, człowiek, który zmarnował mi życie, który pchnął mojego ojca do samobójstwa i spowodował, że matka zwróciła się przeciwko mnie; kiedy wreszcie go spotkałem, nie był już potworem. Był łysiejącym, tęgim księgarzem prowadzącym swój biznes w dzielnicy, która kiedyś była modna, ale teraz utraciła już popularność. Przyzwoitym facetem, wstydzającym się tego, kim był w przeszłości, lekko spoconym i co chwila się uśmiechającym.

Jedyne, co mogłem zrobić, to go sfotografować, raz za razem, zdjęcie za zdjęciem, ujęcie za ujęciem.

Na koniec, to nie aparat zawiódł. Moje dłonie nie są tak jak on z plastiku i szkła, i zaczęły drżeć.

Moje oczy też nie są ze szkła. Pocięły z nich łzy i przestałem widzieć.

Szkło jest cieczą. Laura dowiedziała się tego w college'u, gdy zobaczyła zdjęcia siedemsetletniej katedry, której szyby spłynęły w dół niczym topniejąca świeca; na górze były cienkie, u dołu zaś grube i pofałdowane.

Ta myśl, wspomnienie dotyku lalki trzymanej w ramionach, a także fakt, że w porównaniu z domem Ratkayów jej piękne mieszkanie wydawało się bardzo puste – wszystkie te wizje, mieszające się ze sobą o godzinie Ch'ou, pozwoliły Laurze rozwiązać problem solarium pana Hudsona. Przekręciła się w łóżku na drugi bok, złapała za notes i ołówek leżące na nocnym stoliku i napisała: OKNA.

Odszuka okna, te z domu swego klienta, z domu, w którym mieszkał jako chłopiec; teraz Laura robi z ich szyb (może również z ram, jeszcze tego nie zdecydowała) ściany solarium. Albowiem letnie niebo nigdzie nie będzie równie piękne, jak tam, gdzie unosiło się nad człowiekiem w dzieciństwie: nigdzie błękit nie będzie aż tak głęboki, a chmury równie majestatyczne. W żadnym miejscu, odcień widoczny przez szeleszczące liście nie będzie tak tajemniczy.

Odda mu jednak to wspomnienie, ona i pan Ling. Wspólnie zbudują dom nie tylko dla wielkiego człowieka, którym stał się Hudson, lecz również dla małego chłopca, którym zawsze pozostanie.

W każdym z nas jest mnóstwo duchów, pomyślała i zapadła w sen.

Śmierć ciągnie mnie za ucho.

–Żyj - szepcze. – Ja nadchodzę

Wergiliusz

Portret

Mam sporo zdjęć z pogrzebu ojca, ale na tym, do którego wracam, nie ma trumny ani kwiatów. Dante wyrwał mi aparat i zrobił je, kiedy pogrzeb już się skończył, a my byliśmy w domu, przyjmując kondolencje. Jest wykonane w pośpiechu i źle skadrowane: matka stoi odwrócona plecami, a mój wizerunek jest trochę nieostry i w gruncie rzeczy jest to zdjęcie sałatki ziemniaczanej.

Codziennie czytam „New York Timesa”. To obiektyw, przez który oglądam świat. Pełno w nim wojny i nędzy, okrucieństw i magii, uroków złowieszczych i podejrzanych. Bardzo trudno znaleźć tam wzmiankę o ziemniaczanej sałatce. Gdy jednak stałem w salonie w dzień pogrzebu ojca, czując dotyk rąk tłoczących się obok ludzi, patrząc, jak stół niknie pod ciastami domowej roboty oraz półmiskami z sałatką z białej kapusty i zapiekankami owiniętymi w aluminiową folię, wydawała mi się ona z jakiegoś powodu bardziej realna niż okrucieństwa opisywane w gazecie; równie realna jak Dante. Jak utrata ojca.

Nikt nie oczekiwał, że cały dzień zostanę w salonie, zrobiłem to jednak. Co prawda, nie mówiłem zbyt wiele. Stałem w milczeniu, obserwując, jak nasze odbicia spotykają się, dotykają i mijają w szklanej skrzyni Dziadka Zegara. Panował tu jednak ciepły, smutny, ludzki nastrój, a ciche rozmowy były lepszym towarzystwem niż milczenie. Uspokajały niczym szelest wiatru wśród klonowych liści lub nieustanny szum rzeki, urozmaicającej sobie cichym śpiewem długą drogę do bezkresnego oceanu.

Czy po śmierci jesteśmy czymś więcej niż zwłokami, zepsutą maszyną, pozbawioną wszelkiego znaczenia? Czy dusza jest jak dym, pochodzący z procesów spalania ciała, który rozwiewa się i znika, gdy trup już ostygnie?

Kiedyś tak sądziłem.

Ale spotkanie z Albertem, który ongiś był homunkulusem Jewel, przekonało mnie, że nie wiem zbyt wiele o duszach. Czy też o życiu. W sałatce ziemniaczanej jest coś więcej niż musztarda i ziemniaki. W tym pokoju kryło się znaczenie, nierozłącznie związane z tym, co było na stole, z ojcem i wszystkimi, których opuścił. Był częścią naszego życia i po śmierci dalej w nas żył.

Pamiętam, że ciotka Sophie przypatrywała mi się przez całe popołudnie. Oczy miała przekrwione od nadmiaru łez i papierosowego dymu. Rzecz jasna, straciła ostatniego żyjącego członka najbliższej rodziny. Edvard umarł na gorączkę, Leslie został zestrzelony podczas wojny. Jej ojca zabrał wylew latem 1970 roku, kiedy z Watts zaczęły wylazić pierwsze minotaury. Matka zmarła trzy lata później. Pendleton, rzecz jasna, popełnił samobójstwo.

Mnie utraciła – odrzuciła – w tydzień po moim narodzeniu.

A teraz umarł też mały Anton.

Kiedy zobaczyłem, że ciotka mi się przygląda, spodziewałem się czegoś straszego: scysji, gróźb, wyrzutów. Nic takiego się nie stało. Patrzyła na mnie tylko. W pewnej chwili zobaczyłem, jak rozmawia z Sarah, z którą wymieniła kilka zdań, nic więcej. Następnie skinęła powoli głową i zwróciła wzrok na mnie. Przez chwilę niemal wydało mi się, że dostrzegam w jej oczach coś nowego, badawczy wyraz: jak gdyby ujrzawszy mnie po raz pierwszy od trzydziestu lat, dostrzegła przelotnie coś, czego już nigdy nie spodziewała się zobaczyć.

Zapewne był to tylko wytwór mojej wyobraźni.

Na zdjęciu, oczywiście, nic takiego nie widać. Właściwie nie jest ono zbyt dobre. Kiedy Dante mi je dał, zapytałem, dlaczego to zrobił.

–Bo na nim jesteś – odpowiedział.

Był piątek, tuż po pogrzebie. W domu trwała jeszcze stypa, lecz Dante stanął na molo w miejscu, gdzie przed tygodniem zarzucił przynętę i wyciągnął z rzeki szczupaka ze złotym pierścieniem w brzuchu. Nie płakał ani razu od chwili, gdy ojciec padł na podłogę obok stołu. Matka była zrozpaczona, po szerokiej twarzy Sarah spłynęły łzy, ale Dante nie płakał. W gruncie rzeczy, czuł niewiele. Być może było w nim tylko zdziwienie, że jeszcze żyje.

Nie sądził też, by choć chwilę spał przez te trzy dni, aczkolwiek trudno mu było to sobie przypomnieć. Sam sobie wydawał się martwy i wyschnięty, jak gdyby w ogóle nie był człowiekiem, lecz skórzaną marionetką, przypominającą te, które widział w gabinecie Jewel.

Raz jeszcze przywołał wspomnienie, które w nim obudziła – trzy lata, policzek dotykający dywanu, tańczące pyłki, nieustanne tykanie Dziadka Zegara.

Żyjemy w czasie.

Nasze marzenia trwają bez końca, tak samo jak nasze ambicje i nadzieje, a wielka gra naszych idei sięga wieczności.

Ale żyjemy w czasie. I w czasie umieramy.

Zapadał zmrok. Mroźna, błękitna ciemność niosła ze sobą zimę. Cienie spływały ze stromych lesistych stoków doliny i przesłaniały wodę. Przypomniawszy sobie, jak jego pierś dotykała tafli pękającego lodu, wzywał Jeta, a ciemny nurt bezlitośnie go wciągał.

Usiadł na brzegu mola. Jego lśniące, włoskie buty zawisły nad pogrążoną w mroku powierzchnią. Drewniane deski zakołysały się ze skrzypieniem. Kto to powiedział, że nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki? Diogenes? Ojciec by wiedział.

Ojciec by wiedział.

Przypomniawszy sobie nagle, że to właśnie twarz ojca ujrzał w lustrze nad komodą tydzień temu, gdy nachylił się nad swym martwym ciałem.

I tak jak dotyk śmierci, Dantego ogarnął pierwszy przebłysk zrozumienia.

–O Boże – wyszeptał.

Zaczynasz się domyślać tego, co zawsze wiedziałeś.

Jet, pomyślał rozpaczliwie. Muszę znaleźć Jeta.

Odwrócił się i pognął w górę zbocza wielkimi, gwałtownymi susami. Przemknął przez resztki ogrodu matki, otworzył drzwi kuchni i zawołał głośno brata.

W ciemnym salonie słychać było szept składanych kondolencji. Na stole, wysokie świece w polerowanych srebrnych lichtarzach górowały nad tacami z jedzeniem przyniesionym przez przyjaciół i sąsiadów – lasagna i zapiekanka z tuńczyka, miski pełne sałatki ziemniaczanej, z galaretą, tłuczone ziemniaki, sałatka z białej kapusty, ciasto funtowe, placek z wiśniami i dania w żaroodpornych naczyniach, owiniętych w aluminiową folię. Matka, blada i opanowana, stała przy stole, przyjmując wyrazy współczucia.

Jet dotrzymywał towarzystwa pani Parret, sekretarce z miejscowej szkoły, słuchając jej z osobliwym dla niego zachwytem. Na jego twarzy malowało się coś, co przypominało niemal wdzięczność.

Dante zawołał go. Spojrzawszy na niego, Jet zobaczył coś, co obróciło w popiół ciepło i tak rzadko spotykane w jego oczach.

–Musisz pójść ze mną – wysapał Dante, wyciągając go z pokoju. Ludzie gapili się na nich, Sarah również, zdezorientowana, a jednocześnie wściekła, lecz on nie dbał o to. Chryste, jeśli to, czego się domyślał, było prawdą, cena będzie znacznie wyższa, niż

Jedynie zakłócenie stypy.

–Idziemy po łopaty – krzyknął bez tchu, wypychając Jeta tylnymi drzwiami. – Trzeba odkopać trupa. O Jezu. O Jezu.

Jet popatrzył na niego. W mroku jego oddech zamieniał się w parę, a twarz z upiornym znamieniem była blada.

–Dobra. Dobra – rzucił zarażony paniką Dantego.

Pognali razem na przystań.

Gdy dopłynęli na wyspę, było już ciemno. Jet przykucnął przy grobie, oświetlając mogiłę latarką. Dante kopał jak obłąkany, nie zważając na błoto ochlapujące nowy, drogi garnitur, który kupił na pogrzeb.

Szpadel uderzył w coś twardego. Odrzucił go i zaczął kopać rękami. Przykucnąwszy przy grobie, wyrzucał zimną, ciemną ziemię, aż mankiety jego koszuli zabarwiły się na czarno, a brudne palce zeszywniały. Ciało zaczęło się już rozkładać. Ten smród przylgnął do Dantego, zmieszany z wonią zimnego błota i liści. Dłonie kopiącego zaczęły się poruszać coraz wolniej, widać to było w słabym świetle latarki, bladym jak księżycowa poświata. Strącił ziemię z twarzy trupa, wygładził jego przerzedzone włosy i usunął błoto z zapadniętych oczu.

–O mój Boże – wyszeptał Jet.

–Wiedziałem. Wiedziałem przez cały czas – powiedział bezbarwnym tonem Dante. Delikatnie usunął ziemię z wąskich warg ojca. Równie delikatnie zamknął powieki starych, niebieskich oczu, pustych teraz i przepelnionych śmiercią.

–Jak to, wiedziałeś? – zapytał Jet jakiś czas później.

–To było jego ciało. Jego ciało leżało na komodzie. Jego ciało otworzyliśmy, a ja o tym wiedziałem. Wiedziałem. Ale nie dopuszczałem tego do świadomości.

Jet skinął powoli głową.

–I w ten sposób ukształtowałeś to, co widzieliśmy.

–Jestem aniołem. Pamiętasz? Wiedziałem, że on umrze. Przez cały czas to wiedziałem. Ale nie chciałem tego zaakceptować. Mogłem go uratować, ale tego nie zrobiłem.

–To jest nowy świat – ciągnął. – Magia to już nie tylko wizje paru świrów. Ona jest realna. Za kilka lat stanie się bardziej realna niż cokolwiek innego. – Poglaskał

rzadkie włosy na czole ojca. Mam to, Jewel. Nareszcie to mam, pomyślał.

–Posłuchaj – odezwał się Jet. – Czy nie powinniśmy...

Skrępowany kiwnął głową w stronę odrzuconej przez Dantego łopaty.

–Jeszcze chwilę.

–Dobra.

Dante siedział na brzegu grobu, jego wnętrze było suche jak piasek. Puste. Poprawił nogawki spodni i podciągnął skarpetki.

Jet wyłączył latarkę i wstał.

–Księżyc wczesnie wschodzi – zauważył. – Jest prawie pełnia.

Dante nie zareagował.

–Chryste, ale ziąb. – Jet nie ustępował. – Szkoda, że nie zabrałem marynarki.

–Weź moją.

–Zamarzniesz na kość.

–Nie czuję zimna. Naprawdę.

Wstał i podał Jetowi ciemnoszarą marynarkę. Była z grubej wełny, usiana delikatnymi, ciemnoczerwonymi prążkami, przypominającymi barwą granaty w jego spinkach.

–Dziękuję – rzucił jego brat.

–Wczoraj, po przyjęciu, wytropiłem Szalbierza – oznajmił Jet w jakiś czas później. Dante nie skomentował jego słów. – Wiesz, co powiedział o tym, jak wygrał moją duszę od Pendletona? „Najgorszy interes, jaki w życiu zrobiłem”. Tak właśnie się wyraził. – Dante usłyszał w mroku jego cichy, oschły chichot. – To jest dopiero utrata złudzeń.

Nie czuł prawie nic, ani zimna, ani żalu, ani wyrzutów sumienia. Przekonał się jednak, że cieszy się, słysząc w ciemnościach opanowany głos Jeta.

–Okazuje się, że każdy homunkulus ma duszę. Kiedy przychodzisz na świat, stajesz się realny. Tak powiedział Szalbierz. To tak, jak ławica w rzece. Dusza po prostu osadza się w tobie. Po kilku latach Szalbierz zapragnął czegoś więcej niż kombinacje. Zaczął grać w baseballowego totalizatora i zakochał się w tym sporcie. Prowadził

zapis wyników wszystkich meczów drużyny Red Sox. Stawiał na nich bez sensu, licząc, że wygrają. Poznał miłą dziewczynę. Ustatkował się. Splodził dwoje dzieci. No i prozę – życie. A razem z nim dusza.

Dante zamrugał powiekami.

–To znaczy, że ty też musisz ją mieć.

–Aha.

Jet poruszył stopą. Dante słyszał, jak bez celu grzebie nią wśród liści.

–Nie mam duszy, jestem inny, nie jestem człowiekiem. Dante musi żyć za mnie, podczas gdy ja kryję się w cieniu i obserwuję.

–Nigdy cię do tego nie zmuszałem.

–Ale takie były zasady – odparł Jet. – Sam je ustanowiłem.

Wzruszył ramionami.

–Nie podejmujemy takich decyzji, jeśli jesteśmy w pełni władz umysłowych. Miałem dwa tygodnie, kiedy doszedłem do wniosku, że jesteś jedynym, co się liczy. W wieku trzech lat byłem już satelitą, związanym z tobą silniej niż Księżyc z Ziemią... Kiedy miałem lat piętnaście, zdawałem już sobie sprawę z twoich ograniczeń jako boga – dodał z przekąsem. – Twojej tępoty, twojej szalonej odmowy pogodzenia się z tym.

–Miałem powody, żeby nie patrzeć – odparł ponurym tonem Dante.

–Twojej niedbałości... – Jet przerwał. – Ale kości zostały rzucone, nie mogłem się już wycofać. Domagałem się głośno króla, a dostałem kloc. Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej.

–Później, kiedy zmądrzała, Jewel tworzyła najlepsze homunkulusy – dodał po chwili. – Tak mówił Szalbierz. Niektóre z nich potrzebują lat, by się uwolnić od wizji swego anioła, lecz Jewel narzucała swoim tylko minimalne ograniczenia. Ale Szalbierz był jej pierwszym i gra o duszę pierwotnego syna wydawała się świetnym pomysłem...

–Musiałem od lat wiedzieć, że tata jest chory – stwierdził Dante. – Od lat. Odkąd pod narzutą na komodzie zaczęło rosnać ciało.

Wiszący nisko nad horyzontem księżyc rzucał na dolinę widmowe światło, wystarczająco jasne, by Dante mógł widzieć, jak Jet gestykuje. Wystarczająco jasne, by ukazać jego chudą postać poruszającą się pod wierzbą, cień na tle innych cieni.

–Dobry Boże, stanąłem przed perspektywą, że będę miał własne życie, zamiast obserwować was, śmiesznych ludzi, za pośrednictwem „New York Timesa”! Muszę teraz zdecydować, czy lubię bluesa, czy jazz? Powieści kryminalne czy szpiegowskie? Wyobraź sobie tylko, że będę się musiał zwrócić do ciebie – brr! – o radę w kwestii kobiet! Cała ta sprawa mnie przeraża.

–Masz mnóstwo nowych światów, o które możesz się zamartwiać – zgodził się Dante.

Jet westchnął.

–To nie jest miłe zajęcie, zamartwiać się, ale jestem w tym dobry. Muszę to przyznać.

–Nie zniosę tego – oznajmił Dante.

–Słucham?

Odwrócił się gwałtownie w stronę grobu i zaczął odsłaniać ciało ojca, z wściekłością ciskając ziemią w mrok. Bandaż na jego prawej dłoni był czarny od błota.

–Nie zniosę tego. Nie pozwolę na to.

Nachylił się nad dołem.

–Słyszysz mnie, Jewel? – krzyknął w głąb mogiły.

Jet podszedł do grobu i położył dłoń na ramieniu Dantego.

–Hej. Tylko spokojnie.

–Słyszysz mnie, Jewel? Przywołaj go, anielico. Przywołaj swojego boga. Położyłem dłoń na martwej twarzy własnego ojca, ty czarownico, ty wariatko. Chcesz, żebym patrzył? No to patrzę!

Zgarbił się i wrzasnął prosto w zeszywniałe oblicze ojca:

–Jestem jebanym wskrzesicielem, do cholery, i idę po ciebie!

Złapał trupa i wyszarpnął jego ramiona spod ziemi, potrząsając nimi w ataku furii.

–Obudź się! Obudź się, ty sukinsynu! Mówię do ciebie!

–Dante! Uspokój się!

Odwrócił się gwałtownie i walnął Jeta mocno w twarz grzbietem dłoni.

–Zostaw mnie w spokoju – syknął.

A głęboko, głęboko wewnątrz swej jaźni podniósł nożyczki z biurka Jewel. *Wcale tego nie chcesz* – wyszeptwała. Jej oczy były czarne i nieruchome niczym lufy pistoletów.

–Spierdalaj – odpowiedział i wbił nożyczki w jej szyję.

Wokół niego eksplodowała burza barwnych skrzydeł.

Gdy patrzył na leżące w płytkim grobie zwłoki ojca, długie nacięcie na ich piersi otworzyło się. Wylazły z niego pająki.

–O mój Boże – odezwał się słabym głosem Jet, chwytając latarkę. Setki czarnych ciał biegały bezładnie oświetlone jej bladymi promieniami. Tysiące cienkich, czarnych nóżek.

Dante poczuł, że coś w nim się rozdziera jak mokry papierowy ręcznik. Wszystkie blizny, jakie pozostawiło w nim życie, otworzyły się i wypadły z nich tajemnice, których ze wszystkich sił starał się nie dostrzegać. Samotność Jeta wyciekła z niego jak krew, podobnie jak straszliwy ból Sarah, jej pozlepiane włosy i bezlitosna złośliwość. Babcia Ratkay, łapiąca go za koszulę, i ślepa panika, z jaką próbował od niej uciec. Tak mocno cuchnęła zbliżającą się śmiercią. Kłótnie między rodzicami; moment, gdy Anton nazwał żonę suką, myśląc, że dzieci go nie słyszą.

Wylały się również tysiące wizerunków ojca, zmęczonego, kaszlącego, z niezrozumiałych powodów skurczonego i wyczerpanego. Jego wypielęgowane dłonie drżały. Wiedziałem, pomyślał Dante. O Boże, od początku wiedziałem.

Bóg Jewel wezbrał w jego wnętrzu, wypełnił mu płuca, trysnął z czubków palców, sutków i włosów. Oślepił go, wypływając mu z oczu. Gnał przez Dantego niczym huragan wypełniający podmuchami jego koszulę, rozdymał go, ciskał nim bezwładnie w różne strony. Oszołomiony mężczyzna upadł na plecy. Z ciemności dobiegł ochryply, rozpaczliwy dźwięk. To było łkanie Jeta. On również runął na ziemię.

Bóg Jewel wśliznął się w martwe ciało ojca Dantego, wypełnił je, otworzył jego oczy i przemówił jego ustami.

Wzywaleś mnie – rzekł. – Oto jestem.

Minęły lata.

Czego chcesz?

Dante rozpadał się na kawałki. Wylaziły z niego straszliwe sekrety: zabijaka Duane i

Jet, pani Farrell i jego umierający ojciec, umierający, martwy. Czuł, jak dłonie drżą mu i dygoczą, zaczynają się odłączać od nadgarstków, by zniknąć w ciemnościach.

Całe jego ciało pełzało, trzęsło się, zamieniało w pająki.

Niewiarygodnie odległy Jet naigrawał się z boga wypełniającego ciało doktora Ratkaya. Jego niefrasobliwy głos załamywał się i brzmiał ochryple.

–Chyba powinieneś się dowiedzieć, że wychowano nas na ateistów – wyszeptał. – Z powodów moralnych.

Jet krzyknął. Dante ujrzał oczami anioła, że motyl oderwał się od policzka brata i zaczął krążyć w powietrzu. Z jego skrzydeł spłynęło kilka kropelek krwi.

–Och, Jet – wyszeptał Dante.

–Chcę mojego ojca – wychrypiał do boga Jewel.

Twój ojciec jest w piekle.

–To zabierz mnie tam.

Zwłoki doktora Ratkaya uśmiechnęły się z powagą.

Do piekła z każdego miejsca prowadzi ta sama droga.

I nagle bóg Jewel zniknął. Dante leżał w ogłuszającej ciszy obok grobu ojca, oklapnięty niczym żyły, z których wyciekła krew. W świetle księżyca widział Jeta, bezkształtny cień spoczywający w odległości kilku stóp.

–Jet?

–Ehe.

–Jet? Dobrze się czujesz?

–Całkiem niedobrze – odparł z jękiem. Próbował wziąć się w garść. Każdy jego gest był powolny i niepewny, jak gdyby sprawdzał, czy nie ma połamanych kości.

–Hej – odezwał się Dante, starając się poruszyć.

–Co za hej?

–Oj, kurwa. Mam coś w ręku. Oj.

Ostrożnie otworzył zabandażowaną dłoń, którą uprzednio położył na twarzy ojca.

Coś w niej zalśniło, maleńkie zadziory księżycowego blasku.

–Hej. To przynęta.

–Przynęta?

–Aha. No wiesz, ta na którą złowiłem kciuk Pendletona. Ciekawe, co mam z nią zrobić.

Jet eksperymentował z oddychaniem, pragnąc się przekonać, ile powietrza może wciągnąć, nim zaczną go boleć żebra.

–Pytam tylko z ciekawości, Dante, nie chcę się wtrącać w twoje sprawy, ale czy w najbliższym czasie zamierzasz dostać kolejnego ataku szału?

Dante usiadł bardzo ostrożnie, przytrzymując uważnie przynętę w prawej dłoni.

–Muszę przyznać, że to prawdopodobne.

Jet chrząknął.

–Świetnie.

Dante zobaczył, że jego brat dotknął twarzy.

–Oj. Kurczę.

Poszukał na oślep latarki, włączył ją i skierował na siebie.

–Hej, Dante.

Dante zagwizdał. Oświetlona od dołu twarz o ostrych rysach sprawiała zdecydowanie diaboliczne wrażenie: policzki jak ostrza noży, wąskie usta, oczy pod dzikimi brwiami lśniące niczym obsydian. Ale tam, gdzie było znamię, została jedynie słabo widoczna pajęczyna białych linii, przypominających rysunek blizny.

–Motyl zniknął.

Jet wyłączył latarkę.

–Cholera.

–Myślałem, że go nienawidzisz.

–Ciebie też chwilami nienawidzę, ale nie chciałbym cię utracić.

Nawet po ciemku Dante potrafił sobie wyobrazić przelotny uśmiezek Jeta.

–Przyzwyczailem się do swojej gęby. Poza tym, jeśli nie wiesz, co teraz zrobić, chodzi mi o przynętę, nie jesteś synem swego ojca.

Zaintonował patetycznym tonem doktora Ratkaya:

–„A sam, dobywszy miecza, co wisiał u boku, zasiadłem i nie dawałem mdłym głowom umarłych zbliżyć się do krwi, póki nie rozmówię się z Tejrezjaszem”.

–Aha – odezwał się Dante. – Rozumiem.

Przeniósł wzrok z przynęty na ciało ojca, które leżało wygięte w grobie.

Zaczynał już wracać do siebie po dotknięciu boga Jewel i zdał sobie sprawę, że zaszła w nim zmiana. Zniknęła pajęczyna ukryta w jego piersi, a wraz z nią gabinet anielicy, której szept wypełniał teraz całe jego wnętrze, przenikał żyły i tętnice, poruszał się w powolnym rytmie płuc, wpełzał mu pod oczy i w głąb pierścieniowatych kości kręgosłupa. Wypełniało go coś w rodzaju nieważkości, podobnej do tego, co wyczuł w Tristanie Chu – wiatr możliwości. Znów spojrzał na ciało i dostrzegł w nim kanał. Stałem się korytem rzeki, pomyślał dręczony zawrotami głowy. Stałem się strumieniem.

Powstrzymał go przyływ paniki. Przypomnił sobie pełen motyli gabinet Jewel, wypełnioną nimi, rojącą się od nich, bluzkę i puste nylonowe pończochy. Czy nie tego się zawsze obawiał – że jeśli wyzwoli w sobie anioła, popadnie w obłąd? Nie był to tylko głupi strach, do cholery. Nie było to zwykłe tchórzostwo; niebezpieczeństwo było realne. Dotyk anioła zniszczył wreszcie nawet Jewel; wtrącił ją w szaleństwo miliona łopoczących skrzydeł.

–Jet?

–Hę?

–Nie chcę zwariować.

–No jasne.

–Nie chcę skończyć jak Jewel.

Przypomnił sobie, jak jego dłonie zaczęły się szarpać i rozłazić, zamieniając się w pająki.

–Zastosujemy pomoc koleżeńską – zapowiedział Jet, podnosząc latarkę. – Pierwsza oznaka obłądki i dostaniesz tym w łeb.

Dante skrzywił się.

–Au! Dziękuję.

–Nie ma za co – zapewnił go Jet. – Czyż nie jestem stróżem brata mego?

Zaciskał powoli zabandażowaną dłoń na przynęcie, czując jak zadziory wbijają mu się w obolałe ciało. Ból wezbrał w nim, przebiegł przez ramię i barki, dotarł do wnętrza klatki piersiowej i wbił się wreszcie w tajemne zakątki serca.

Dante przypomniał sobie, jak ojciec, spowity fajkowym dymem, pisał listy ulubionym watermanem, trącając łokciem leżącą na biurku czaszkę.

Przypomniał sobie, jak stał za stołem, wznosząc z uśmiechem pełen jasnozłotego płynu kieliszek, by spełnić hipokratejski toast.

Przypomniał sobie, jak pielął z matką ogród, pochylając wąskie plecy, z oczyma skrytymi pod szerokim rondem ogrodniczego kapelusza.

W Dantem wzbierała rzeka, gorący, nieustępliwy nacisk, od którego czuł w gardle skurcz, a szczęki miał obolałe. Narastał w nim tępy ból. Wreszcie nie mógł go już znieść, nie mógł się powstrzymać. Jego ciałem wstrząsnęło łkanie, uniósł barki w bezradnym geście i wykrzywił bladą twarz w wyrazie żalu.

Spomiędzy palców Dantego wyciekła kropelka krwi i spadła na zimne wargi ojca.

Tik.

Drzewa stały się zamglone i blade. Ich konary utkane były z blasku księżyca. Rozległ się szum i szelest wiatru. Wierzbowe liście kołysały się, delikatne niczym poświata.

Po drugiej stronie grobu poruszył się Jet.

–Piekło fotografuje się w czerni i bieli – wymamrotał.

Tak.

Wargi ojca upstrzyła kolejna kropla krwi. Bezsilny, niewyczuwalny wicher z krainy zmarłych dał coraz silniej, wydając niesamowite odgłosy: westchnienia i pomruki, jęki i lamenty.

I wreszcie Dante zaczął płakać. Z oczu popłynęły mu łzy. Czuł, że się rozplywa, rozpuszcza się w nich niczym brzeg rzeki osypujący się podczas powodzi. Był niczym, był łzami, był rzeczonym korytem żałoby.

Tik, tak, tik: na twarz jego ojca trysnęła krew.

–Wróć – wyszeptał. – Proszę cię, wróć.

Z jego dłoni spłynęły łzy.

Szemrzący dotąd wiatr wzmógł się.

I tata trzymał go w ramionach, a on leciał bez tchu nad śniegiem niczym anioł i śmiał się, śmiał, i miało to trwać wiecznie, wiecznie, wiecznie.

–No chodź, niech cię diabli.

Ból dłoni był nie do zniesienia. Dante chciał krzyknąć.

–Chodź, chodź, wzywam cię, ojcze, Antonie Ratkayu, uzdrowicielu, mędrco, fajczarzu, miłośniku francuskiego wina, niech cię diabli. Wzywam ciebie, twoje cytaty z Greków i twoje kwartety Beethovena. Wzywam cię, ojcze. Wzywam cię, aniele śmierci. Wzywam cię, zmarły! Zmarły! Zmarły, przywołuję cię. Tato? Tato, chodź tu. Wracaj!

Anton Ratkay otworzył oczy.

–Dante – wyszeptał. Kropelki krwi padały na jego martwe wargi i znikwały niczym sekundy. Dante przywołał go, wezwał niczym zimny wiatr bijący z bezdennej studni śmierci.

Z nagłą, szokującą jasnością zdał sobie sprawę, że nie ma mu nic do powiedzenia.

Dusza wypełniała całkowicie jego klatkę piersiową, lecz nie potrafił ubrać tego w słowa. Niech to diabli, nie miał nic do powiedzenia. Mógł jedynie płakać i patrzeć, jak łzy i krew skapują na trupa.

–Dante? – powtórzył jego ojciec. Jego zamglone oczy poruszały się bezładnie, jak u niewidomego. (Jak oczy Sally Chen w Domu Opieki „Siedem Cedrów”, matowe od zaćmy, niezdolne rozpoznać w Laurze córki, przepelnione udręczeniem i nic nierozumiejące).

–Pić – powiedział doktor Ratkay głosem cichym i słabym jak wiatr poruszający uschniętą trawą w zimny, pochmurny dzień. Na jego szare wargi wciąż skapywała krew, która najpierw ciemniała, a potem schła niczym wysychające krople deszczu na spieczonej ziemi.

Dante krzyknął z frustracji, wściekły na siebie za swe głupie milczenie. Cóż jednak mógłby powiedzieć człowiekowi, który go spłodził, wychował, ganił go, chwalił,

upominał, karmił, ignorował, kochał?

Dziękuję?

Przepraszam?

–Odszedłeś – krzyknął.

Doktor Ratkay zebrał siły i spojrzał na syna.

–Już w chwili narodzin jesteśmy skazani na śmierć, a kres nieuchronnie wypływa z początku.

–Przestań cytować – wrzasnął rozwścieczony Dante. – Nie wezwałem cię po to, żeby porozmawiać z jakimś martwym Rzymianinem. Wzywałem ciebie. Ciebie! Rzymianie umarli: wszyscy umarli, słyszysz mnie? Ale my żyjemy. Ja żyję, Jet żyje i teraz ty też żyjesz. Przywróciłem cię do życia.

Złapał ojca za ramiona, lecz nagle przerwał, głośno wciągając powietrze w płuca, gdy przynęta, o której zapomniał, ponownie wbiła mu się w dłoń.

Doktor Ratkay krzyknął głośno, gdy krew Dantego polała się na ziemię. Słaby dotąd wiatr wzmógł się. Otoczyły ich, widma – babcia Ratkay pachnąca talkiem i kwiatowym mydłem, a także inna postać, podziurawiona jak rzeszoto, wlokąca za sobą spadochron, którego jedwabne linki przypominały splątane pajęczyny.

–Leslie? – wyszeptał doktor Ratkay.

Potężna wierzba zaszumiała, a jej grube konary zatrzeszczały. Na Jeta opadła z szelestem zasłona z liści, oddzielając go od świata.

–Pendleton – wyszeptał.

Mała dziewczynka w baseballówce przepchnęła się do Dantego i zaczęła ssać jego ramię. Gdy dotknęła go ustami, jego żyły wypełnił lód.

–Co się stanie z matką? – pytał przez łyżki. – Albo z Sarah? Z nami wszystkimi? Co będzie, jeśli ktoś zachoruje? Kto będzie wybierał wino?

–Przykro mi – odparł ojciec. – Robiłem, co mogłem.

Po policzkach Dantego spływały gorące łyżki.

–Zawiodłem cię.

–To się zdarza każdemu. To właśnie wielka tajemnica, Dante. Nikt ci tego nie powie.

Prędej czy później wszyscy ponosimy porażkę we wszystkim co jest ważne. – Jego twarz znowu zaczęła blednąć, a głos, który na chwilę stał się silniejszy, zanikał, rozwiewał się niczym obłok fajkowego dymu. – Zawodzimy swe żony, przyjaciół, dzieci – wyszeptał.

–Jak możesz to znieść? – zapytał z płaczem Dante. Przycisnął twarz do oblicza ojca, pokrył łzami jego policzek. Powietrze wypełniła woń fajkowego dymu i zakurzonego dywanu, woń kurzu unoszącego się w powietrzu i opadającego bez końca. – Co mam robić? – krzyknął. – Tato? Tato? Co mam robić?

Stary zamknął oczy. Resztką sił uścisnął dłoń Dantego.

–Żyj. – Westchnął.

Tik tik tik.

Tik.

Tik.

–Ale ja nie mogę – krzyknął.

Dźwignął się na kolana i nachylił nad grobem ojca.

–Wracaj. Ty żyj, zdrajco.

Jak oszalały wyszarpnął z dłoni przynętę i rozorał jej zadziarami swój nadgarstek.

–Ja jestem zmartwychwstanie i życie, do cholery! Jestem Bogiem, mogę rozkazywać zmarłym i nie pozwalam ci odejść.

Z jego przedramienia trysnął strumień krwi. Natychmiast ogarnął ją lód, gdy rzuciły się na nią szare widma zmarłych.

–Stworzyłeś mnie, ty sukinsynu! Nie możesz mnie teraz porzucić. Zostań tu i walcz. Wracaj do domu i natychmiast przeproś matkę. Jestem Bogiem i zrobisz to...

Ból eksplodował w jego twarzy i ogłuszony Dante runął na plecy.

...Nagle poczuł, że z rozciętej wargi płynie mu krew, i bolą go zęby. W uszach mu dzwoniło, a po twarzy spływały łzy.

Miał mdłości.

–Przepraszam cię – odezwał się Jet. Pokazał mu latarkę, po czym upuścił ją na ziemię.

Dante zwymiotował.

Jet przysiadł obok brata i uściśnił mocno jego nadgarstek, by powstrzymać krwawienie.

–Chyba znów zaczynałeś tracić panowanie nad sobą.

Wrócił rzeczywisty świat. Wszystkie cienie wróciły do swoich zwykłych postaci. Dante usłyszał plusk. Coś weszło do rzeki. Być może kuna. Ręka porządnie go bolała. Poczłł też, że drży.

–Nie ma sprawy – powiedział.

–Dziękuję – dodał po chwili.

–Zi... zi... zimno mi! – poskarżył się trzeci głos.

Dante i Jet jednocześnie pisnęli zaskoczeni.

Obok nich siedziała skulona dziewczynka. Osłoniła głowę ramionami, jak gdyby się czegoś bała. Z jakiegoś powodu w ogóle jej dotąd nie zauważyli. Wyprostowała się teraz, drżąc z zimna stała w samych tylko džinsach i koszulce. Miała baseballówkę z daszkiem zwróconym do tyłu, jak łapacz podczas meczu baseballa. Przymrużyła oczy, gdy Jet skierował na nią światło latarki.

–Kim jesteś?

–Nie wiem – odparła, oplatając się z nieszczęśliwą miną rękoma. – Chciałam wrócić do mamy, więc poszłam za wami.

Dante zauważył, że jej usta są wilgotne i poplamione krwią.

–To duch – wyszeptał. Przypomniawszy sobie jej lodowato zimne wargi, przysunął w obronnym geście zakrwawione ramię do ciała. – Tyle że nie jest już duchem.

–Sarah – wyszeptał Jet ze zdumieniem w głosie. – Jesteś córką Sarah. Jak masz na imię?

–Nie wiem – odparła z rozdrażnieniem w głosie dziewczynka. – Chyba zaczyna się na J. Kurczę, ale ziąb – powtórzyła, wpatrując się chciwie w marynarkę, którą miał na sobie Jet. Ich oczy spotkały się.

Wyprowadzony z równowagi Jet chrząknął i kazał Dantemu, by zrobił sobie opatrunek.

–O! Kurwa – zaklął ten. Bez szczególnej gracji, Jet zdjął marynarkę z brata i okrył

nią byłego ducha.

–Dziękuję – powiedziała dziewczynka. – A czy macie coś do jedzenia?

–No pewnie! Masz jeszcze inne życzenia? – warknął Jet.

Dante się nie poruszył.

–On nie żyje.

–Ehe.

–Naprawdę nie żyje.

Jeszcze dwie czy trzy łzy spłynęły po jego policzkach. Nie zwrócił na nie uwagi. To była końcówka.

–Nie mogłem go sprowadzić z powrotem.

–Nie chciał przyjść – zauważył Jet. Wskazał na córkę Sarah. – Jej się udało. Chciała przyjść i przyszła.

–Jestem głodna – powtórzyła dziewczynka, na wypadek, gdyby ktoś nie usłyszał jej słów za pierwszym razem.

Dante skinął głową.

–Powinniśmy go zakopać.

Podniósł się niepewnie na nogi. Dręczyły go mdłości. Był słaby. Bolało go w stanowczo zbyt wielu miejscach. Krew na jego przedramieniu zaczynała krzepnąć. Zobaczył leżącą na ziemi przynętę i kopniakiem strącił ją do grobu.

–To nie... nie jest najlepsze narzędzie do przecinania żył – wymamrotał.

Jet przyglądał się mu przez długą chwilę, po czym wybuchnął śmiechem.

Dante również się roześmiał, sapiąc przez rozciętą wargę i zakrwawiony nos. Czuł, jak żal i wesołość zawirowały w nim niczym glenlivet, którą ojciec częstował go przed pójściem na polowanie. Było tam teraz coś jeszcze – stadko motyli. Strumień możliwości.

–A więc jednak zostałem aniołem – wyszeptał. – Stałem się korytem rzeki.

Jet uniósł kosmate brwi.

–Musimy cię położyć do łóżka. Ciebie też – burknął do dziewczynki. Schylił się szybko i wyciągnął przynętę z grobu doktora Ratkaya. – Dotknąłeś Boga, Dante. Szedłeś doliną cienia śmierci i udało ci się wrócić. Sądzę, że tym razem będzie lepiej, jeśli weźmiesz tę pamiątkę. Mam rację?

Dante niechętnie skinął głową.

–Chyba przestałem być ateistą. Znów cię rozczarowałem, tato – dodał, spoglądając na grób ojca.

Po dziesięciu minutach wytężonej pracy udało im się ponownie zakopać ciało doktora Ratkaya.

–Żegnaj – powiedział Dante, nie chcąc odejść od grobu. – Niewykluczone, że zawiodłeś, ale odniosłeś też sukces. We wszystkim.

Pragnął powiedzieć coś jeszcze, znaleźć więcej słów. Być może wygrzebać z pamięci jakieś klasyczne epitafium godne jego ojca.

Ale noc była zimna, a córka Sarah dygotała.

–Nie miałyby sensu, gdybyśmy po przywołaniu jej zza grobu, pozwolili, żeby umarła z przeziębienia – zauważył Jet.

Dante skinął głową i powlókł się w stronę łódki.

Jego brat ruszył za dziewczynką, lecz zatrzymał się, cofnął po własnych śladach i podniósł latarkę. Z namysłem zważył w dłoni jej metalowy uchwyt. Spojrzał na Dantego, jego zakrwawiony nos i rozciętą wargę.

–Wiesz co, zawsze miałem ochotę ci przywalić.

–Założę się! – Roześmiał się z bólem Dante. – I czy było to tak przyjemne, jak się spodziewałeś?

–Nieźle – przyznał Jet. – Całkiem nieźle.

Epilog

Naprawdę nie wiemy nic,

gdyż prawda ukryta jest w głębi

Demokryt

Piszę to w forcie, który zbudowaliśmy na Three Hawk Island. Wokół mnie panuje ciepłe, łagodne lato. Cichy śpiew cykad sprawia, że powietrze drży i wzdycha, a wierzbowe liście kołyszą się przed moimi oczami.

Wkrótce będę musiał powiosłować z powrotem do domu. Czekają na mnie Dante i Laura. Próbę uroczystości ślubnej zaplanowano na trzy osoby i byłoby przejawem złego smaku, gdyby drużba się nie zjawił. Muszę więc opuścić swój fort na wierzbie, kryjówkę, w której jestem królem, i raz jeszcze zająć miejsce na peryferiach życia Dantego, uśmiechać się i uprzejmie wyrażać aprobatę.

Kto wie? Może za rok to ja pójdę do ołtarza? Magia nieustannie przybiera na sile. Życie jest krótkie, lecz pełne możliwości. A jeśli znajdę towarzyszkę odpowiednią dla mego niezwykłego serca... czy będzie ponurą, rozkosznie zażółconą specjalistką od krzyżówek z „New York Timesa”? Czy też noszącą turystyczne buciory blondynką o szerokich ramionach, która pomoże mi uciec do bardziej dzikiego życia pośród chmur i rzek?

Jeśli się ożenię, wyjdę na tym lepiej niż Dante, gdyż on wygłosi na moim ślubie znacznie zabawniejszą mowę, niż mnie może się udać na jego.

Portret

Gdy robiłem swój najważniejszy portret, sądziłem, że fotografuję tylko krajobraz. Taka już jest ironia życia!

Było to dość późno, pewnego letniego dnia, który był bardzo podobny do dzisiejszego. Wybrałem się do fortu, aby pokryć go kolejną warstwą lakieru, lecz oczarowała mnie magia popołudnia. Podciągnąłem zachodnią żaluzję i usiadłem na poręczy, wsparty plecami o wielki konar, machając leniwie jedną nogą. Poda mną spieniona rzeka opływała cypel wyspy. Wiał łagodny, letni wietrzyk. Cienkie wierzbowe liście kołysały się powoli, niczym ozdoby na zielonej bransolecie. Bambusowe dzwonki, cienkie jak ptasie kości, grzechotały i kołysały się, wyśpiewując strofy letniej pieśni. Spod moich stóp bił rozkoszny zapach drewna, błota i wody, a słoneczny blask niczym miód spływał po liściach wierzy.

Przypadek – lub może los – zrządził, że miałem w aparacie kolorowy film.

Kierowany impulsem, znalazłem na dół, wsiałem do motorówki i popłynąłem pięćdziesiąt jardów w górę rzeki. Następnie, dryfując z prądem, skierowałem aparat na wielką, zieloną, melancholijną wierzbę i zrobiłem to zdjęcie. Potężne konary zaledwie prześwitują przez wodospad wijącej się zieleni. W połowie wysokości drzewa, nieco na lewo od środka, widoczna jest pokryta czerwonym lakierem pagoda, nasz fort. Równie dobrze mogłoby to być miejsce schadzek kochanków bądź pustelnia starego mędrca.

Nade mną, ogromne, bezkształtne chmury skupiają się i rozpraszają na niebie barwy głębokiego, letniego błękitu.

Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że to portret.

Dwieście lat życia; o to grał Pendleton według Dantego, kiedy wyłożył swego fałszywego łuła, asy na ósemkach. Szalbierz zapewne odpowiedział oszustwem na oszustwo. Rok po roku czarne korzenie wierzby przeszywały i otaczały ciało mojego ojca, wchłaniały go w siebie, czyniąc go częścią drzewa. Niewątpliwie, otrzyma swoje dwieście lat.

Nie sądzę, by drzewa istniały w czasie, tak jak my. Żyją zbyt długo.

Czas wszystko zmienia. Błąd popełniony przez Pendletona, gdy oszukiwał w kartach, czy śmierć doktora Ratkaya – człowiek, zanim oswoi się z takimi wydarzeniami, uważa je za straszliwe nieszczęścia, zdolne okaleczyć go na zawsze.

Czas upływa.

Złamana gałąź więdnie i ginie. Pustkę po niej wypełniają nowe. Po trzech czy pięciu latach to, co było raną, staje się jedynie punktem orientacyjnym, oznaką wzrostu.

Człowiek żyje we własnych oczach, skrzy się i skacze po powierzchni swych dni, mknie w dół strumienia czasu, a każda chwila tkwi w uścisku zmiennego prądu, jest innym wirem. Oślepia go refleks światła na wodzie.

Drzewo stoi nieruchomo. Czas dla niego płynie ospale, gdyż żyje ono w korzeniach wszechrzeczy i trudno mu pojąć lekcję, trwającą krócej niż lata. Żal utrzymuje się długo, podobnie jak ból wywołany utratą – te rzeczy się nie zmieniają. Odrobina poczucia winy przesącza się jednak do liści i każdej jesieni płonie, a potem, wirując, spada w nurt rzeki. Zaczyna się długi zimowy sen. Z każdą wiosną drzewo spotyka łaska. Kiedy się budzi, wie mniej niż w roku poprzednim.

Zawsze kochałem tę wielką wierzbę. Uwielbiam leżeć w forcie, wsłuchiwać się w jej szepty i milczenie, jej długotrwałą, powolną melancholię...

Za południowym oknem fortu przebijający się przez ruchomą zieleń blask letniego dnia jest tak oślepiający, że muszę przymrużyć oczy i odwrócić wzrok. W moim drewnianym pokoiku wiją się cienie liści. Cykady śpiewają. Na dole wciąż płynie rzeka. Mimo woli czuję zadowolenie, choćby tylko przez krótką chwilę.

Bo czyż nie spędziłem tysiąca dni w objęciach ojca?

Czyż nie kołysał mnie tysiąc razy do snu w swych silnych ramionach?

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-23

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/